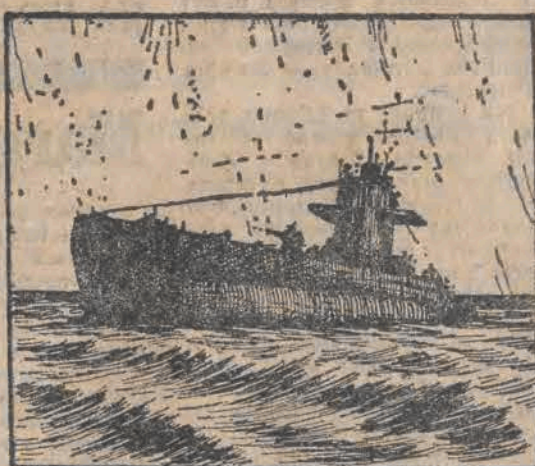


LEONARD

Zasadzka
na oceanie
str. 9



Przez maszynownię przeleciał demon zniszczenia. Najbardziej dał się we znaki maszynemu blokowi silnika okrętowego.

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 36 (1536) ROK XXX 5 WRZEŚNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Charakter narodowy Polaków i Niemców — str. 3
- Straszliwy oręż sex appeal'u — str. 4
- Największy skandal w Operze Leśnej — str. 5
- „Dzieci Arbatu” — str. 10
- Samobójstwo przed siedzibą milicji — str. 12



Łódzki Klub Wysokogórski zorganizował w 1986 roku wyprawę w Himalaje. W wyprawie na szczyt piątej góry świata o wysokości 8481 m — Makalu udział brali: Krzysztof Pankiewicz — „dyrektor”, Zdzisław Liszewski, Ewa Pankiewicz, Wanda Rutkiewicz, Jan Serafin, Ewa Szczepaniak, Krzysztof Walicki oraz grupa wspinaczy ze Szwajcarii. O tym, co zdarzyło się w czasie tej wyprawy relacjonuje jeden z jej uczestników.

Zwycięstwo, które nie cieszyło

WŁODZIMIERZ KORPECKI

Pierwszy poranek w bazie był pogodny. Słońce zachodnią ścianę częściowo odkrywa Makalu. Po przeciwnej stronie, w przedłużeniu Lodowca Barun, ponad chmurami wypiętrza swe cielsko Lhotse, połączone Przełęczą Południową, z przysadzistą kopułą Mont Everestu.

Słońce grzeje mocno, zanurza swe promienie w miniaturowych i płytych jeziorach o błękitnej wodzie. Nasze namioty, które niedawno opuściły Legionowskie Zakłady „Awiotex”, dekorują swymi kolorami przestrzeń, ponad którą himalajskie giganty, odcinają się białą swych grani i szczytów od granatu nieba. Tu-raj wyznaczaliśmy sobie spotkanie ze Szwajcarami i Austriakami.

PRZYBYLI DWAJ „NAPALEŃCY”

rodem ze Szwajcarii, Marcel Rüedi i Osfald Oetz. Obaj mają po przeszło 40 lat i stanowią dwie indywidualności.

Osfald Oetz jest profesorem medycyny, światowej sławy internistą. Dokonał między innymi analizy wpływu wysokości na przysadkę mózgową, a tym samym na pamięć ludzką. Testy przeprowadzone na wybitnych indywidualnościach świata himalaistycznego, niezbicie wy-

13



Pracować „na friko”

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1.

Kiedy idziesz do państwowej roboty, wszyscy zadają mnóstwo niepotrzebnych pytań, żądają różnych dokumentów i za-nim pozwolą ci zakasać rękawy, przestawiają w dowodzie pie-czatkę. Praca nie zajac, naj-pierw, bracie, formalności.

Prywatnego nie obchodzi, skąd przyszedłeś, papiery obej-rzy później, da ci nawet zalicz-kę, byłeś tylko od razu zaczął machać łopatą. Jak zrobisz — zarobisz, a resztę jakoś się za-latwi — jutro, przy okazji albo nigdy — zależy od układu.

Grunt, żeby i ty, i on był za-dowolony. Więc jeśli jesteś na przymusie, migaśz się lub pil-nie potrzebujesz forsy, ostro plu-jesz w dłoń i trzymasz je-zyk za zębami. Zrobisz — zaro-bisz, nie więcej cię nie obcho-dzi. Tak to trwa. Chyba, że masz wyjątkowego pecha i na przykład złamiesz nogę. Wtedy układ traci moc, ty — pracę, a szef — pamięć. Bo takie jest, bracie, życie.

Gdy rozszarpała się stara war-szawa, Edward S. został na lo-dzie — bez pieniędzy i stałego zajęcia, za to z nie zapłaconym od dwóch miesięcy czynszem i

zaległymi alimentami. Właściwie mógł, powinien nawet spodzie-wać się tego od samego począt-ku, bo był to straszny gruchot i jako kierowca więcej siedział pod wozem, niż za kierownicą, ale jakoś nie przyszło mu to do głowy. Po prostu nie zastana-wiał się, jak długo można wo-zić odpustowy towar po całej Polsce, brąc za to od prywatnia-rza sześć kantów tygodniowo i moc nie pamiętać, że po dzisiaj zawsze nastaje jutro.

Oczywiście pracował „na fri-ko” — bez zarejestrowania, bez prawa do jakiegokolwiek świad-ctwa, czyli, prawdę mówiąc,

trochę bez sensu. Tyle, że w swoim zawodzie, na co oficjal-nie, na państwowej posadzie przez rok po opuszczeniu za-kładu karnego nie miałby ra-czej szans. No, ale już — było, minęło... Zwłaszcza, że z war-szawą i jej właścicielem rozstał się w zgodzie. Nie ma pretensji. Tak wyszło. Ryzyko wynikające z takiego układu.

A za co siedział? Nie tyle siedział, co przez czterdzieści dni odpracowywał czterdzieści tysięcy grzywny nałożonej na niego przez sąd na sprawę wniesionej przez drugą byłą żo-nę. Nie ułożyło mu się życie rodzinne, zresztą z jego winy. To jednak nie ma tu żadnego znaczenia. Najważniejsze, że potrzebował zarobić parę zło-tych, a nagle nie miał gdzie.

Spotkany przypadkowo kole-ga powiedział mu, że robi teraz na takiej dziwnej budowie, że jak by przyszedł, od ręki mógł-by dostać coś do ręki. Majster wyplata, a potem przy pensji potrąca. Do niego też tylko wy-starczy się zgłosić. Abramow-skiego 6/10. Akademicka Spół-dzielnia Mieszkańcowa. Tak on ma przynajmniej wstemplowa-ne w dowodzie. Słowem, czysta sytuacja, nikt do niczego nie może się przyczepić.

Jakkolwiek Edward S. nigdy przedtem nie miał nic wspólnego z budownictwem, zdecydował się szybko zostać pomocni-kiem murarza, bo był potrzebu-jący i to bardzo. Gdy człowiek nie ma za co żyć, bierze każdy pieniądz, nie stawiając warun-ków. Był dostać dziś, a nie ju-tro, czyli na koniec miesiąca, który wydaje się tak odległy jak niemalże koniec roku.

Edward S. zjawił się na bu-dowie przy Abramowskiego piętnastego czerwca. Powiedział szczerze majstrowi, panu An-drzejowi co i jak, bo żaden z niego przestępca, żeby się rou-szał ukrywać. Ten kazał mu nazajutrz przynieść z urzędu dzielnicy dowód zaświadczenia dla pośredniaka, że miał ponad trzymiesięczną przer-wę w oficjalnej pra-cy. Przyniósł. Dostał więc szesnastego skierowanie na bada-

6



Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelno: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grzegorz Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białejewski,

Bohdan Gadomski, Jaek

Głębski, Witold

Kasperkiewicz,

Andrzej Kempa,

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Marek Mamos, Zenon

J. Michalski, Ryszard

Nakoneczny, Adam

Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki,

Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszkałe
na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Oddziałów
RSW „Prasa — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamieszkania
prenumeratora. Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11. Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
począzki jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumera-
ty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenumera-
ty roku bieżącego.

Zam. 2693, H-10.

Przegląd prasy

Przed sześcioma laty Michał
Horoszewicz napisał — i do
dziś podtrzymuje to zdanie —
że papież Jan Paweł II jest
przywódcą w wielkim stylu,
który w pewnych krajach stan-
ie się „dynamitem”, a w in-
nych będzie funkcjonował ja-
ko „opium Kościoła”. W naj-
nowszym miesięczniku laickim
„CZŁOWIEK I ŚWIATO-
POGLĄD” (nr 5) autor tak
charakteryzuje Karola Wojtyłę:

„Stwierdzić trzeba, że poczet
papieży z najwyższym trudem
wykazywałby arcykapłanów o
zblizonej do Jana Pawła II o-
sobowości i sylwetce intelek-
tualnej, o podobnym choryzon-
cie, o takież wszechstronno-
ści ekologicznej, teologicznej, li-
terackiej, językowej, diploma-
tycznej i — dlaczego by to
pomijać? — władczej. Należa-
łoby przywołać tu ewentualnie
Piusa II (1458—64), a bardziej
chyba Sylwestra II (999—1003).
Czyżby więc przyszło sądzić,
że — operując obrazowym
skrótom — polski „prymas ty-
siąclecia” ukształtował „papie-
za tysiąclecia”? Wolno wszak-
że przypuszczać, że niejedyn
użynek współczesności Ko-
ścioła absolutnie nie byłby
skłonny przystać na podobne
nazewnictwo — choć gdzie in-
dziej, między Brazylią a Fran-
cją, już dawno ukuto określe-
nie swojskie chyba równorzę-
dne: super Wojtyła”.

Kim był Sylwester II i
Plus II, z którymi autor po-
równuje Jana Pawła II? Pierw-
szy zamierzał stworzyć uni-
wersalne państwo chrześcijań-
skie, a drugi chciał odzyskać
Konstantynopol i nawrócić
Turków. Obaj wyróżniali się
wysokim poziomem intelektu-
alnym. W omawianym artykule
Michał Horoszewicz analizuje

BLASKI PONTYFIKATU WOJTYLIANSKIEGO

w cieniach współczesności Ko-
ścioła rzymskokatolickiego. Po-
kazuje sukcesy papieża w dia-
logu z islamem, luteranizmem,
prawosławiem, judaizmem,
islamem.

„Jan Paweł II — czytamy —
przeprowadza rozległe i nowa-
torskie otwarcie Kościoła,
przeobraża jego zastarzałe a-
wersje do człowieka „spozar”,
czyni go coraz bardziej aktyw-
nym podmiotem życia między-
narodowego, przesyca go gło-
błą myślową ideowo-społecz-
ną i filozoficzną. Do tego wszak-
że najwyraźniej pragnie Ko-
ściół zwrócić, uświeconego i
zdołnego do samopowiększenia,
wymagającego wiele od du-
chowienia i stanu zakonne-
go, pozbawionego martwych —
w papieskim pojmowaniu —
galezi. Wydaje się, że pe-
wien kanon Kościoła polskiego,
funkcjonujący zwłaszcza w dłu-
gich latach poprzedniego pryma-
sostwa, bywa przenoszony do
powszechnego kontekstu
kościelnego”.

Pozwól sobie w tym miej-
scu na dygresję osobistą. Otóż
wkrótce po wyborze Kar-
la Wojtyły na papieża pewna o-
soba powiedziała mi — powo-
lując się na kogoś dobrze zna-
jącego arcybiskupa krakow-
skiego — że sam nowo wybra-
ny papież stwierdził pół żar-
tem, pół serio, iż będzie naj-
wybitniejszym następcą św.
Piotra w dziejach Kościoła.
Jeśli zostało to nawet myślo-
ne, to pozostaje faktem, że już
w 1978 roku krążyła taka o-
pinia o papieżu w kręgach in-
tektualistów katolickich.

W naszym kraju Jan Pa-
weł II i Kościół rzymskokato-
licki cieszą się najwyższym au-
torytetem moralnym, ale nau-
ka moralna, która głosi, jest
zdumiewająco mało efektywna
społecznie. Osoby wierzące
szczególnie bagatelizują wska-
zania odnoszące się do życia
seksualnego i małżeńskiego. Z
artykułu księdza Jerzego Las-
kowskiego SJ wydrukowanego
w miesięczniku „CHRZEŚCI-
JANIN W ŚWIECIE” (nr
4-163) dowiadujemy się, że
młodzież polska nie przestrze-
ga zasady czystości przedmał-
żeńskiej.

Według nauki Kościoła, tego
rodzaju powściągliwość sprzy-
ja miłości i rozwojowi oso-
bowości. Natomiast młodzież ma
przeważnie inne zdanie i co-
raz większą jej część rozpoczą-
ła współżycie seksualne przed
ślubem.

Ksiądz Jerzy Laskowski SJ

przeprowadził badania psycho-
socjologiczne w 1974 roku i
powtórzył na przełomie 1985/86
roku wśród narzeczonych
miasta Warszawy. W obu przy-
padkach uzyskał podobne re-
zultaty. Tylko nieliczni respon-
denci twierdzili, iż współży-
cie seksualne przed ślubem
zasługuje na surowe potępie-
nie. Większość uważa je za do-
puszczalne bądź nawet koniecz-
ne, ponieważ niedopasowanie
erotyczne grozi rozpadem mał-
żeństwa.

BADACZ KATOLICKI STWIERDZA:

„Wyniki te wydają się wska-
zywać, że narzeczeni w War-
szawie nie podzielają modelu
czystości przedmałżeńskiej. Za
przypuszczeniem tym przema-
wiają odpowiedzi uzyskane na
pytanie dotyczące akceptacji
zasad czystości przedmałżeń-
skiej. 47,7 procent ankietowa-
nych odrzuca tę zasadę, 31,9
procent ją akceptuje, a 20,4
procent nie ma urobionego zd-
nia w tej sprawie. Zdecydowa-
na większość narzeczonych nie
widzi w czystości przedmał-
żeńskiej wartości, o którą war-
to zabiegać. Nieodstręgnięto
wartości skłania wielu dość
często do lekkomyślnego roz-
poczynania życia seksualnego.
Nie brak osób, głównie kobiet,
które przez nawiązanie sto-
sunków seksualnych starają
się zdobyć współmałżonka”.

Problem ten badano również
wśród starszej młodzieży li-
cealnej Gdańska i Warszawy.
Sondaż przeprowadzono w lu-
tym i marcu 1986 roku na te-
renie dwóch parafii. W sumie
wypowiedziało się 140 osób.
Nie było dużej różnicy mię-
dzy wynikami z obu miast.
Postulat czystości przedmał-
żeńskiej zdecydowanie odrzu-
ciło aż 69,3 proc. ankietowa-
nych. Jedną piątą opowiedzia-
ła się za, a jedna dziesiąta nie
miała własnego zdania. Oto
charakterystyczne poglądy nie-
których uczestników ankiety:

„Nie z każdym chłopcem i
nie zawsze, ale kiedy d-
czyzna jest dorosła i d-
chłopca uczuciem, dlatego
nie”. „Jeśli oboje się kochają,
dlatego między nimi nie ma
dość do zbliżenia seksualnego.
Uważam czystość przedmałżeń-
ską za coś beznadziejnego i
bezsensownego”. „Seks jest wa-
runkiem prawdziwej miłości.
Obecnie miłość bez kontaktów
seksualnych jest uważana przez
młodzież za miłość bezsensow-
ną”. „Wiele moich koleżanek
użyło się z chłopcami i nur-
tuje je tylko jedna myśl, czy
nie jestem przypadkiem u ci-
giu. Z reguły nie myśla one
o tym, że popełniły grzech”.

Ksiądz Jerzy Laskowski SJ
jest poważnie zaniepokojony
takim stanem rzeczy. Młodzież
masowo uczęszczająca do Ko-
ścioła z lekceważeniem traktu-
je to, do czego Jan Paweł II
przywiązuje ogromną wagę.
Autor stawia więc pytanie, jak
pomóc tym młodym ludziom,
żeby przekonali się o dobro-
dziejstwie czystości przedmał-
żeńskiej.

„Użytkane wyniki sondaży i
badan socjologicznych — pisze
— które były prowadzone w
latach 1970—1980 w różnych
środowiskach, wiejskich,
miejskich i wielkomiejskich,
pozwalają wyciągnąć ogólny
wniosek: ankietowani nie rozu-
mieją postulatów czystości przed-
małżeńskiej i w pełni go nie
podzielają. Czystość spotyka
się z resentymentem. Młodzież
w dużym stopniu przejawia
laicko-pragmatyczny sposób
myślenia i wartościowania. Mi-
luje wolność, cení niezależność,
stroni od wyrzeczenia, przeja-
wia nastawienie permissyjne.
W niewielkim stopniu religia
kształtuje jej mentalność”.

Badania na podobny temat
przeprowadził także Zakład
Socjologii Ogólnej UL. W
pierwszej połowie 1987 roku
nie miało jeszcze nigdy stosun-
ku seksualnego 69 proc. uc-
zników klas maturalnych w
liceach, 48 proc. w technikach
oraz 29 proc. studentów III i
IV roku Uniwersytetu Łódz-
kiego (18 proc. mężczyzn i 35
proc. kobiet).

W ubiegłym tygodniu, na
szczęście poprawiła się pogoda.
Słoneczne dni sprzyjają rolni-
kom. Jeśli kogoś bliżej intere-
sują

SPRAWY WSI I ROLNICTWA

to radzę przeczytać najnow-
szy miesięcznik ruchu ludowe-
go „WIES WSPÓŁCZESNA”
(nr 7). Szczególnie polecam
dyskusję redakcyjną — z u-
działem m.in. Romana Ma-
nowskiego — na temat stanu

i problemów rozwoju naszej
gospodarki rolnej oraz wypo-
wiedzi chłopów nadesłane na
konkurs „Gromady — Rolnik
Polskiego”.

Na konkurs pt. „Rolnik pol-
ski”, ogłoszony wiosną 1985 ro-
ku, nadeszło aż prawie dwa
tysiące prac. Pewna rolniczka
z województwa zamojskiego
(nazwisko zastrzeżone do wia-
domości organizatorów) tak
przedstawiła los współczesne-
go chłopca:

„Za widłami stoj, za wódką
stój, za butami stoj. A niech
to wszystko szlag trafi! Taka
była prawda. Nie wiem, ile
jeszcze lat pozuję, ale moje dni
są coraz krótsze, ale tego kry-
zysu nie zapomnę tak jak lat
hitlerowskiej okupacji. Dzień
w dzień są zebrań, obrady,
narady, z których każdy po-
prawia i ulepsza jedno po
drugim. Na każdym się wie,
co trzeba zrobić, aby było le-
piej, ale nie się nie robi. Z
tych narad to tylko strata cza-
su, kupa smrodu i dymu, a po-
żytku tyle co ze psa gnoju —
mówią po chłopsku. Rolniko-
wi od tego gadania nic nie
przysięło. I nie tylko, że bra-
kuje mu podstawowych ma-
szyn w gospodarstwie, to je-
szcze brakuje mu żony. Coś
podobnego — świat do góry
nogami się przewraca. D-
czynny masowo uciekają do
miast, aby jak najdalej od ha-
rówki, od gnoju. (...) Dawniej
w gminie był wójt i sekretarz,
a każdy był załatwiony od re-
ki. Dziś w gminie jest ponad
30 urzędników, a chłop wciąż
traktowany jest jak intruz.
(...) Pisałam na początku, że
jest 30 urzędników. A teraz
dodam, że od zaraz potrzebny
jest jeszcze jeden z karabinem,
to może by załatwił jak trze-
ba, gdyby ze dwie postawił
pod ścianą. Może zrozumieli-
by, że gmina jest dla ludzi, a
nie ludzie dla gminy”.

Na wsi brakuje nie tylko
środków produkcji. Zaniedba-
na jest służba zdrowia i oświa-
ta. Są przypadki, że lekarze
nie chcą przychodzić, choć
czekają na nich mieszkańcy.
Zdarzają się szkoły, w których
na wielu uczniach przypada
jeden nauczyciel. W 1980 ro-
ku 8 tys. wsi nie miało kon-
taktu telefonicznego, a w wie-
lu istniał tylko jeden aparat.
W ostatnich latach powiększył
się dystans między warun-
kami życia ludności wsi i miast.
Jeśli dochody zatrudnionych w
gospodarce, uposażeniej
przynajmniej na 100 i odliczyć na-
klady inwestycyjne ponoszone
przez chłopów — z własnych
środków, to w rolnictwie in-
dywidualnym — jak podaje
Jan Łopata — odpowiednio
wskazniki wynoszą: w 1983
roku — 89, w 1984 r. — 84, w
1985 r. — 81.

Ala kryzys dotyka również
ludność miejską. Tracą nawet
ci, którzy zarobione pieniądze
ulożowali w PKO. Tadeusz
Filipkowski podkreśla w ty-
godniku „ODRODZENIE”, że
z powodu większej stopy in-
flacji (18 proc.) niż oprocento-
wanie książeczek długotermino-
wego oszczędzania (15 proc.)

NIE WARTO OSZCZĘDZĄC.

Niedawno podwyższono
wprowadzić oprocentowanie
książeczek oszczędnościowych
z 13 do 15 procent, ale to nie
rozwiązuje problemu ubożenia
oszczędności. Albowiem teraz
traci się rocznie nie 5, lecz
3 procent kapitału.

Niemniej jednak ogromna
liczba ludzi oszczędza — z
nawyku lub konieczności. W
pierwszym półroczu tego roku
oszczędności ulokowane na
wszelkiego rodzaju kontak-
ty wynosiły aż 2 biliony 291 mi-
liardów 180 milionów złotych!
I wciąż szybko rosną.

Zdaniem rządu obecna sy-
tuacja w zakresie oszczędzania
jest niernormalna. Przewiduje
się podwyższenie wysokości o-
procentowania zarówno wkła-
dów, jak i kredytów. Dotąd
oszczędzający tracili na niskim
oprocentowaniu wkładów, a
bank tracił na niskim oprocen-
towaniu kredytów.

Na zakończenie pragnę poin-
formować, że z bardzo dużym
zainteresowaniem spotkały się
wspomnienia Adama Ochoc-
kiego. Jeden odcinek publi-
kował tygodnik katolicki
„TAK I NIE” (nr 30), a druk
obszernych fragmentów roz-
począł lubelski dwutygodnik
„KAMENA” (nr 17). Redakcja
tego ostatniego pisma przed-
stawia sylwetkę autora i za-
chęca do lektury wspomnień.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Margines?

Chętnie podzielimy poglądy większości, poprawia to samo-
czucie i wolałbym, żeby mi się to zdarzało znacznie częściej niż
dotychczas. Niestety, musiałem się jednak wyrzec, co prawda
z wewnętrznymi oporami, jeszcze jednego rozpowszechnionego
złudzenia.

Uważa się na ogół za rzecz najoczywistszą, że to przede wszy-
stkim ludzie wyniesieni na kierownicze stanowiska, a ściślej mó-
wiąc mianowani są z natury rzeczy niechętni procesowi demokra-
tyzacji i częściej niż szeregowi obywatele przejawiają ciałoty do
działań niejawnych, wymykających się społecznej kontroli i
kierują się w swoich personalnych decyzjach tzw. układami.
Innymi słowy, uważa się, a przynajmniej głosi się, że ostatecz-
nie demokracji socjalistycznej i praworządności jest ogół społeczeństwa,
reprezentowany godnie np. przez załogę przedsiębiorstwa, która
dobrze czyni, jeśli patrzy kierowniczym jednostkom na ręce.
Od paru lat wolno u nas o tym pisać i jest to jeden z istotnych
przejawów demokracji. Społeczeństwo zresztą lubi, kiedy mu się
schlebia...

Okazuje się jednak, że życie często odbiega od utartych wy-
obrażeń i usankcjonowanych frazesów, i to nieraz w sposób za-
skakujący. Takim frazezem jest zresztą poczucie moralne spo-
łeczeństwa. Oto np. (jak opisywał „Przegląd Tygodniowy”), kierow-
nictwo jednego z przedsiębiorstw, które wykazywało rzetelną
troskę i dbałość o interesy firmy, starało się więc ukrocić dzia-
łania nieprawdopodobnie i kolidujące z zasadami uczciwości, naraziło
się w efekcie całom społecznym zakładu, głównie radzie pracow-
niczej, która postanowiła pozbyć się niewygodnego dyrektora i
osiągnęła swój cel przez oszczerce przypisanie mu win nie-
popełnionych. Ostatecznie doszło do tego, że resortowy minister
poczuł się zmuszony zaskarżyć decyzję samorządu, popartą przez
inne organizacje zakładowe, jako sprzeczną z prawem i prawo-
rządnością.

Tak się składa, że znany mi jest podobny przypadek. Dyrektor
przedsiębiorstwa, który tepił marnotrawstwo, złą pracę i nar-
uszanie przepisów prawa, kazał nawet zwrócić do kasy przed-
siębiorstwa równowartość kosztów transportu użytego do celów pry-
watnych (nie bacząc że wśród winowajców jest osoba przewo-
dząca radzie pracowników) spotkał się ostatecznie z (anonim-
owo postawionym) zarzutem nieumiejętności współżycia z ludź-
mi, a w konsekwencji został zmuszony do rezygnacji, mimo iż
przedsiębiorstwo uzyskiwało znakomite wyniki produkcyjne i fi-
nansowe, premiowane też było za eksport. I tu też resort, niemile
zaskoczony, postanowił interweniować.

Skożo w bliskim odstępie czasu dowiedziałem się o dwóch kon-
kretnych tego rodzaju wydarzeniach (a o podobnych sytuacjach
też słyszy się nieraz w luźnych rozmowach) mogę przyjąć, że
dzieje się tak znacznie częściej. Na ogół przechodzi się nad takimi
wiadomościami do porządku, ponieważ, jak wiadomo, ludzie nie
świecą, a poza tym trudno im pojąć, dlaczego własność ogólna-
narodowa nie oznacza, że należy ją rozbrać po cegiełce, bo się
chce na działce pobudować altankę. Wydaje mi się jednak, że
podobne symptomy stają się wyjątkowo niepokojące i mogą
skłaniać do obaw o dalsze losy reformowania naszego życia spo-
łeczno-gospodarczego.

Dopóki bowiem środowiska kierownicze ulegają pokusom obco-
dzenia prawa, czerpania różnych ubocznych korzyści z tytułu peł-
nienia kierowniczych funkcji i posiadania wpływowych „chodów”,
dopóty można traktować zjawisko jako w pewnym sensie „nor-
malne” występujące wszędzie pod słońcem, choć w różnym na-
sileniu. Ale od czegoż są kontrole państwowe i społeczne, od cze-
goż sądy! Wystarczy zważyć objawy przewidzianymi środkami i
nie ma powodu sytuacji dramatyzować.

Kiedy jednak tego rodzaju nieprawidłowości i nadużycia zaczy-
niają popełniać i popierać obieralne gremia, będące demokratycz-
nie wybraną reprezentacją załogi (będącej ważnym elementem spo-
łeczeństwa), stanowiąc to must przykry zawód dla ludzi, którzy
wzrosli w przekonaniu, że wpływ społeczeństwa na zarzą-
danie i kontrola społeczna są niezawodną ręką sprawiedli-
wości i poprawy bytu.

Co z tego, że w ankietach, nawet anonimowych, przyłączająca
większość opowiada się za sprawiedliwością społeczną, prawo-
rządnością, demokratyzacją systemu rządzenia, gdy praktyka wy-
kazuje, iż ludzi zaangażowanych w działania sprzeczne z tymi
zasadami jest niepokojąco dużo. I choć nie są to postawy rzadkie,
przywykliśmy określać je mianem marginesu. Ale, jak szeroki
może być ten margines, by określenie zachowywało swój sens?
Strach pomyśleć, jaki los czeka społeczeństwo, w którym domi-
nują postawy marginesu? Kto stoi wtedy na straży praworząd-
ności, demokracji i postępu?

Teoretycznie uważam za możliwe, że w tym czy owym spo-
łeczeństwie samobójczy instynkt społeczny weźmie górę nad instynk-
tem samozachowawczym. Historia zna przecież dzieje upadku
narodów, i to pewnie tych, co plawią się w bełkocie o własnym
patriotyzmie...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- Dlaczego szwedzka firma przeznaczyła 31 tysięcy do-
larów na nagrody dla laureatów festiwalu piosenek
w Sopocie? Odpowiedź może służyć za kanwę powie-
ści sensacyjnej — donosi KRZYSZTOF DRZEWIECKI.
- Kiedy prześwietlono szeregowca Witalija Grabowien-
kę, rannego w Afganistanie, okazało się, że w mięk-
kich tkankach klatki piersiowej utkwili granat — nie-
wypał i w dodatku odbezpieczony — reportaż JU-
RIJA GIEJKO z sali operacyjnej.
- Nie tylko różnice ustroju politycznego czyniły ade-
kwatnym przysłowie, że musi to na Rusi, a w Polsce
jak kto chce — twierdzi EDMUND LEWANDOW-
SKI w artykule o charakterze narodowym Rosjan.
- Czy większe niebezpieczeństwo czai się pod podłogą,
czy za biurkiem? — pyta ROMAN KUBIAK w repo-
rtażu o feralnej i trującej posadźce w mieszkaniu eme-
rytów w Pabianicach.
- Jak podczas okupacji Niemcy wysiedlali w Łodzi
Polaków — pisze PAWEŁ DZIECIŃSKI.
- Lufy najcięższych dział przeciwpancernych, jakimi
dysponują alianckie siły zbrojne na Pacyfiku, wyce-
lowane są za swego ukrycia w wynurzone cielsko
przecznika. Dwa pierwsze działa mierzą w szeroko
rozwarłe ślepia szczylin zbiorników balastowych, po-
zostale w mamucią podstawę kiosku... — fragment
sensacyjnej powieści LEONARDA.

Zaczną od pouczającej anegdoty. Pewien skorpion poprosił żonę, żeby przepłynęła rzekę i przewiozła go na drugi brzeg. Żona nie chciała jednak tego uczynić, ponieważ obawiała się, że zostanie użądłony na głębinie i utonie. Na to skorpion odpowiedział, że w takim przypadku utonąłby przecież razem. Przekonany żona wzięła niebezpiecznego pasażera i popłynęła. Na środku rzeki skorpion użądlił żonę. Zaskoczona dobroczynnie zdołała jeszcze wyjaśnić, że popełniła głupstwo z powodu swego charakteru.

Po grecku „charakter” oznacza piętno, cechę, wizerunek. W psychologii słowem tym nazywa się względnie trwałe i typowe sposoby postępowania. Psychoanalizy traktowali charakter jako specyficzny wyraz przystosowania się ego (świadomości) do warunków świata zewnętrznego i wymagań wewnętrznych superego (nadjaźni, sumienia). Za centralny element charakteru specjalści uważają wolę. W dawniejszej psychologii określenie charakteru sprowadzało się w zasadzie do opisu głównych zalet i wad jednostki.

Niektórzy uczeni stosują pojęcie „charakteru” również w odniesieniu do zbiorowości społecznych: plemion, narodów, stanów, klas, grup zawodowych. W literaturze naukowej, szczególnie anglosaskiej, istnieje ogromna liczba prac na temat charakteru narodowego. Etnopsychologowie twierdzą, że skoro ludy i narody mają odrębną kulturę, to muszą też posiadać specyficzne typy osobowości. Każda jednostka ludzka staje się osobowością w jakiejś danej kulturze. Proces socjalizacji i wychowania oznacza przyswojenie wartości, norm i wzorów kulturowych macierzystej grupy.

Trzeba przyznać, że niemająco jest krytyków koncepcji charakteru narodowego. Często wysuwają oni ważne zarzuty. Nie da się jednak zaprzeczyć, że narody różnią się między sobą, gdyż mają rozmaite losy dziejowe, tradycje kulturowe, ustrój społeczny i wzory zachowań. W niektórych przypadkach różnice są bardzo duże (np. między Polakami a Chińczykami).

W znakomitej powieści esejistycznej „Człowiek bez właściwości” Robert Musil pisze, że „nigdy nie odpowiadają prawdziwie zjawiska zachodzące w jakimś kraju, jeśli tłumaczy się je po prostu charakterem jego mieszkańców. Każdy mieszkaniec każdego kraju bowiem ma co najmniej dwieście charakterów: zawodowy, narodowy, państwowy, klasowy, geograficzny, płciowy, świadomy i nieświadomy, a może ponadto jeszcze jeden ściśle prywatny”. Ale w tym samym tomie, 165 stron dalej, czytamy, że Rachela — służąca Ermelindy Tuzzi (Deotyminy) — „z urodzoną żydowską biegłością przetrzebiała bieliznę i czytała...”

Najwybitniejszy bodaj psycholog XX wieku Erich Fromm zastanawiał się, dlaczego przy podobnych bazach społeczno-ekonomicznych poszczególne kraje mają odmienne świadomości społeczne. I doszedł do wniosku, że wynika to z pośredniczącego między bytem a ideami charakteru społecznego. Fromm był przekonany, że uzupełnia teorię Karola Marksa i pokazał, w jaki sposób baza oddziałuje na nadbudowę: był na świadomości. Otóż właśnie poprzez charakter społeczny, który spełnia funkcję pośrednika w obu kierunkach: od bazy do idei i od idei do bazy. Wszystkie trzy czynniki procesu historycznego — ekonomiczny (baza), psychologiczny (charakter społeczny) i ideologiczny (idee i ideale) — są współzależne i w pewnym stopniu autonomiczne.

Charakter społeczny stanowi jakby drugą naturę ludzi.

Jest nieświadomym wytworem określonego systemu społeczno-ekonomicznego i związane z nim sposobu życia. Lecz nie znika automatycznie z tym systemem, gdyż ma własne prawa i względną trwałość. Charakter społeczny integruje ludzi ukształtowanych w tej samej kulturze. Obejmuje zasadnicze jądro struktury charakteru większości członków grupy. Jądro to jest wspólne dla zbiorowości, natomiast charaktery indywidualne są różne.

„Jeżeli... chcemy zrozumieć, na jakie tory skierowana została energia ludzka i jak działa ona jako siła produkcyjna w danym ustroju społecznym, wówczas na najwyższą uwagę zasługuje charakter społeczny”

Symbolem narodowym Niemców jest wojsko, archetypem bóg wojny, zwycięstwa i śmierci, lecz jest to naród pracowity, wytrwały i subordynowany.

— pisał Erich Fromm. Charakter determinuje nie tylko myślenie i odczuwanie człowieka, lecz także jego działanie. Nabywany jest stopniowo w procesie socjalizacji i wychowania. Najważniejszą rolę odgrywa tu rodzina, która stanowi „psychologiczną ekspozyturę społeczeństwa”.

Fromm stanowczo odrzucał idealistyczny pogląd, że doktryny ideowe są odpowiedzialne za różne zachowania ekonomiczne. Twierdził on, że „ideologia i cała kultura tkwią korzeniami w charakterze społecznym; że charakter społeczny jest kształtowany przez sposób życia danego społeczeństwa, przy czym dominujące cechy charakteru same z kolei stają się siłami wytwórczymi kształtującymi proces społeczny”. Idee i ideale mogą wpłynąć na bieg procesu historycznego tylko pod warunkiem, że odpowiadać będą danemu charakterowi społecznemu.

Nie wiem, dlaczego marksistyci ignorują tę koncepcję Fromma. Moim zdaniem, wyjaśnia ona mechanizm determinowania świadomości społecznej przez byt społeczny. Z podobną koncepcją wystąpił zresztą wcześniej Jerzy Plechanow. Wyodrębnił on „psychikę człowieka społecznego” uwarunkowaną przez ekonomikę i ustrój spo-

łeczny i „milustki”, a na tym wszystkim zaszczerpiono kremlowski komunizm. Dopiero im się musi teraz że ibów zadurzonych kurzyć”.

Witold Gombrowicz zaznacza, że cytując list jakiegoś emigranta, który napisał do niego z USA. Przytacza ten list z aprobatą! Ale najprawdopodobniej on sam to wymyślił. Tego zdania jest również Jan Błoch. W każdym razie styl wypowiedzi jest wyraźnie Gombrowiczowski. W innym miejscu pisał, że pochodzi z kraju „szczególnie obfitego w istoty niewyrobione, posiednie, przejętowie”. Polska była dla niego miejscem, gdzie „nie tyle smęć i dola, ile niezgoda z Niedogodą po polach snują się i jęczą”.

Typowy Polak w rzeczywistości nie istnieje.

Jest to konstrukcja idealna, modelowa — specyficzny syndrom cech osobowościowych. Typowy Polak odznacza się labilnością psychiczną. Jest niestabilny w uczuciach i nieobliczalny w reakcjach. Ma słomiany zapal. Łatwo ponosi go entuzjazm i szybko się zniechęca. Brak mu wytrwałości. Silnemu dążeniu do przyjemnych doznań i podniecających

żeby błyszczeć w nowym otoczeniu i nie odstawać od większości.

Podczas II wojny światowej pewna działaczka Szarych Sieróg słusznie powiedziała, że „charakter narodowy Polaków ma wiele wspaniałych elementów, brak mu struktury”. Jest to charakter ludzi o wielkich zdolnościach i maksymalistycznych zamiarach, które nie mogą się urzeczywistnić z powodu słabej woli, „uroczej bez troski” i myślenia życzeniami. „Za górnie, za mistycznie, za niemożliwie chcemy mieć życie — pisał Tadeusz Miciński. — I dlatego życie realne przeobraża się u nas w taką nędzę”.

W drugim tomie powieści Stefana Żeromskiego „Popioły” Krzysztof Cedro, właściciel folwarku Skłody, mówi: „Nie znasz Niemców! To jest nie naród, ale wprost zakon straszliwy, zorganizowany mądrze i bezwzględnie do wyzyskania takich oto jak my, rolników i marzących na jawie”.

Na to zubożały szlachcic Szczepan Nekanda Trepka odpowiedział: „Czy myślisz, że słowiańska nasza dusza przeistoczy się w duszę niemiecką od patrzenia i nauki? Nigdy. Jesteśmy inni, odmienni”.

Stereotyp przeciwności

na „nacionalistyczną pieśnią pijačką”. Lecz sam Hoffman nie miał intencji szowinistycznych.

Stan dezintegracji i anarchii w skali Niemiec oraz despotyzmu i gwałtu w poszczególnych krajach i krainach kształtował wiele pokoleń narodu niemieckiego. Przez wieki Niemcy marzyli o jedności i porządku. Pragnienie to sprzyjało militarnym wewnętrznym i zewnętrznym. Pełna integracja i ład wewnętrzny wymagały wrogów zewnętrznych i ducha nacjonalizmu.

Jakiś wpływ na charakter społeczny Niemców miały też: bytowanie wśród lasów, wojownicza mitologia germańska, surowa religia protestancka, pamięć o wyczynach Gotów, Wandalów, Normanów, Krzyżaków oraz reżim pruski.

Elias Canetti uważa, że dla Niemca symbolem masy decydującym o świadomości narodowej jest wojsko. „Ale wojsko — pisze — było czymś więcej niż wojskiem: było MARSZERUJĄCYM LASEM. W żadnym ze współczesnych krajów na świecie odczuć lasu nie pozostało tak żywe jak w Niemczech. (...) Wojsko i las stały się dla Niemca na wszelkie sposoby w jedno, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy. To co innym w

polegli wojownicy spędzali czas na ćwiczeniach i ucztach.

Historia nie oszczędzała Niemiec.

W latach 1348—1350 dżuma zabrzała prawie połowę mieszkańców. Spośród 17 mln pozostało przy życiu tylko 9 mln. W wyniku wojny trzydziestoletniej (1618—1648) zaludnienie spadło z 20 mln do 12 mln, czyli o 40 proc. Niekiedy rejon Niemal kompletnie opustoszały. W pierwszej wojnie światowej poległo 2,7 mln Niemców, w drugiej — 9,7 mln.

Po każdym zalemaniu Niemcy szybko jednak przychodzili do siebie. Jest to bowiem naród pracowity i wytrwały, subordynowany, działający metodycznie, naród niepojęty, ocalałych pedantów.

Witold Gombrowicz odniósł wrażenie, że Niemcy pracują solidnie nie po to, żeby coś zrobić, jak Francuzi, lecz dla samej roboty. W porównaniu z Polakami nie są zdolnijsi — „tylko bardziej boją się parafactwa, które im jest obce...”. Poza tym Niemców uformowały zwycięstwa, a nas klęski.

W powieści Bolesława Prusa „Płocówka” Slimak podziwiał Niemców, że nawet w wybuchach gniewu zachowują „systematyczność i porządek”. Jest zdumiony, że tak prędko i zgodnie pracują.

„Przecież i nasi ludzie — mówi — bywa, że wyjadą gromadą; ale każdy krząta się sam za siebie, ico częściej odpoczywa albo jeszcze innym przeszedza. Te zaś psiekrucie tak jakosik zwijają się, jakby jeden naganił drugiego. Nie spróżniesz, choćby ci kładło na ziemi, bo ci jeden tka w garść robotę, a już drugi na nią czeka i pili, zabijaj konczy”. W 1981 roku wyjechała do RFN pewna 35-letnia kobieta. W kwietniu 1983 r. tak pisała do swej koleżanki w Polsce: „Tu się haruje, nie pracuje. Praca od 8 do 17, przerwa o 12 do 13. Uplynie dużo czasu, zanim przestawię się na niemiecki sposób pracy, codziennie trafia mi się zlag, że o piątej jeszcze siedzę w pracy. Oczywiście zaczyna się punktualnie i kończy. Nikt się nie spóźnia, nikt nie wychodzi wcześniej (nawet jak szef nie ma). Nikt nie dyskutuje, nigdzie nie siedzą, nie jedzą i nie piją”.

W innym liście na temat spotkań w pracy rodaków napisała: „Zarządza ich jedno, cwanictwo i ciagoty do kombinowania”. W toku swej historii naród niemiecki wchłaniał przedstawicieli różnych grup etnicznych. Nie można więc mówić o jednej rasie norydycznej (wysokie wzrost, smukła sylwetka, włosy jasnobłond, twarz pociągła, oczy jasne). Nasilenie cech norydycznych występuje tylko na pobrażach Morza Północnego i Bałtyku oraz w Islandii. Ostawiony duch pruski narodził się na terenach słowiańskich. Bernt Engelmann twierdzi, że idee „prawdziwych” Prusaków były w znacznej mierze „produktem żydowsko-hugenockiego rozumienia i słowiańsko-germańskiej fantazji”. Premier Prus Otto von Bismarck pisał w 1868 roku: „Prusacy stanowią silną mieszaninę elementów słowiańskich i germańskich”.

Koncepcję czystości rasy w Niemczech znakomicie wykreślił Carl Zuckmayer. W sztuce „General d’Alba” Harras spekuluje na temat przodków starej rodziny von Renau: „Był tam jakiś rzymski dowódca, czarny chłopak, brzozy jak dojrzała oliwka; uczył łaciny jakąś dziewczynę o blond włosach. A potem wszedł do rodziny jakiś Żyd, handlujący korzeniami, poważny człowiek, jeszcze przed ślubem przyjął wiarę chrześcijańską i dał początek katolickiej tradycji rodowej. A potem doszedł jeszcze jakiś grecki lekarz albo celtycki legionista, jakiś szwajcarski łancknecht, szwedzki jeździec, żołnierz napoleoński, kozak deserter, górnik z Czarnej Łasy, wędrowny młynarczyk z Alzacji, gruby marynarz z Holandii, jakiś Węgier, jakiś zandarm węgierski, jakiś oficer z Wiednia, jakiś francuski aktor, jakiś czeski muzykant — wszyscy oni żyli nad Renem, tam się brali za by, pili, śpiewali i płodzili dzieci — i — i — i tej samej gminy był Goethe, Beethoven, Gutenberg i Matthias Grünewald — ach, zajrzyj do leksykonu. To byli ci najlepsi, mój drogi! Najlepsi na świecie! A dlaczego? Ponieważ pomieszali się tam narody”.

EDMUND LEWANDOWSKI

Charakter Polaków i Niemców

leczno-polityczny. I zakładał, że ideologie odzwierciedlają właściwości tej psychiki.

Polaki charakteru narodowy przedstawił już w obszernej artykule na łamach „Odgłosów” (nr 4, 5 i 6 z 1982 r.) oraz „Polityki” (nr 39 z 1985 r.). W odpowiedzi otrzymałem wiele listów z kraju i zagranicą (najdalej przyszedł z Nashville w USA). Zdecydowana większość korespondentów zgodziła się z moimi tezami.

Esaj o charakterze narodowym Polaków sprowokował też dyskusję prasową. Spośród różnych artykułów polemicznych najwyżej sobie cenię teksty Andrzeja Wielowiejskiego z „Światowego wydania „Gościa Niedzielnego” (nr 51—52 z 1985 r.) i Janusza Roszki z miesięcznika „Kontrasty” (nr 2 z 1986 r.).

Charakteru narodu polskiego traktuję jako psychokulturowy rezultat długiego procesu historycznego, jako wytwór specyficznych losów dziejowych. Na kulturę polską i charakter społeczny Polaków przede wszystkim miały wpływ następujące okoliczności: 1) rekordowy w Europie odsetek szlachty i słabe rodzime mieszczaństwo (dychołomiczny podział społeczeństwa na panów i chłopów); 2) brak silnej władzy centralnej i absolutyzmu państwowego; 3) nawrót feudalizmu w XVI wieku i powstanie „autornego poddaństwa” chłopów w ustrój folwarczno-pańszczytny (spowodowało to poważne opóźnienie cywilizacyjne Polski wobec Zachodu); 4) zwycięstwo kontrreformacji, umocnienie katolicyzmu i odrzucenie ideałów protestantów; 5) brak rewolucji burżuazycznej i dominacja wzorów szlacheckich aż po XX wiek; 6) romantyzm — spiskowe tradycje XIX stulecia i klęska (praktyczna) hasła pozytywistycznych; 7) małe wymagania wobec jednostki w ustroju socjalistycznym.

Wymienione czynniki składają się na specyfikę polskiego procesu dziejowego. W sumie sprawiły, że naród nasz cenił głównie walkę i zabawę oraz modlitwę, a w małym stopniu pracę. Żadna klasa nie wytworzyła w Polsce etosu pracy. Inaczej było tylko w Wielkopolsce i na Śląsku, lecz w tych dzielnicach mieszkali, niestety, mniejszość narodu polskiego.

Po wojnie z określonymi historycznymi postawami przystąpił do budowy socjalizmu. Bardzo złośliwie opinię w związku z tym zanotował w swoim Dzienniku z 1957 roku Witold Gombrowicz.

„Mnie tak śmieszy ta nowa Polska, bo, Bogiem a prawdą, najbardziej przylgnęła do nas epoka saska i ona to największe ślady zostawiła na nas. Naród jest ciemny, endecki, zadzierzasty, chamski, leniwy, czupurny i niedowarzony, zyt-

przeżyć towarzyszy niechęć do ciężkiej pracy, słabe poczucie obowiązku i odpowiedzialności, pobłażanie sobie.

Jest to człowiek myślący kategoriami arealnymi, bujający w obłokach indywidualista, który lubi długo o wszystkim mówić, lecz zwleka z realizacją. Chciałby natychmiast, tu i teraz, bez zbędnego wysiłku osiągnąć wiele. Żyje stale nadzieją, że jakoś wszystko się ułoży. W celu popisania się przed innymi gotów jest do heroicznych poświęceń i wyczynów. Na polu bitwy łatwo ryzykuje życiem. A w zwykłym życiu często idzie na całość — w myśl zasady „zastaw się, a postaw się” lub „jak się bawisz, to się bawisz”.

Podczas zabawy nie ma umiaru w jedzeniu i piciu. Alkohol stanowi antidotum na kompleksy i nuda. Chętnie więc pije „do dna”, aby zapisać „w trup” czy „na umór”. Niezary tym powtarza charakterystyczne słowa — „chłuj się, bo umierasz”. Ten, kto lubi wypić, to swój chłop, z którym można wszystko załatwić „przez bufor”. Przeciwnie trzeźwy, uchodzi za nietowarzyskiego i niemiłego dziwaka, do którego nie można mieć zaufania.

Polak jest bardzo gościnny i łatwo nawiązuje kontakty z obcymi, także z cudzoziemcami, ponieważ lubi towarzysystwo i zabawę. Ale jednocześnie nie znosi żadnych ograniczeń i ludzi lepszych od siebie. Ma skłonność do anarchizacji i e-galitaryzmu. Często kieruje nim bezinteresowna zawiść i niezyczliwość. Potrafi „nadywać się na wielkość” i lekceważyć bliźnich.

Dzięki dużej inteligencji, wyobraźni i zdolności do improwizacji nieźle sobie radzi w trudnych sytuacjach. Zaskakuje wówczas umiejętnościami organizacyjnymi i kombinatorskimi. Jednakże w okresach powodzenia postępuje lekomyślnie, pracuje byle jak i traci zdobyty dobytek. Szczególnie odnosi się to do działań zbiorowych, gdzie każdy sobie „rzepkę skrobie”.

Wspomniana wyżej lekomyślność i pobłażanie sobie powodują, że niezbyt szanuje cudzą własność oraz przepisy prawne. Łatwo rozgryzta się z kradzieżą, niepunktualnością, niedotrzymaniem zobowiązań. W takich przypadkach powiada, że przecież „nie się nie stało”.

Jego zarozumiałość sprawia, że nie słucha uważnie argumentów i innych. Sam lepiej wie, jak jest i co robić. Lecz z drugiej strony, przywiązuje ogromną wagę do tego, jak jest oceniany — szuka oparcia w środowisku (dawniej mówiono „kupa mości panowie”). Z braku silnego systemu wartości może swobodnie zmienić zdanie i przejść z jednego obozu do drugiego. Liczy się tylko to,

między Słowianami i Germanami oraz Polakami i Niemcami ma bardzo długi żywot. W kronice Galla Anonima z początku XII wieku czytamy, że Polaka jest „północną częścią Słowiańszczyzny”. Według najstarszych legend braćmi Lecha byli Rus i Czech, a królowa Lechitów Wanda nie chciała Niemca za męża. Już w połowie XVII wieku znano przysłowie, że pół świat światem, nie będzie Polak Niemcem i braćmi.

W historii narodu niemieckiego uderza długo utrzymujące się monstrialne rozbieżności polityczne.

Po upadku Hohenstaufów w XIII stuleciu jednost Niemiec przestała istnieć. Kraj rozpadł się na wiele państw opartych na łupieństwie i rządzonych gwałtem. A później traktat westfalski z 1648 roku utrwalił „ukonstytuowaną anarchię” (Fegel) — Świecie Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego liczyło ponad 1700 suwerennych obszarów.

W wieku XVIII Rzesza obejmowała aż 294 państwa: 64 księstwa świeckie, 38 księstw biskupich, 141 mniejszych terytoriów świeckich i kościelnych (hrabstwa, opactwa) i 51 miast cesarskich. Poza tym istniało około 1500 niezależnych posiadłości wolnego rycerstwa. Jednostki te miały własne prawa, waluty, podatki, cła, miary, wagi i własnych despotów. Utworzony na kongresie wiedeńskim w 1815 roku Związek Niemiecki był już znacznie uroszczoną konfederacją składającą się z 41 państw — w tym jednego cesarstwa (Austria) i pięciu królestw (Prusy, Bawaria, Hanower, Saksonia, Wirtembergia). Twór ten nazywano „pośmiewiskiem Europy”.

W atmosferze protestu przeciwko rozbiłciu Niemiec August Heinrich Hoffman (były profesor uniwersytetu wrocławskiego) napisał w 1841 roku „Deutschlandlied” — pieśń, która w 1922 roku uznano za niemiecki hymn narodowy. Oto oświadczenie pierwsza zwrotka:

Niemcy, Niemcy ponad wszystko, ponad wszystko w świecie, gdy złączymy się bratersko stającą czoła i broniąc. Od Mozy po Niemien, od Adygi po Belt. Niemcy, Niemcy ponad wszystko na świecie!

W drugiej zwrotce autor sławił niemieckie kobiety, niemiecką wierność, niemieckie wino i niemiecki śpiew. A trzecia, mowa o dążeniu do jedności, prawda i wolność dla ojczyzny niemieckiej. Pewien polityk zachodnoniemiecki nazwał niedawno utwór Hoffma-

wojsku mogło się wydać gołe i puste, dla Niemca miało życie i blask lasu. Nie bał się tu niczego; czuł się chroniony, jeden spośród tych wszystkich”.

Tomasz Mann natomiast za najsłynniejszą cechę Niemców uważał duchową jakość (Innerlichkeit) wyrażającą się w metafizyce, muzyce i pieśni. Pisał on, że Niemcy są narodem „romantycznej kontrrewolucji przeciwko filozoficznemu intelektualizmowi i racjonalizmowi oświecenia — narodem buntu muzyki przeciw literaturze, mistyki przeciw klarowności”. Niemcy mają muzyczny (abstrakcyjny i mistyczny) stosunek do świata. Niezyciowy idealizm doprowadzał ich do przestępstw i zbrodni.

Nieszczenie Niemców polega na tym, zdaniem Tomasza Manna, że mieli ideę wolności skierowaną tylko na zewnątrz. Wolność niemiecka wymierzona była przeciwko Europie i kulturze, stała się barbarzyństwem. Jakaś diabelska chytrość sprawiła, że to co najlepsze w Niemczech, obracało się w zło.

W powieści „Czarodziejska góra” Rosjanka Kławdia Chaucat mówi o Niemcach: „Kochacie porządek bardziej niż wolność, cała Europa wie o tym”. W burze sanatorium w Davos dwaj Niemcy, Hans Castrop i Joachim Ziemszen, zachowywali się „poważnie i skromnie. Tak zwykle postępują młodzi Niemcy, unosząc do każdego biura szacunek dla władzy i urzędu”.

Z kolei w „Buddenbrookach” pisarz zwrócił uwagę na ogromną różnicę między protestancką północą a katolickim południem. Przybysząc do Monachium Tonia zetknęła się z innym światem. Było to miasto pełne artystów i „próżniących mieszczan”. Jej mąż okazał się człowiekiem bez ambicji, dążeń i celów. Czy Tonia mogła się tu zaaklimatyzować?

„Nie — czytamy — u ludzi bez godności, moralności, ambicji, wytworności i surowości, u ludzi źle wychowanych, niegrzecznych, zaniebanych, jednocześnie leniwych i lekomyślnych, gruboskórnych i powolnych”.

Na północy zaś wszyscy byli tni — ambitni i surowi, mający więcej godności. Ludzie tam dążyli do czegoś, pracowali, mieli wyraźne cele.

Psychiatra szwajcarski Carl Gustav Jung był zdania, że narody mają specyficzne archetypy, czyli dominujące w podświadomości praoobrazy, które warunkują ich zachowania. Charakterystyczny dla Niemców ma być archetyp Wodana — boga wojny, zwycięstwa i zmarłych. Posłanki tego bóstwa, Walkirie, zwiastowały żołnierzom śmierć i unosiły ich ciała do rajskiej Walhalli, gdzie

Piękna Remedios była tak urodziwa, że patrząc na nią mężczyźni doznawali niesamowitych dreszczy i nie mogli się oprzeć straszliwej chęci płaczu. Jeszcze parę godzin po jej przejściu wyczuwało się aurę niepokoju i burzy. Niekiedy mówili, że warto oddać życie za jedną noc miłości z tą niezwykłą kobietą, lecz nikt nie miał odwagi tego uczynić.

Co tak obezwładniało i pociągało zarazem mężczyzn w Macondo? Na pewno sex appeal Pięknej Remedios. Jest to rzeczywiście potężna broń kobieca w stosunku do wszystkich normalnych mężczyzn. Każda kobieta ma sex appeal, lecz te najpiękniejsze z nas dysponują jakby bronią jądrową. Trudno dziwić się, że pewnego razu Pięknej Remedios i jej koleżankom w ostatniej chwili udało się schronić przed „napaścią stada rozjuszonych samców”.

Nie da się jednak ukryć i zaprzeczyć, że mężczyźni również posiadają niezłą broń.

Jedni lepszą, inni gorszą. I tak naprawdę to nie wszystkich przecież zaliczamy do płci brzydkiej. Broń męska potrafi także przerażać i zarazem pociągać.

Dziadek Pięknej Remedios był tak hojnie wyposażony przez naturę, że jego matce wydawało się to aż nienormalne. W nomenklaturze autora „Kamasutry” z pewnością należał do ogierów. Pierwsza kobieta, która go dotknęła, przestraszyła się szczególnie i zdołała tylko powiedzieć: — „Coś podobnego”. Zaś młody Jasé Arcadio poczuł, że ugryzł się pod nim nogi i ogarnął go dziwny lęk oraz chęć płaczu...

Ktoregoś dnia chłopiec poszedł oglądać występy przybyłych do Macondo Cyganów. Spotkał tam bardzo piękną, młodszą Cygankę i stanął tuż za nią. Co dalej się działo, niech dokładnie opowie Gabriel Garcia Márquez:

„Przycisnął się do jej piersi. Dziewczyna próbowała się odsunąć, ale José Arcadio jeszcze mocniej przywarł do jej ciała. Wtedy poczuła. Znieruchomiała, drżąc ze zdumienia i lęku, nie dowierzając oczywistości, wrzuciła odwróciła głowę i spojrzała na niego z niepowinnym uśmiechem. (...) Poszli do namiotu Cyganów, gdzie zaczęli się całować z rozpaczliwym utęsknieniem, jednocześnie ściskając się w siebie. Cyganka rzuciła w kącie bluzki, obfitych krochmalonych koronkowych hałek, beżowej gorszy na fiszbinach i sznury paciorków i właściwie została zredukowana do nicości. Była to waga żabka o ledwo zarysowujących się piersiach i nogach tak chudych, że w obwodzie miały mniej niż ramiona José Arcadio, ale jej zdecydowanie i zarównoważony niepozorny kształt. (...) Przy pierwszych zerknięciach kości dziewczyny zatrzeszczały, jakby miały wyłamać się ze stawów; na skórę jej wystąpił biały pot, oczy napędlono się łzami, a z głębi całego ciała wydobywał się posępny lament i nieokreślony zapach bólu. Wytrzymała jednak natarcie z podłym podziwu hartem i odwagą. Wtedy José Arcadio uczył się porwany w stan seraficznego natchnienia i z głębi serca wydarł się strumień czułych sprośności przenikających do uszu dziewczyny i wychodzących przez usta, w tłumaczeniu na jej język”.

Czytelnikom pruderyjnym przypominam, że mamy do czynienia z powieścią laureata Nagrody Nobla. Jednocześnie zachęcam do przeczytania całego arcydzieła, jeśli ktoś dotąd tego nie uczynił. Mój znajomy twierdzi, że jest to najpiękniejsza książka świata, i trudno nie przyznać mu racji. Cytowany fragment znakomicie przedstawia potęgę miłości fizycznej — żywiołu równie gwałtownego i nieokiełzanego jak trzęsienie ziemi. Może pisarz nieco przesadził, ale w tym przypadku o przesadę nie trudno.

W rodzinie Buendíów miłość jest właśnie żywiołem przyrodniczym, a nie miłością braterską i humanistyczną. Jako żywioł przyrodniczy jest za to czymś niesamowitym. Aż strach się bać. Oto co czuła inna bohaterka, Rebeka, gdy kochała się z José Arcadiem:

„Musiała dokonać nieludzkiego wysiłku, żeby nie paść trupem, kiedy jakaś huraganowa siła uniosła ją w pasie, pogwałciła jej intymność i pochwartała jak ptaka. Zdażyła jeszcze podziękować Bogu za to, że się urodziła, nim zatraciła świadomość w niepojętej rozkoszy i nieznosnym bólu, grzęzną w dymiącym bagnisku hamaka, który uchłonił jak bibuła eksplozję jej krwi”. Podczas miodowego miesiąca — czytamy dalej — „Sąsiadów przerażały krzyki, które budziły całą dzielnicę co najmniej osiem razy w ciągu nocy i trzy razy podczas sjeisty, i modlili się, żeby tak niepojęta miłość nie zakłóciła spokoju zmarłych”.

No, cóż — musimy wziąć pod uwagę fakt, że państwo młodzi wynajmowali domek naprzeciw cmentarza. I stąd te przesadne obawy sąsiadów. A co do ilości stosunków, to przypominam zasadę taoistyczną, że lepiej mniej, ale dłużej i — co bardzo ważne — bez ejakulacji. Mężczyźni muszą się nauczyć panować nad sobą. Trzeba ćwiczyć wolę.

Nie należy jednak wpadać w skrajność. Podobno jakiś ztroskany korespondent zapytał naszego znanego seksuologa, jak długo jednorazowo musi „to” robić, żeby mieć z głowy na cały kwartał. Nie znam, niestety, odpowiedź specjalisty. Osobiście radzę wytrwać jak najdłużej.

Przede wszystkim, nie wolno tłumić pragnienia miłości fizycznej. W każdym razie nie można tłumić bezkarnie. Osoby żyjące w przeciwnym naturze celibacie mają chyba niewielkie potrzeby seksualne bądź nabawiają się chorób opisanych w literaturze psychologicznej.

Nieprzypadkowo chyba psychoanaliza powstała w środowisku żydowskim.

Judaizm ogranicza zainteresowanie płcią w zasadzie do obrzezania i płodzenia dzieci.

Obowiązkiem mężczyzny było studiowanie Talmudu, a kobiety musiały żyć cnotliwie. Stłumiony seks odbijał się więc różnymi dżiwadami.

Pouczająca pod tym względem jest historia o pięknej Małce i smutnym Nachumie w mało znanej powieści pt. „Josie Katb”, której autorem jest Izrael Jozue Singer — starszy brat laureata Nagrody Nobla z 1978 roku.

Nachum — syn „rosyjskiego” rabina z Rachmaniówki — już w dzieciństwie był wychudzony, skryty i rozmiłowany w studiach nad Kabałą. W wieku 14 lat ożeniono go z 13-letnią córką cadyka galicyjskiego z Nieszawy. W przeciwieństwie do wąskiego chłopca, jego narzeczoną była już dojrzała kobieta.

„Miała silne nogi, rude włosy, mocne zęby i tak wydatny biust, że nawet piersi rabinowej w okresie karmienia Nachumie nie mogły jej dorównać”.

Nachum bardzo źle czuł się w domu teścia. Wszędzie stykał się z brudem i niedbalstwem. Nie znosił ciężkich mebli, wielkich stosów pościeli, ciągle fruwającego pierza, brzydził się jedzeniem i zapachami. Obca i wstrętne wydawała mu się również własna żona — Serele. Radykalna zmiana w jego życiu nastąpiła dopiero wówczas, gdy sześćdziesięciokilkuletni teść, który pochował już trzy żony, ożenił się po raz czwarty, poślubiając 17-letnią sierotę z Przemyśla — Małkę. Nie miała ona żadnego posagu, ale za to była wyjątkowo urodziwa.

Piękna Małke także nie cierpiała środowiska nieszawskiego. Pragnęła szybko wzbogacić się i uciec do Budapesztu, dokąd wcześniej zbiegła z kochankiem jej matka. Lecz zamiar ten zmieniła, gdy ujrzała Nachuma. Pokochała się od pierwszego

Nie można bezkarnie tłumić miłości i nie warto oszczędzać urody

Straszliwy oręż sex appeal'u

MIROSLAWA SARBIŃSKA

wejrzenia. Nachum nie mógł odtąd skupić się na lekturze Talmudu, a Małke wciąż szukała okazji do spotkań.

Twarde prawa religii żydowskiej utrudniały wzajemne kontakty. Ciężkim grzechem było już samo pożądanie cudzej żony. Toteż Nachum modlił się, umartwiał, pościł i unikał widoku Małkele.

Młoda cadykowa zaś zaprzyjaźniła się z Serele i często u niej bywała. Kiedy Nachum na krótko wyjechał, umierała z tęsknoty.

„Litowała się nad sobą, nad swym młodym ciałem. Rozbierała się do naga, pieściła smukłe uda, okrągłe ramiona i młode jędrne piersi. Oczy miała pełne łez. W końcu przeniosła się do Serele i spała z nią w jednym łóżku”.

Gdy Nachum wrócił, nieprzypadkiem zakochana Małkele wzniciła pożar, który strawił bóżnicę i połowę dworu cadykowego. W blasku wielkiego ognia udał się do pobliskiego lasu i narzeczcie pokochał. Za tę chwilę słabości zapłacił jednak straszną cenę. Ona zmarła później w trakcie porodu, a on opuścił dom i znikł bez śladu.

Miłość fizyczna jest więc sprawą bardzo poważną.

Seks podnieca nas i pozwala rozładować napięcie. Miłość nie spełniona wypacza osobowość, jest nieszczęściem. Erotyzm popycha ludzi do podglądania, gwałtu, a nawet zbrodni. Miłość i seks odgrywa ważną rolę nie tylko w życiu osobistym ludzi, lecz również w procesie historycznym.

W sztukach Williama Szekspira erotyzm jest drugą, obok władzy, namiętnością leżącą u podstaw historii feudalnej. Oblakany król Lear źródło zła dostrzega w dolnych partiach ciała kobiecego. Podaję jego słowa w przekładzie Macieja Słomczyńskiego:

„Do dzieła, Zdzido! Gdyż brak mi żołnierzy.
A spojrz na ową wdzięczną się damę;
Jej lico uróży mróz między nogami,
Udaje cnotę, lecz nadstawia ucha,
Gdy o rozkoszy usłyszy.
A żadna kurwa nie klacz rozbuchana
Nie czyni tego z jurniejszą radością.
Ponad biodrami są jako niewiasty,
W dół to centaurzy.
Od pasa w górę są pod władzą bogów,
Niżej jest wszystko w mocy złego ducha:
Piekło tam znajdziesz, mrok, czeluść starczaną,
Smród i płomienie, tfu, tfu, tfu, ha, ha, ha!”

W innej sztuce, dobrze znanej ze szkoły, Hamlet oskarża kobiety o to, że malują się, wdzięczą, stąpają boczkiem, przemawiają pieszczotliwie. Bóg dał im jedno oblicze, a one czynią sobie drugie. Nadwrażliwy młodzieniec wysłał biedną Ofelię do klasztoru.

Czytając ten fragment dramatu, wyraźnie widzimy, że William Szekspir był pod wrażeniem Pisma Świętego, i nie lubił kobiet. W biblijnej Księdze Izajasza, o czym wierzące kobiety i ich mężowie najprawdopodobniej nie wiedzą, Bóg Jahwe stanowczo potępia modę kobiecą i wszelkie zabiegi uwodzicielskie. Czytamy tam, że Bóg usunie „ozdobę brząkać w trzewików, słoneczka i półksiężyc, kolczyki, bransolety i welony, diademy, łańcuszki u nóg i ustażki, fłaszczki na wonności i amulety, pierścienie i kółka do nosa, drogocne suknie, narzutki i szale, torebki i zuziercadelka, cienką bieliznę, zawoje i letnie sukienki”.

Bóg straszy, że zamiast wonności będzie zaduch, zamiast paska — powróż, zamiast uczesanych włosów — lysina, zamiast pięk-

nej szaty — ciemny wór, zamiast piękności — wypalone piętno. Bóg chce więc pozbawić kobiety ważnych atrybutów sex appeal'u. Jest raczej przeciwnik kobiecości, a przynajmniej kobiecości.

Według „Iliady” Homera, bardzo piękną kobietą była Helena — najpiękniejsza w ówczesnym świecie, symbolem piękna i miłości. Lecz zupełnie inaczej to ujął Szekspir w dramacie „Troilus i Kresyda”. Jego Helena jest po prostu dziwka, a Menelaos rogiaczem. Okrutna wojna trojańska nie ma żadnego sensu, gdyż toczy się o rogiacza i dziwkę. Błazen Tersytes powiada, że lądowanie się i mordowanie nigdy nie wychodzą z mody.

O potęgę sex appeal'u świadczy następująca historia. Jedną z brytyjskich sieci telewizyjnych — ITV — wynalazła absolutną broń, która ma przyciągnąć widzów i umożliwić pokonanie konkurentów. Otóż od września tego roku prezydentka popularnego programu Emma Freud będzie przyjmować zaproszonych do studia gości w... łóżku. Wszyscy będą przebiegać się w piżamy i wchodzić do jej łóżka, aby swobodnie porozmawiać o swych upodobaniach i marzeniach. Realizator audycji, Jim Sinclair mówi: — „Powszechnie wiadomo, że najbardziej intymne rozmowy prowadzi się w łóżku”.

O tempora! O mores!

Potega erotyzmu najlepiej ukazana jest w sztuce: poezji, prozie, malarstwie, muzyce, pieśni. Niekiedy autorzy wyrażali artystycznie swe odczucia, lecz nie mieli odwagi ich podpisywać bądź upowszechniać. Należy do nich Julian Tuwim. Jako młody chłopak napisał wiersz zatytułowany „Faliczna pieśń”, który dopiero w tym roku zostanie wydany w tomie „Dzieł zebranych” poety. Oto jego fragment:

„Na polu złotym, cichym, rozpalonym
Leży Kobieta — naga, biała, silna,
Leży Kobieta — jedyna, żądna, młoda,
Leży Kobieta! Kobieta! Kobieta!!!
I oto idzie ku niej Mąż Ogromny,
Silny i piękny, zagorzały, zdrowy!
Grzany słonecznym upalem południa,
Idzie Mężczyzna! Mężczyzna! Mężczyzna!!!
I wyciąga się kobiecie nogi.
Wnoszą się piersi głębokim oddechem
I rozszerzają się okrągłe biodra
I patrzy w słonco Lono Kobiecości...”

Sex appeal jest pojęciem ogólnym.

A co przede wszystkim pociąga erotycznie mężczyzn. Jakże części ciała kobiecego posiadają największą moc uwodzicielską, wysyłają najsilniejsze sygnały seksualne? Najpotężniejszym środkiem podniecającym są niewątpliwie piersi i pośladki.

Pewien mój znajomy twierdzi, że moda na kobiety „chude i płaskie” jest asekualna i antymęska. Powtarza on, że z punktu widzenia prawdziwego mężczyzny kobieta musi mieć „czym odychać i na czym siedzieć”. Płaskie piersi — powiada — mają sympansice.

W symbolice seksualnej liczą się ponadto: wąska talia, zdrowe i białe zęby, kształt ust, włosy, oczy, nogi, sposób chodzenia i wysławiania się. W biblijnej Pieśni nad Pieśniami obliwienie mówi do obliwieniecy:

„O jak piękna jesteś, jakże wdzięczna, umiłowana, pełna rozkoszy! Postać twoja wysmukła jak palma, a piersi twe jak grona winne. Rzekłem: wspaniałe są na palme, pochwyć gałązki jej owocem brzemienne. Tak! Piersi twe niech mi będą jak grona winne, a tchnienie twe jak zapach jabłek. Usta twoje jak wino wyborne, które spływa mi po podniebieniu, zwilżając uargi i zęby”.

Straszliwa moc sex appeal'u ukazuje Biblia w opowieści o pięknej Zuzannie i dwóch stercach, którzy ją podglądali w kąpiele i usiłowali namówić do cudzołóstwa. Uroda Zuzanny musiała być niezwykła, skoro wszyscy plakali, gdy zdjęta zasłonę z twarzy...

Niezwykłe piękną kobietą była też Nastazja Filipowna Baraszkow. Wyraz twarzy miała „namiętny i jakby wyniosły”. Patrzak w jej ciemne, płomienne oczy wyczuwał się jakiś „głęboki i tajemniczy mrok”. Była to uroda oślepiająca i nie do zniesienia.

Za wielką urodą podążają jednak zwykłe wielkie tragedie

Mężczyźni bowiem jak cmy pędzą do światła piękności i z tej konkurencji wynikają różne nieszczęścia. A co mają robić piękne kobiety? Jak wykorzystać boski czy naturalny dar urody? Jest na ten temat pouczająca bajka.

Dwie piękne róże wędrowały brzegiem Nilu w kierunku Morza Śródziemnego. W tropikalnym upale miały ogromne pragnienie. Za każdy łyk wody musiały płacić jednym plakiem. Pierwsza róża nie żałowała platków i popijała sobie od czasu do czasu. Druga zaś chciała zachować wszystkie płatki i pierwotną urodę, dlatego choć umierała z pragnienia, to dzielnie trwała w ascezie. Gdy w końcu doszły do kresu wędrowki, pierwsza była kompletnie lysa, a druga, niestety, zwiędła.

Jaki z tego morał wynika? Brutalna prawda: dasz czy nie dasz i tak zwiędnieją. Historyjkę tę opowiadają, oczywiście, mężczyźni — el co „biorg” tym co „daj”, bądź mogą „dac”.

Mężczyźni są przewrotni. Chcą, żeby kobiety „dawały”. Nie lubią trw. cnotek. Ale prawie każdy z nich pragnie, żeby jego przyszła żona była cnotliwa. Sami chcą „zerwać” kwiat, który wybrali na całe życie. Żona musi być osobą, która przedtem nie należała seksualnie do nikogo — absolutnie!

Warto zwrócić uwagę, że cnota kobiety kojarzy im się właśnie z kwiatem lub wiankiem kwiatów. Mało kto sobie uświadamia etymologię słowa „defloracja”. Po łacinie „defloratio” znaczy — „ogolnienie z kwiatu”, jak w tej bajce o różach. Pozbawienie dziewictwa nazwano więc bardzo poetycko, choć nie zawsze dla kobiet jest to poezja.

Młoda i piękna dziewczyna jest przedmiotem pożądania wszystkich mężczyzn. Ale o starszych dziewczach, już nawet czterdziestoletnich, mówią z pogardą. Kwiat piękności kobiety nie może rozkwitnąć i zwiędnąć. Musi zostać we właściwym momencie zerwany. Przed inicjacją seksualną kobieta — proszę zauważyć — jest niewinna, a potem wychodzi, że... winna lub ulewinniona przez jej pana i władce, który ją pierwszy zdobył.

Starzejące się kobiety (pisał ktoś już o tym w „Odgłosach”) prowadzą rozpaczliwą i beznadziejną walkę z czasem. Czas jest ich piekłem. Ratują się kosmetykami i strojami. Powinny się ratować, żeby mężczyźni je chcieli. Kobiety przecież często dopiero około 35 roku życia osiągną pełny rozkwit erotyczny. Wtedy potrafią przeżywać miłość fizyczną aż do utraty przytomności, i w żądy są tak gwałtowne, że nieraz przeraża to mężczyzn.

Mężowie i kochankowie muszą pamiętać, że kobiety wolniej dochodzą do szczytu. Dlatego stosunek powinien trwać jak najdłużej. Mężczyźni winni więc powstrzymać ejakulację. Nie wolno im pozostawiać kobiety silnie podnieconej, bo wtedy mogą zostać zmieleni na całe życie. Obowiązkiem mężczyzny jest dostarczyć kobiecie rozkoszy. A obowiązkiem kobiet — tak myślę — jest wierność. Lecz trudno o drugie bez pierwszego...



Rys. Sławomir Luczyński

Stary, pocziwy Grand Hotel w Sopocie stoi smutnie na uboczu wydarzeń i sprawia wrażenie opustoszałego, choć prawie co dzień ma komplet gości. Czekają na gruntowny remont. Kiedyś był festiwalowym centrum: w jego apartamentach mieszkali wielkie gwiazdy, tutaj odbywały się bankiety i cocktaili, lał się szampań, stawiano przez laureatów. Przez kilka sierpniowych dni tłumy ludzi gromadziły się wówczas przed Grandem, by z bliska zobaczyć wychodzących lub wracających z próby wykonawców. Wielu z nas, dawnych festiwalowych bywalców, z rozrzewieniem wspomina tamte czasy, bo działają tam atmosfera już nie taka.

Obecnie festiwalowa recepcja i wszelkie inne biura mieszczą się w na wskroś nowoczesnym hotelu „Marina”, zbudowanym dokładnie na administracyjnej granicy Sopotu i Gdańska. Jest to miejsce, skąd — bez własnego środka lokomocji — wszędzie daleko, chyba że trafi się taksówka.

Festiwal w Sopocie

Skandale też były

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

W ten sposób skutecznie usnięto festiwal z miasta.

Oszklone drzwi „Mariny” można przekroczyć tylko z festiwalową plakietką. Z bramkami drogi się właśnie Wojtek Pijanowski, w końcu okazuje się, że jeden z nich zna twarz wchodzącego z telewizyjnego ekranu, więc wpuszczają go. Po lewej stronie od wejścia mieści się biuro prasowe, ale nie całe, bowiem telexy znajdują się aż w górnym Sopocie, w pobliżu Opery Leśnej. Tam, w akademiku, zakwaterowano też niektórych dziennikarzy. Inny, który też nadaje dalekopisem relacje na bieżąco, pozostaje przymusowy spacer.

Kto i kiedy wymyślił dziennikarskie akredytacje — dokładnie nie wiem, ale pamiętam, że nawet biorąc poprawkę na inflację i różne inne mechanizmy rządzące wartością złotówki, nigdy koszty z tym związane nie były aż tak wygórowane. Byłem w tym roku — na przykład — na festiwalu opolskim, gdzie akredytacja dla dziennikarzy kosztowała jedenaście tysięcy sześćset złotych. W Sopocie suma, którą musi zapłacić redakcja wysyłająca swego przedstawiciela, wynosi jedenaście tysięcy, ale... bez zakwaterowania, a pokój hotelowy na te pięć dni, to jeszcze dodatkowo ponad dwadzieścia tysięcy złotych. Ile redakcji stać na taki wydatek za obsługę własną piosenkarskiej imprezy? A przecież to nie koniec kosztów: dochodzą diety, dojazdy lub przeloty. Jak wyliczył kolega z „Życia Warszawy” jego pobyt w Sopocie kosztował blisko siedemdziesiąt tysięcy złotych, a ślaska „Ranorama” za wyprawę na festiwal publicysty muzycznego i fotoreportera wyasygnowała ponad sto tysięcy. To już zakrawa na paranoję. A ile akredytacja będzie kosztowała za rok?

W tym roku na licznych konferencjach prasowych było raczej tłoczno. Było też ciekawie, bo tematów do dyskusji nie brakowało. Sporo do powiedzenia miała pani dyrektor Wiktorii Kusińska, przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego, która usiłowała udowodnić, jak robi się dobry festiwal w cztery miesiące. Dziennikarze natomiast uważali, że określenie „dobry” nie bardzo pasuje do tegorocznej imprezy, za co nakrzyżtał na niego dyrektor artystyczny — Wojciech Trzcinski, że się nie zna, a on wie, jakie są inne międzynarodowe festiwale, bo tam jeździ jako kompozytor, aranżer i juror. Takie było jego oficjalne zdanie, a gdy prywatnie poprosiłem go o wypowiedź, Wojtek machnął tylko ręką i powiedział: — lepiej nie pytać.

Jak na każdym festiwalu i tym razem zdarzały się afery, aferki oraz było trochę życia.

Największym skandalem oka-

zał się występ grupy „Italian sound”, którą Trzcinski ze względu na najbardziej artystycznych skreślił z programu dnia polskiego, przez co Włosi w ogóle nie byli ani brani pod uwagę przez jury, bo regulamin festiwalu mówi, iż wykonawcy zagraniczni, aby uczestniczyć w konkursie muszą zaśpiewać dwukrotnie. Zespół z Italii trafił do Opery Leśnej za pośrednictwem znanego w estradowych kregach dostawcy „włoszczyzny” Johna Rivera-Strzeleckiego. Ten polskiego pochodzenia internacjonalista już na swym koncie takie sukcesy, jak transplantacja na nasz rynek włoskiego playboya, nazywanego się Marco Antonelli oraz sprowadzenie na „Sopot '88” słynnej grupy „Milk and Coffee”, która nadawała się do różnych rzeczy, ale na pewno nie do śpiewania. W pewnych chwilach John River komponuje, pisze teksty piosenek i procesuje się ze Zbigniewem Bonkiem, któremu swego czasu miał załatwić kontrakt do „Juventus”.

Po decyzji o niedopuszczeniu „brzmienia włoskiego” na festiwalową scenę wspomniany

tep gościa podobał mu się. Ja jednak nie mam przekonania do tej estradowej produkcji. Na szczęście telewizja miała okazję oglądać koncerty XXIV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie bezpośrednio i w całości toteż — mimo sugestii — każdy ma prawo pozostać przy swoim zdaniu.

Nie ma chyba jednakże nikogo, kto zgłaszałby zastrzeżenia do sopockiego występu fenomenalnego Puertorikańczyka — Jose Feliciano. Ten niewidomy od urodzenia wokalista i gitarzysta jest żywym przykładem muzycznego perfekcjonizmu. Potrafił wzruszyć i zachwycić, ponadto specjalnie z okazji wizyty w naszym kraju skomponował dedykowany Polakom utwór na gitarę — „Spanish Polonaise”. Zresztą sam był trochę zażenowany przyjęciem i licznymi dowodami sympatii. Ze Stanów Zjednoczonych przybył także inny gwiazdor — Johnny Cash wraz ze swym licznym zespołem, w którym połowa członków — to jego rodzina. To już światowy klasyk muzyki country z południa USA, a jego recital stano-

może dlatego, że był to wybór z list przebojów programu I Polskiego Radia z ostatnich trzech, czterech lat. Tylko Rosjanka zaśpiewała nieśmiertelne „Remedium”. Krajewski i Trzcinski byli najczęściej prezentowanymi kompozytorami w dniu polskim, ale w Sopocie już dawno zarzucono zabieg mający na celu promocję polskich piosenek na rynku zachodnim.

Tradycyjnie parę słów chcę teraz poświęcić konferansom. Najwięcej napracował się videodiscojockey „Teleexpress” — Marek Sierocki, który miał wprowadzić kilka drobnych potknięć, lecz dobrze wywiązał się ze swej roli. Zapowiadał sensownie i z pewnym wdziękiem, w przeciwieństwie do znanego radiowca Niedźwieckiego. Gospodarzami na scenie Opery Leśnej byli — sprawdzeni przed rokiem — Grażyna Torbicka i Tomasz Raczek, którzy i tym razem nie zawiedli. Sporo niekonwencjonalnego humoru wprowadził Wojciech Mann, zasiadający poprzedniego dnia w łóż jurorów. Niczym nie wyróżniła się Bożena Klimek, spikerka katowickiej telewizji.

Zauważyłem dość dużą dozę improwizacji w tym, co działo się na estradzie, były momenty, a nawet sekwencje, wyraźnie „niedoreżyserowane”. Dyrektor Jerzy Gruza realizował po raz osiemnasty festiwal w Sopocie — może zatem czas pomyśleć o zmianie warty? Nie sprawdził się jak zwykle system oparty na łączeniu się z ośrodkami telewizyjnymi. Są ludzie postulujący inne rozwiązania, które pozwoliłyby w przyszłości uniknąć podobnych kompromitacji i wykluczyłyby możliwość jakichkolwiek spekulacji w czasie głosowania. Tym razem zwycięstwo mało widocznego w konkursie na piosenkę Duńczyka Alana Mortensena nie podlegało dyskusji. Notabene: w Trójmieście z nieśmiertelną przyjeżdża niezbyt elegancka wypowiedź Bogusława Meca podczas punktowania w łódzkim ośrodku TVP.

Na początku pisałem o ogromnych kosztach akredytacji w Sopocie, lecz jeszcze raz chcę wrócić do spraw finansowych.

Ile kosztował festiwal w Operze Leśnej?

Nieznane są jeszcze dokładne koszty, ale orientacyjnie wiadomo, że ogólny bilans przekroczył dość znacznie sumę stu milionów złotych. Podobno nie jest to dużo zwyczajny, iż przyjazd Jose Feliciano kosztował jedenaście milionów w złotych, a ekipy Johny Cashe — prawie dwadzieścia milionów. Dotacja ze Skarbu Państwa wspierająca organizację „Sopotu '87” jest podobno niewielka, a resztę pokrywają: Polska Agencja Artystyczna „Pagart”, Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, Baltycka Agencja Artystyczna i kilku innych rodzimych państwowych sponsorów.

Swoistym novum było pojawienie się na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie jeszcze jednego sponsora z poza kraju. Szwedzka firma STM dała z własnej kiesy — uwaga — trzydzieści tysięcy dolarów na nagrody w dewizach. Laureaci otrzymali czek na okaziciela z możliwością ich realizacji w każdym amerykańskim banku na świecie. Dlaczego tak się stało? Odpowiedź na to pytanie przekracza ramy tego artykułu, a relacja może śmiało posłużyć za kanwę powieści sensacyjnej. Dziennikarze przez cały festiwal weszli, próbowali coś wyciągnąć z organizatorów, zadawali kłopotliwe pytania, które pozostały bez odpowiedzi. Aż odbyła się konferencja prasowa firmy STM ze Szwecji i... zupa się wylała. Bulwersujący przebieg zdarzeń związanych z organizacją przepychanką, jaka miała miejsce jesienią, zimą i wiosną tego roku, jak również rolę firmy STM w tym całym balaganie spróbuję opisać w następnym numerze „Odgłosów”.

Sopocki festiwal zakończył się. Można już wejść do „Mariny” bez plakietki. Spotykamy się w gronie znajomych przy kawie w podniesionym już, lecz ciągle pełnym staroświeckiego uroku Grand Hotelu. Wymieniamy kilka uwag i pojawia się stare powiedzonko: Festiwal, jak to festiwal, niech sobie będzie, tylko żeby nie te koncerty...

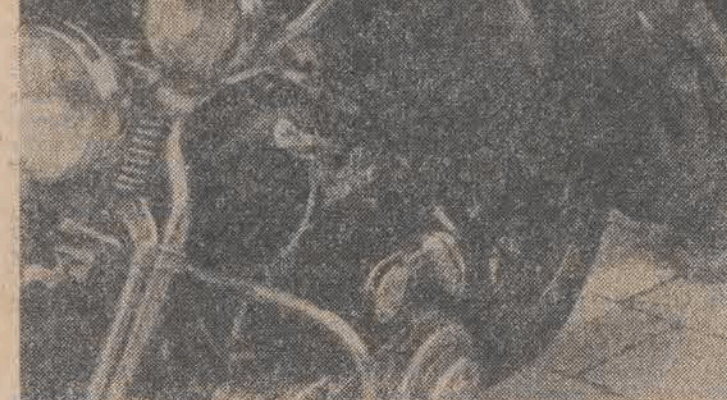
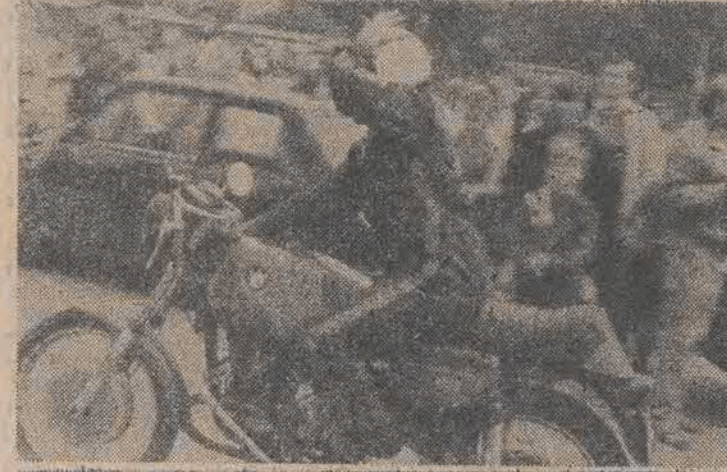
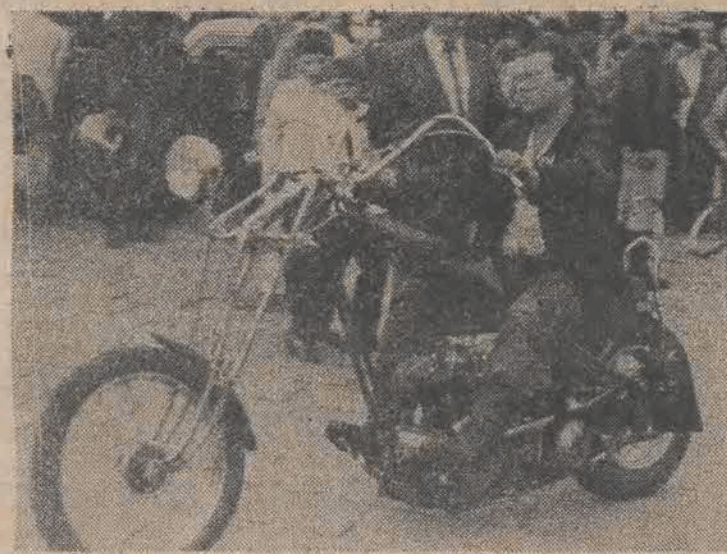
Stare, ale jare!

PIOTR JASKOW

Harleye Davidsons, NSU, BMW, Nortony, BSA, polski „Sokół” i wiele innych motocykli weteranów, stawiało się na V „Złocie”, którego organizatorem — i zarazem patronem — był Automobilklub Łódzki, obchodzący w tym roku 60-lecie swego istnienia oraz 15-lecie Koła Motocykli Weteranów Harley Davidson i M.M. I tak w dniach od 13 do 16 sierpnia spotkali się w miejscowości Łódź, w pobliżu Łodzi — miłośnicy starych motocykli z Ameryki, Francji, Niemiec, Holandii, Czechosłowacji i oczywiście z Polski.

„Widiak”, bo taką nazwę ma Złoty, był imprezą niezwykle udaną. Miłośnicy starych motocykli mogli wymienić doświadczenia (każdy z nich sam przecież dba o swoje stare, ale nadal jeżdżące — i to nieźle! — cacko), wzięli udział w specjalnie dla nich zorganizowanym rajdzie turystycznym, konkursie sprawności i elegancji, oraz wyborze motocykla we wszystkich klasach.

Nikt, kto uczestniczył w imprezie, bo także kibice, nie żałował. Nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć, że brakowało mu wrażeń. Bowiem naprawdę było na co popatrzeć, o czym z łatwością przekonuje nasz fotoreportaż z tej wspaniałej imprezy. Naszym zdaniem dobrze się dzieje, że dzięki zamilowaniu kilku dziesięciu zapaleńców, te wspaniałe, widoczne na zdjęciach maszyny — stare, ale wciąż jare — ocalane są od zapomnienia.



wił wielką frajdę dla wielu sympatyków tego gatunku, choć ze względu na swą jednorodność było nieco nudzący.

Gdyby oceniać dwudziestu czterech wykonawców uczestniczących w koncertach konkursowych, to trzeba powiedzieć, iż poziom festiwalu był raczej przeciętny, na pewno zdecydowanie niższy niż przed rokiem. Aczkolwiek w grupie solistów i zespołów znalazło się kilku wykonawców prezentujących zupełnie przyzwoite przygotowanie warsztatowe: do nich zaliczyłbym też obie reprezentantki Polski. Gdy wiosną zastanawiałem się, kto mógłby z naszego kraju wystąpić w Sopocie nie po raz pierwszy doszedłem do wniosku, że tu nie ma kto śpiewać, chociażby oblał polskie piosenkarki w gruncie rzeczy są trochę do siebie podobne (wiek, przebieg kariery, możliwości), czy inaczej mówiąc — nie są skonstruowane. Uważam zatem wybór za słuszny. Joanna Zagdańska, nieprzychylnie przyjęta przez polską bądź co bądź publiczność, zaśpiewała zupełnie poprawnie i zdobyła nawet nagrodę tyle, że za wytarło od ubiegłorocznego Opola „Rękawiczki”. Majka Jezowska również nieźle byt starannie dobrała repertuar: śpiewając drugą piosenkę z tekstem o podniesieniu cła na winogrona zepsuła wrażenie dość ciekawej pierwszej pozycji.

Nie będę komentował werdyktu jury.

Ten zawsze jest przedmiotem dyskusji, tym bardziej, że — jeszcze raz podkreślam — słuchałem identycznego zestawu utworów, co Czytelnicy. Odnotuję natomiast brak w tym roku na scenie Opery Leśnej przedstawicieli Japonii: jakby w to wolne miejsce przyjechała Chinka Wei-Wei i można powiedzieć, że wróci do swej ojczyzny z sukcesem. Słuchając w jej interpretacji polskiej piosenki, przypomniałem sobie drażniącą maniérę Wojciecha Młynarskiego, który w ubiegłym roku w paru równoległych tekstach zastosował uporczywie powtórzenia (Geppert śpiewała „życie kocham cię, kocham cię, kocham cię nad życie”. Majewska powtarzała „ocean, ocean, ocean”, Błażczyk zaczynała się na wyrazie „aria, aria, aria”, a Bajon zadawał „cios za cios, cios za cios, cios za cios”).

Z satysfakcją podsumować można udział w festiwalu orkiestry Alex Band pod dyktando Aleksandra Mallszewskiego. Muzycy wykonali naprawdę gigantyczną pracę i to w dobrym stylu. To zespół na światowym poziomie — jak mówili niektórzy z gości. W superlatywach wypowiadał się też o Alex Bandzie sam Jose Feliciano, co może być autentycznym komplementem.

Polskie piosenki z powodzeniem wytrzymały konkurencję z zagranicznymi propozycjami

River wykonał kilkanaście interwencyjnych telefonów do ważnych warszawskich urzędników, próbując z zewnątrz wywrzeć presję na kierownictwo festiwalu. Manewr jednak się nie udał. Niestety, do tej pory nie ustalono, kto stoi za panem Johnem River-Strzeleckim, choć były ze strony dziennikarzy próby w tym kierunku. Trzeba to jednak zrobić jak najprędzej, nim przywiezie on kolejną szmirę z Włoch albo Skandali.

Zresztą John River-Strzelecki już na samym początku zaznaczył swoją obecność w Sopocie — on pośredniczył w zakupie za dwa miliony dziewięćset tysięcy (chyba polski kontrahent tę stówę utargował) piosenkarszą pseudonimie Gazebo. Poziom wykonawczy tego ostatniego (a śpiewał on z pełnego play backu) był tak wysoki, że zespół redakcyjny wewnętrznej biuletynu festiwalowego postanowił mu przyznać własną nagrodę w wysokości... 50 złotych.

Rzeczony Gazebo występował na festiwalu — o ironio! — jako gwiazda. Dosłownie w ostatniej chwili, nie wiedząc czemu, wciśnięto na się do programu pozakonkursowy minirecital zespołu „Kombi”. Pretekstem miało być wręczenie im dwóch złotych płyt za ostatnie longplay'e oraz chęć pokazania grupy po trzymiesięcznym pobycie w Stanach Zjednoczonych. Abstrahując od tego, czy ktoś lubi „Kombi” i czy odpowiada mu ta muzyka, uważam, że w niczym nie wzbogaciło to koncertu, a wręcz przeciwnie, krzywdę wyrządziło też Stanisławowi Sojce. Artysta ten, jako jeden z nielicznych, z powodzeniem kontynuuje międzynarodową karierę, a jego akcje na Zachodzie rosą. To prawda, że podczas „Sopotu '87” istniała szansa przedstawienia jego twórczości i zarówno on, jak i towarzyszący mu zespół, potwierdzili swój pełny profesjonalizm, ale był to kwiatek przypięty do kocha. Sojka nie jest łatwy w odbiorze i usytuowanie go w programie po piosenkach rozrywkowych sensu stricto, a w oczekiwaniu na głosowanie ośrodków telewizyjnych, w dodatku już po przerwie, kiedy publiczność wraca jeszcze na swoje miejsce było sabotażem. Publiczność nastawiona na słuchanie tego rodzaju repertuaru nie z takim przyjemnością Sojkę aplauzem.

Gwiazdy przyjechały do nas z zagranicy.

Stosunkowo najbliższą miał do nas Walerij Leontiew, piosenkarz i showman ze Związku Radzieckiego. Obserwatorzy przyjęli jego pokaz z mieszanymi uczuciami. Dyrektor Henryk Debiński, który przebywał w Sopocie prywatnie na czasach, stwierdził w rozmowie ze mną, że „Leontiew to takie trochę skrzyżowanie Wysockiego z Pułaczową”, lecz generalnie wys-

nia lekarskie — niby czy może pracować na wysokościach, siedemnastego zaczął robotę, a już dwudziestego pan Andrzej wypłacił mu pierwsze dwa kasy zaliczki. Gdzie indziej pchnąłby sprawę tak szybko? Nie słyszał jeszcze o takim przypadku na państwowym.

Inne zwyczaje panujące na budowie też Edwarda S. trochę dziwiły. Choćby to, że trzeba robić po dziesięć godzin dziennie we własnym ubraniu robotniczym, bez kasków, nie ma kawy, przerwa śniadaniowa trwa dokładnie pół godziny, pan Andrzej odlicza od zarobków po piętnaście minut za każdego wypalonego papierosa i stanowczo nie pozwala pić — nawet po trzynastej. Każdego wypitego natychmiast odsyła do domu z tym jednakże, że można za to nie przyjść choćby i kilka dni bez żadnego usprawiedliwienia i nie traci się nic poza dniówką. Taki układ. A że korzysta-

to takie numery odstawia? A skąd on wie, że wypadek stał się na budowie? Widział to kto? Ano właśnie, nie. Poza tym przecież Edward S. nie był tu etatowym robotnikiem. Czego więc chce? Niech idzie sobie chorować i da mu spokój, bo robota czeka. Nie ma czasu.

We wtorek Edward S. przykuśtykał znowu — dla odmiany ze zwolnieniem lekarskim, wystawionym przez Poradnię Ortopedyczno-Urazową przy Armii Czerwonej na podstawie skierowania na badania lekarskie z szesnastego czerwca. Opiewało na dziewięć dni, a w miejscu przeznaczonym na wpisanie zakładu pracy widniała nazwa: Akademicka Spółdzielnia Mieszkaniowa — zgodnie z pieczęcią na skierowaniu. Chodził tylko o to, żeby był ubezpieczony — wyjaśnił Edward S. majstrowi — niech pan przystawi pieczęć w dowódzie i wyrobi mi legitymację ubezpieczalni. Resztę jakoś się załatwi i będzie spokój. Ale pan Andrzej w dalszym ciągu był niewzruszony.

Prywatnego nie obchodzi, skąd przyszedłeś, byłeś od razu zaczął machać łopatką.

Pracować „na friko”

ja z niego praktycznie wszyscy robotnicy, Edward S. też skończył: od dwudziestego drugiego do dwudziestego szóstego. Ot, trochę zabalaganil. Każdemu może się zdarzyć. Ale w następny poniedziałek, dwudziestego dziewiątego znowu był przecież w robocie o czasie i solidnie pracował do końca tygodnia, a dokładniej mówiąc — do godziny dziesiątej z minutami trzeciego lipca, kiedy to uległ wypadkowi, przez który znowu został, niestety, na lodzie.

Było tak, że w piątek miał na budowę przyjechać prezes spółdzielni i majster kazał mu na te okoliczności zrobić porządek przed bramą na ulicy. Potem czekało go skuwanie rozlanego betonu z balkonów, poszedł więc do garażu, gdzie leżały narzędzia, po miotek i przebijak, potknął się o jakiś kabel czy drut, przewrócił i stłukł sobie kolano. Oczywiście od razu powiedział o tym panu Andrzejowi, żartowali nawet, co będzie, jak odetną mu teraz nogę, ale że ból nie był zbyt silny, doczekał jakos do siedemnastej. Skąd mógł przypuszczać, że w sobotę nogę spuchnie jak bania i pogługuje z nią w końcu na pogotowie? No, skąd?

Lekarz dyżurny nie przyjął jednak takiego tłumaczenia i obiecał go zdrowo, nie zjawiać się zaraz po wypadku. (A miał przecież od budowy zaledwie kilkadziesiąt metrów, zatem żaden problem!) Z takim sprawami nie ma żartów. I rzeczywiście, prześwietlenie wykazało odłamanie kości, więc nogę trzeba było włożyć w gips. Na jak długo? Trudno powiedzieć, ale raczej na długo — może na parę tygodni, może parę miesięcy, wszystko zależy, jak będzie się zrażać.

Dla Edwarda S. perspektywa ta nie wróżyła nic dobrego. Wprawdzie w piątek znowu wziął zaliczkę od majstra — tym razem cztery tysiące — ale przecież nadal był bardzo potrzebujący, a siedzeniem w domu, wiedzieli, nie zarobi. Co gorsza, nie załatwił jeszcze tych cholernych badań lekarskich — nie tyle z braku czasu, co przez zaniechanie — i pan Andrzej nie chciał mu wstępować w dowód, że jest w Akademickiej Spółdzielni Mieszkaniowej zatrudniony. Oba widać do tego się nie spieszyli i teraz wychodziło, że przez cały czas, jak jeszcze paru gości, tyrał „na friko” niczym u prywatnika, a to również mogło oznaczać kłopoty. Stracił wszak ciągłość pracy i prawo do bezpłatnego leczenia. Gdyby tak teraz przyszło mu na przykład zapłacić tylko za pogotowie? Może jednak nie będzie tak źle — pomyślał przez niedzielę i w poniedziałek rano już przed siódmą zjawił się przed bramą budowy z zaświadczeniem z pogotowia.

Pan Andrzej, jak je zobaczył, wściekł się i nawet gadać nie chciał. Jak to? Z dobrego serca dał mu zarobić, bo człowiek prosił, mówił, że nie ma z czego żyć, a on mu w podzięce za-

— To niech pan przynajmniej powie, jak nazywa się prezes spółdzielni i gdzie go można znaleźć? — zapytał odchodzącego majstra. Ten jednak stwierdził krótko, że nie zna żadnego prezesa i już było po rozmowie.

W środę zamiast leżeć w łóżku Edward S. pojechał szukać sprawiedliwości na Traugutta do Państwowej Inspekcji Pracy. Powiedzieli mu tam, że w ciągu dziesięciu dni należy sporządzić protokół powypadkowy, ustalono, że prezes spółdzielni pracuje w Politechnice Łódzkiej i podano numer centrali.

W czwartek zatelefonował do prezesa, który poradził mu, żeby zgłosić się do kierownika budowy. On sam nie może teraz nie robić, bo idzie właśnie na urlop i nie będzie go aż do trzeciego sierpnia.

W piątek, dokładnie w tym dniu po wypadku Edward S. wrócił więc z powrotem na budowę. Kierownika jednak nie zastał, a nikt nie wiedział, gdzie jest, kiedy będzie, jak można się z nim skontaktować. Edward S. nie poznał go do dzisiaj, choć może nawet i widział. Tytuł różnych przyjeżdżało tam ludzi. Wszyscy ze wszystkim szli zawsze do pana Andrzeja, on zatrudniał, zwalniał, wydawał kartki, płacił pieniądze, dzielił robotę. Teraz zaś również on nie chciał pomóc. No to niedoszły pomocnik murarza wkurzył się nieco i powiedział, że jak nie, to nie, on to załatwi inaczej. I poszedł. Poszedł myśleć, jak, bo prawdę mówiąc, sam dobrze jeszcze nie wiedział, co powinien zrobić dalej, gdzie dochodzić swoich praw.

2.

Są budowlani i budowlani. Ci pierwsi — z wyboru, ci drudzy — z przypadku. Bo jak człowiek nie ma już gdzie iść, najczęściej idzie na budowę. To takie schronisko dla nieprzystosowanych, na których patrzy się tam zawsze przez palce.

Kto chce mało forsy za mało pracy, trafia zazwyczaj do państwowego. Kto odwrotnie — szuka prywatnego przedsiębiorstwa budowlanego. Nie ma żadnego przymusu, i tu i tam przyjmują się w zasadzie wszyscy. Bywa, że nawet z pocóżkami w ręce. Niestety, zazwyczaj na krótko. Taki facet przecież nigdzie dłużej nie zarębie. Ciągłe go gdzieś gna.

Andrzej P., mistrz w firmie Bogdana L., która między innymi świadczy usługi budowlane dla Akademickiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy Abramowskiego 6/10 w Łodzi, pokazuje dokumenty, z których wynika, że tylko od stycznia 1987 roku przez ten jeden wznoszony budynek przewinęło się już ponad trzydziestu robotników. Zaledwie kilku pracuje dłużej niż miesiąc, dwa. Niektórzy po parę dni, parę tygodni. Przyszedł, dorobił trochę, wziął zaliczkę, zapłacił i już się więcej nie pokazał. Czasem zostawił nawet zło-

żone dokumenty, z którymi nie wiadomo potem co zrobić.

Są tacy, co potrzebują tylko pieczątkę w dowodzie, żeby przez następne trzy miesiące mieć spokój. Jak go zatrzyma milicja, pokazuje, że zatrudniony, a naprawdę pije, kradnie i Bóg wie jeszcze co.

Andrzej P. oczywiście chciałby mieć u siebie samych normalnych ludzi, zdaje sobie jednak sprawę, że jest to po prostu niemożliwe. Zostałby chyba sam jeden. Takie, niestety, są realia. Przyjmuje więc każdego, kto się zgłosi, płaci zaliczkę, nie pyta o powód kilkudniowych absencji, nie zwalnia nikogo dyscyplinarnie. Patrzy tylko, żeby nie było picia na budowie, bo o wypadek nie trudno. A gdy się ktoś obija, potrąca mu po prostu z pensji. I to skutkuje.

Co zaś się tyczy Edwarda S., to zgłosił się on gdzieś w połowie czerwca, pokazał zaświadczenie, że wyszedł z więzienia, dostał skierowanie na badania lekarskie i przepisał jak kamień w wodę. Pojawił się znowu na początku lipca, w piątek. Mówił, że nie ma na chleb, no to Andrzej J. dał mu tysiąc sześćset zaliczki, licząc po sto sześćdziesiąt na godzinę i kazał zamieścić ulicę. Żadnego wypadku nie widział, nie słyszał też w piątek, żeby coś się stało. Natomiast w poniedziałek Edward S. przyszedł ze zwolnieniem lekarskim, żądając, by mu od razu zapłacić za okres choroby. Oczywiście nie dostał już ani grosza. Nie dostał też pieczątki w dowodzie, gdyż po pierwsze przepracował zaledwie jeden dzień, a po drugie — miał przecież zrobić badania lekarskie i nie zrobił. Zaniedbał sprawę — jego strata. Dlaczego Akademicka Spółdzielnia Mieszkaniowa, która oficjalnie zatrudnia robotników, miałaby teraz ponosić za niego odpowiedzialność? Poza tym cała ta historia na kilometr pachnie czystym cwaniactwem. Andrzej P. zna dobrze takie numery i nie daje się na nie nabierać.

Później Edward S. pokazał się jeszcze raz, pytając o kierownika. Andrzej P. odpowiedział, że jego nazwisko jest na tablicy informacyjnej, a w ogóle kierownika nie ma, gdyż jest na urlopie. Odpowiedział spokojnie i wtedy Edward S. zaczął krzyczeć, odgrzązał się, straszyc. Więcej nie widział go na oczach.

3.

Janina C., zamieszkała przy ulicy Abramowskiego, znajoma Edwarda S. nie może uwierzyć, że majster z budowy powiedział, iż Edward S. przepracował u niego tylko jeden dzień. Jak to? — pyta. Przecież parę razy zachodził do niej po robocie, dwa czy trzy razy widziała go około jedenastej, gdy w roboczym ubraniu siedział na śniadanie do baru „Robotniczego”, syniostwa zaglądali na budowę, rozmawiali tam z nim. O co to chodzi? Chyba, żeby teraz nie płać za niego, uniknąć odpowiedzialności.

Fakt, że Edward S. pracował na budowie — z tygodniową przerwą — nie jeden, a ośmiem dni, potwierdzają też inne osoby. On sam zaś wyjaśnia, iż wziął od Andrzeja P. nie tysiąc sześćset, ale w sumie ośmiem czterysta. Ostatnie dwa czterysta — w poniedziałek, kiedy przyszedł już z nogą w gipsie i zaświadczeniem z pogotowia. Pan Andrzej powiedział wtedy, że skoro muszą się rozstać, to tyle należy mu się jeszcze za przepracowany czas. I dał mu pieniądze bez słowa. Tyle, że ani ta, ani poprzednie wypłaty nie były nigdzie odnotowane. Pracował „na friko” i forsy też brał na friko. Tylko dla tych, co byli zarejestrowani, sporządzano listę płać.

Prawo stanowi, iż pracodawca nie tylko wymaga od pracownika pracy, płaci mu za nią, ale ma również wobec niego pewne obowiązki — między innymi w sytuacji, gdy pracownik podczas wykonywania czynności zawodowych ulegnie wypadkowi. Początek zatrudnienia zaś nie liczy się od momentu podpisania umowy o pracę, ale — dopuszczenia do niej. Nawet więc gdyby Edward S. przepracował tylko jeden dzień, jak twierdzi Andrzej P., ma podstawy, by domagać się teraz bezpłatnej opieki lekarskiej z tytułu zatrudnienia go na budowie, choćby i nawet „na friko”.

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

Plotki zarzucają im uprawianie pogańskich kultów i ceremonii. W latach pięćdziesiątych podejrzewano, że są na służbie wywiadu USA!

Zaufaj Jehowie

ANDRZEJ KAROLCZAK

1.

Stadion „Start” w Łodzi, sobota ósmy sierpnia. Około 300 osób, przeważnie ludzi młodych oczekuje w skupieniu na akt chrztu. Wysłuchują przemówienia, następnie odbywa się ceremonia. Akt chrztu, jak (najprawdopodobniej) u pierwszych chrześcijan, odbywa się przez pełne zanurzenie ciała w wodzie...

To już drugi dzień Zgromadzenia Świadców Jehowy w Łodzi. Na stadionie, przez trzy dni modliło się, śpiewało, wysłuchiwało przemówień i komentarzy do tekstów biblijnych kilka tysięcy wyznawców z Łodzi i centralnych dzielnic kraju. Pewną monotonię imprezy przeprawy akcje parateatralne, jakby nazwał je fachowiec — teatrológ.

Świadców Jehowy było w tych dniach widać w całym mieście. Wszyscy wyróżniali się plaketkami, przypiętymi do odzieży. Wszyscy zachowywali się godnie, poważnie, choć znaczną część zgromadzonych stanowiła młodzież. Na stadionie panował wzorowy porządek. Nie od dziś wiadomo, że właściciele stadionów i sal chętnie wynajmują je na takie zgromadzenia. Świadców Jehowy płać za wynajem jak wszyscy, a zostawiają po sobie porządek większy, niż zostali.

2.

Ktoż się nie zetknął ze świadkami Jehowy? Nie wiem jak w innych miastach ale w Łodzi — wszyscy. Do mnie przychodzili już kilkakrotnie, zwykle w niedzielne przedpołudnie i proponowali rozmowę na temat „najstarszej księgi świata, to jest Biblii”. (Co zresztą ma być z prawdą i ogromną większością chrześcijańskich egzegetów Biblii wcale się przy tym twierdzeniu nie upiera). Nawiedzała mieszkania wszystkich moich znajomych. Raz zaproszeni pojawiali się powtórnie, nawet bywali nieco natrętni, kiedy okazywało się niechęć do kontynuowania rozmowy...

Sami obliczają ilość wyznawców na całym świecie na przeszło trzy miliony. W Polsce na 100 tysięcy. Nieoficjalne obliczenia władz działają na korzyść przez dwa.

Kim są? Fantastyczne plotki zarzucają im uprawianie pogańskich kultów i najdziwniejszych wierzeń i ceremonii. W latach pięćdziesiątych ogólna podejrzliwość władz bezpieczeństwa spowodowała inwigilację: podejrzewano wręcz, że są organizacją polityczno-agenturalną na służbie USA!

W istocie świadkowie Jehowy, to jedna z licznych grup religijnych chrześcijańskich i reformatorskich, która powstała w drugiej połowie ubiegłego wieku w USA, a na przełomie stuleci zdobyła wyznawców w Europie. Nowe wyznania reformowane mnożyły się wówczas w Stanach Zjednoczonych: różnych odmian metodystów i adwentyści, Badacze Pisma Świętego itd.

Dlaczego akurat w USA? Przyczyn jest wiele. Z jednej strony napływ wyznawców różnych religii do Stanów jeszcze w siedemnastym i osiemnastym stuleciu, z drugiej strony niespotykany wówczas w innych krajach liberalizm amerykańskiej demokracji w sprawach wolności sumienia, wyznania i głoszenia poglądów. A przyczyną — jak sądzę — najistotniejszą była, bardzo akcentowana przez założycieli wszystkich wyznań reformowanych, obowiązek studiowania Biblii, rozmyślania nad nią i interpretowania jej.

Jednym z bardziej oryginalnych efektów samodzielnego interpretacji Nowego Testamentu przez Badaczy Pisma Świętego było przeświadczenie, że Chrystus nie został ukrzyżowany tylko zginął, śmiercią równie męczeńską, przybito do pala. Ten — wydawał by się mogło — drugorzędny szczegół ma jednak znaczenie ogromne: w efekcie świadkowie Jehowy, nie używający krzyża jako swego symbolu odcinają się od wszystkich wyznań chrześcijańskich, od katolicyzmu rzymskiego i prawosławia na adwentyzm i metodystach kończąc. Niewykluczone, że z tego — między innymi — powodu uważa się ich za niechrześcijan a „neopoganizujących” bądź „neojudaizm pogańskich” co zdaje się — na jedno wychodzi...

3.

Wszystko zaczęło się od powtórnego przyjeżdżania na świat Chrystusa. Kiedy ogromna część teologów reformatorskich i interpretatorów Biblii zajmowała się ustalaniem terminu końca świata i powtórnego adwentu, niejaki Charles Taze Russell odkrył, że powtórnie przyjdzie Chrystus na ziemię już nastąpiło! Było to w roku 1874 i Jezus Chrystus nie przybrał tym razem ludzkiej postaci i dlatego nikt (albo prawie nikt) o tym nie wiedział. Ruch, kierowany do roku 1916 przez Russella zajmował się głównie działalnością egzegetyczną i wydawniczą. Przybrał nazwę „Badacze Pisma Świętego”. Russell umiera jako Prezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia BPS, rozwijającego się już nie tylko w USA ale w wielu krajach Europy. Jego następcą był Joseph Franklin Rutherford. Zmodyfikował wiele doktryn poprzednika i — doprowadził do podziału ruchu w roku 1935 na „Russellistów” i „Rutherfordystów”. Sam Rutherford stał na czele organizacji Jehova's Witnesses (Świadców Jehowy).

Obecnie ruch „badaczy” na świecie i w Polsce dzieli się na cztery główne odłamy, z których — jak się wydaje — ruch świadków Jehowy jest chyba najprężniejszy i najliczniejszy.

Początek ruchu w Polsce nie są dokładnie zbadane. Przypuszcza się, że już około roku 1910 był w Polsce sam Russell, a pierwszy zbiór powstał jeszcze wcześniej. Z dokumentów historycznych wiadomo, że dekret z roku 1906 zezwalał na działalność „badaczy” na terenie Królestwa Polskiego a reskrypt warszawskiego generała — gubernatora z roku 1913 i rozporządzenie oberpolimajstra warszawskiego zezwalał grupie Badaczy Pisma Św. na odbywanie zebrań w prywatnym mieszkaniu niejakiego Wincentego Kina. (Powyższe podaje na podstawie książki Andrzeja Tokarczuka „Trzydzięści wyznań” KIW 1971 — przyp. AK).

Wyznanie „Świadców Jehowy” działające w Polsce od roku 1935 zostało w 1950 zdelegalizowane i stan ten trwa do dziś. Co, oczywiście, nie oznacza, że zabrania się im uprawiania praktyk i propagandy religijnej, jak choćby wspomniane na początku masowe zgromadzenia.

4.

Założeniem doktrynalnym, leżącym u podstaw ideologii ruchu jest wiara w jednego Boga, w Chrystusa Zbawiciela, w powrót, czyli powtórne Zmartwychwstanie Syna Bożego. Są to dogmaty wszystkich bez wyjątku wyznań chrześcijańskich i dlatego też świadkom Jehowy nie sposób odmówić przynależności do ogólnowyznaniowej rodziny wyznań chrześcijańskich, choćby nawet sami traktowali to niechętnie. Często zresztą tak bywa — Jehowici podkreślają swoją odrębność, swój niechętny stosunek do innych wyznań, całkowitą obojętność dla ekumenizmu.

Zasadniczą różnicą doktrynalną to owo pojawienie się Chrystusa na Ziemi w roku 1874, co zapoczątkowało nową erę w dziejach ludzkości. Ale to jeszcze nie wszystko: otóż w roku 1911 stracony został na Ziemi szatan, który wcześniej przebywał w niebie (!). Od tego czasu wszystko się pogorszyło ale wierni nie powinni tracić nadziei — Królestwo Boże na ziemi jest bliskie!

Wprawdzie Bóg, rządzącym na ziemi towarzyszyć będzie zaledwie 144 tysiące wybranych, którzy dostąpią nieśmiertelności ale też inni sprawiedliwi mają szansę na bardzo długie, trwające setki lat szczęśliwe życie. Nie trzeba dodawać, że sprawiedliwi to wyłącznie świadkowie Jehowy...

Darujmy sobie dalsze rozważania doktrynalne, autor niniejszego tekstu nie czuje się kompetentny w tej problematyce. Zajmijmy się niektórymi praktycznymi, społecznymi skutkami doktryny. Jest ona tak niejasna i wieloznaczna, że można by wyciągnąć z niej wnioski różne i przeciwstawne. Metoda badawcza bowiem, przyjęta przez badaczy pisma opiera się na rozszyfrowywaniu symboli i przeciwieństw w tekstach biblijnych, co często prowadzi do komplikowania tego, co już jest niejasne i skomplikowane. Podobnie język, używany przez kaznodziejów i autorów jehowickich wydawnictw jest świadomie archaizujący, niejasny, wieloznaczny.

5.

Na ziemi królują szatan. Zatem wszystko co jest jakimkolwiek władzą, pochodzi od szatana. Szatański ogół pochodzi z państwa, rządu, parlamentu. A już Organizacja Narodów Zjednoczonych to wręcz rząd światowy, kierowany przez szatana osobiście! Skąd o tym wiadomo? Ano stąd, ONZ nie przyjmuje nauki świadków Jehowy. Ponieważ świadkami kieruje osobiście i bezpośrednio Chrystus, przebywający na „ziemi” to ONZ kieruje szatanem...

Jest zatem oczywiste i jasne, że świadkowie nie wolno oddawać w jakikolwiek sposób czci symbolom narodowym, sztandarom, godłom, hymnom. Jest to oddawanie czci samemu... szatanowi!

Jedną z najcenniejszych wartości człowieka jest życie. Nie ma zatem większego grzechu jak zabijanie. Nawet w obronie. Zwłaszcza w obronie ojczyzny, choć to przecież służba państwu, a państwo to szatan i ab ovo... Patriotyzm to... jeden z największych grzechów. Zatem antypatriotyzm, jako przykazanie o najwyższej wartości moralnej narzuca wrogi stosunek do wszelkiej władzy a także do kultury narodowej. Czytanie takich dzieł jak „Iliada”, „Pan Tadeusz” czy „Trylogia” jest również grzechem. Są to przecież teksty nawołujące do wojny, do zabijania w imię lojalności dla ziemskich (czyt. szatańskich) wartości i idei...

6.

Wystarczy. Ciekawych odsyłam do łatwo dostępnych wydawnictw świadków Jehowy i innych grup badaczy Pisma Świętego. Gwoli sprawiedliwości dodać trzeba, że świadkowie w swych środowiskach pracy znani są jako ludzie prowadzący skromny tryb życia, ustepliwi, łagodni, nie piją, nie palą i nie narkotyzują się. Są uczciwi i prawdomówni. Bywają tylko niezwykle nieustępliwi w sprawach, które ściśle określa ich doktryna religijna. Nie wstępują do żadnych organizacji, odmawiają brania udziału w jakichkolwiek działaniach społecznych. Także — służby wojskowej, co w niedalekiej przeszłości prowadziło do różnych konfliktów i jednostkowych tragedii. Dziś świadkowie pełnią służbę zastępczą.

Z biblijnej zasady, zabraniającej krwiopijstwa świadkowie Jehowy wyciągają wniosek, że grzechem jest transfuzja krwi. Nigdy nie wyrażają na nią zgody... Trzeba przyznać, że postępy AIDS i tak — w pewien sposób — sprzyjały ich doktrynie...

7.

W trakcie trzydniowego zgromadzenia poprosiłem dwóch wyznawców o parę słów na temat hierarchii i organizacji. Odmówili, ku mojemu zdziwieniu. Wiem skądinąd, że wszystkim obowiązuje określona działalność kaznodziejska, propagandowa. Dopiero w jednym z przemówień znalazłem wytłumaczenie ich niechęci do komentowania spraw hierarchii i organizacji: obowiązuje ich ścisła dyscyplina i pełna lojalność w stosunku do swych władz religijnych. Wszak na czele stoi osobiście sam Jezus Chrystus. Toż cała hierarchia pochodzi z jego osobistej nominacji...

„Nie bierzcie nigdy do ust wódki. Cokolwiek powstaje za sprawą wódki jest niskie, nieplodne, niecelowe, histeryczne, a najczęściej podłe”.

Stefan Żeromski „Róża”

CZY ZNAJĄ PAŃSTWO KACA?

Na 100 zapytanych 99 odpowiedziało twierdząco. Jeden nie był zdolny przyjąć zdecydowanej postawy — kac go czekał na jutro.

„Kto ma kaca, ten wraca” — z wyliczanki dzieci bawiących się w chowanego.

Z PAMIĘTNIKA EDZIA

Czwartek. Zaczynam wszystko od nowa. Nie po raz pierwszy, zresztą. Śniadanie (za ostatnie pieniądze); mleczko, bu-

Marek: — Alkohol pozwala przełamać mi barierę, osiągnąć pewien luz.

Anka: — Jestem dziewczyną towarzyską. Nie ma dziś imprezy bez alkoholu. Kiedyś smakowało mi tylko wino, teraz nie brzydzę się czystą wódką. Alkoholizm? Na pewno mi nie grozi.

Jurek: — Kiedy wypiję mam świetny humor i fantazję. Tylko dlatego piję!

Rysiek: — Powiedziałbym ci dlaczego piję, ale tego i tak nie wydrukują.

CAŁE ŚRODOWISKO PIJE

twierdzi doktor R. Krasilewicz, kierownik Poradni Higieny Psychiczej i Zdrowia Psychicznego dla Szkół Wyższych w Łodzi. Jednak na pytanie — ilu jest (procentowo) alkoholików w środowisku studentów — nie można odpo-

ejentami kończy się zwykle zapisaniem „anticoli” jako w miarę łagodnego środka farmakologicznego.

Andrzej: — Brałem anticol! Po jakimś czasie zaprzestałem. Kilka dni później była okazja do wypicia. Myślałem, że zdechnę. Dostałem takiej egzemy na pisku — byłem zielony, serce mi łomotało, nie mogłem zejść z drugiego piętra, mdłości i wymioty. I to wszystko po setce wódki.

I dlatego każdy pacjent podpięciem zaświadcza, że zapoznał się ze skutkami działania „anticoli”. Chodzi w końcu o jego bezpieczeństwo.

Najczęściej do poradni przychodzi osoby w stanach przedelirycznych lub przeżywające jakąś długotrwałą depresję, związaną najczęściej z sytuacją na uczelni. Tylko moment zagrożenia zdrowia (w takich momentach, to już ból fizyczny) i obawa o swój błogi status może skłonić studenta do wizyty w poradni. Po kilku

— Ale — jak zauważa dr R. Krasilewicz — nie o to chodzi, że pijemy tak dużo, ale o to, że pijemy źle.

Andrzej wypadł na imprezie z okna. Poziom alkoholu we krwi — powyżej 3 promille. Długa rehabilitacja — niedowład kończyn dolnych.

Waldek rozwiódł się z żoną na piątym roku studiów. Zostało roczne dziecko. Rada mieszkańców niejednokrotnie musiała interweniować, żeby uspokoić małżeńską parę. Diagnostyka psychologa — alkoholizm na podłożu neurotycznym objawiający się kaboynizmem.

Basia zaczęła kraść na trunki. Złapaną na gorącym uczynku próbowała popełnić samobójstwo. Obecnie się resocjalizuje w jednym z ośrodków zdrowia psychicznego.

Rysiek został skreślony na trzecim roku, lecz nadal mieszka (waletuje) w akademiku, dostawia. Na kolegium zapłacił 25 tysięcy. „Życie jest ciężkie!” — myśli czasem.

Co dzieje się z Anką co lubiła lykac? z Wiechem, z Prezesem? Ich los jest nieznany.

Z PAMIĘTNIKA EDZIA

Sobota. — Cholera, nie nie pamiętam. Usta spierzchnięte, opuchnięty ryj ledwie mieści się w łuzie. Tadek podnosi się z łóżka, a właściwie z wyrą — to co, zaczynamy od piwny zup... For breakfast, Stop. Koniec. Już nie. Odwracam się. Na Kaca najlepsza jest praca, ale skoro dzisiaj sobota. Tadek śmieje się. Nie ma nic. A nawet gdyby coś było, to i tak nie jesteśmy w stanie tego poznać. A nawet jeśli byśmy to poznali, to i tak...

Boją się tego co ich czeka po studiach, kiepska sytuacja magistrów nie mobilizuje. Można studiować od jednego miesiąca do nawet 10 lat. Osiedle, akademik, to dla wielu jedyna płaszczyzna funkcjonowania społecznego. Nie można odejść tej pepowiny zbyt brutalnie.

A GDYBY TROCHĘ ZAUFANIA?

W duchu nowej ustawy antyalkoholowej przedsięwzięto pewne działania zmierzające do ograniczenia spożycia alkoholu, zwłaszcza przez młodzież. Punkty sprzedaży napojów alkoholowych odsuwa się jak najdalej od szkół, internatów itp. Wydaje się to jak najbardziej słusze. Odsuwa się także od skupisk studenckich.

I tu nasuwa się pytanie, czy ustawa nie, pozbiera własnego ogona? Przecież zawsze zostana dobrze zaopatrzone, funkcjonujące przez całą dobę meliny. Tylko czy zamiast (jeśli ktoś jest spragniony) konieczności kupowania butelki czystej wódki po zawyżonych cenach, nie lepiej byłoby sprządać alkohol w wydzielonych klubach na osiedlu? Można by było utrzymać kontrolę nad jego spożyciem, zarówno co do ilości, jakości, a także co bardzo ważne — kultury spożycia. Czy nie lepiej kiliszek koniaku niż flachę czystej? Czy nie lepiej wybrać mniejsze zło, które tylko z pozoru wygląda na pogwałcenie ustawy?

Może cały problem tkwi w braku zaufania?

— Czasem, po pijanemu dochodzi do awantur — mówi portierka — ale na ogół, nawet bardzo pijani studenci bawią się kulturalnie, choć niekiedy głośno. Interwencja milicji nie jest konieczna. Takie sporne sprawy załatwia z reguły rada mieszkańców, rzadziej rada osiedla.

Wszystko więc zostaje w domu...

Rano wśród tłumy młodzieży spieszącej na zajęcia, czasem widać szarą, niewyspaną twarz. Przekrwione oczy patrzą apatycznie na świat. Student przemęczony nauką, sesją, egzaminami? Student skacowany? Zresztą tak wygląda, w niektóre dni polowa naszego społeczeństwa, więc w końcu o co mi chodzi. Przecież sam za koliera nie lubię wylewać... Tak, lecz czasem lubię zbudować się nawet przeciwko sobie.

A że potem mam wielkiego katzenjammera — to już inna sprawa.



Mówi: Tomasz Raczek

— Do nagród i wyróżnień jest pan już przyzwyczajony. Czy nie przewrócił one panu w głowie?

— Sądzę, że nagrody są czymś bardzo potrzebnym w pracy każdego, a szczególnie dla ludzi pracujących w dziedzinie tak niewymiernej jak kultura. Odbieram je więc jako naturalny i konieczny element uprawiania zawodu. Gdyby ich nie było zaczęliby się zastanawiać nad szukaniem innej pracy.

— Jak jest u pana z poczuciem odpowiedzialności za to, co mówi, pisze, robi?

— Mam bardzo duże poczucie odpowiedzialności, ale wyłączone wobec siebie, tj. wobec poglądów, które ja uważam za słuszne, a nie wobec tych, które uchodzą za słuszne.

— Zaczął pan bardzo wczesnie, wygrywając jako dziecko konkurs „Czterech festiwal” tygodnika „Na przelaj” na recenzję z festiwalu opolskiego. I w nagrodę pojechał na FPP do Opola. Był też wywiad z małym Tomaszkiem i okładka. Czyli cudowne dziecko albo geniusz?

— No, nie takie znowu dziecko, miałem wówczas 15 lat.

— Ale i tak wyjątkowo wczesnie uzyskał pan to do czego inni dochodzą latami lub układami?

— To prawda, że udało mi się dość szybko zwrócić na siebie uwagę, czego dowodem jest choćby to, że już w rok po ukończeniu studiów otrzymałem etat publicysty w chyba najlepszym polskim tygodniku, „Polityce”. Przyjąłem to wówczas jako zaszczyt, nie domyślałem się, że jest to również szansa, która zdecydowała o mojej pozycji zawodowej na wiele lat. Poza tym mam swoją zasadę: nigdy nie czekać na propozycję wyprzedzać ją, prowokować. Trzeba przyznać, że wtedy częściej się zdarza. Takie postępowanie jedni nazywają beczelnością, inni siłą przebiecia, a ja wiara we własne siły. Mam też drugą zasadę: rezygnuję z każdego zajęcia w chwili, gdy czuję, że popadam w rutynę i przestaje mnie pasjonować.

— Zapowiadał się pan na wybitnego krytyka.

— Zgodnie z moją drugą zasadą, gdy poczułem, że spektakle coraz częściej mnie nużą zamiast interesować, że w teatrze nic nowego się nie dzieje, a więc w moich recenzjach musiałbym się powtarzać — postanowiłem przerzucić się na inne wody. Szczesliwie dla mnie zbiegło się to z propozycją objęcia stanowiska kierownika literackiego Zespołu Filmowego „OKO”.

— I podjął pan pracę w telewizji?

— O telewizji myślałem zawsze. Nawet pisałem na jej temat pracę magisterską, mimo że kończyłem teatrologię. Nie była to więc dla mnie nowa pasja. Zresztą uważam, że pisanie oraz praca w TV będą mi towarzyszyć przez całe życie w różnych proporcjach.

— Został pan najpopularniejszą osobowością telewizyjną 1986 roku. Przez trzy lata prowadził pan w TV program „Ze sztuka na ty”, ale słyszałem, że zamierza się pan wycofać?

— Rozumiem, że wyciąga pan wnioski z mego trzyletniego rytmu biologicznego. W każdej płocie jest coś z prawdy, ale czy ta jest prawdą, pokazuje rzeczywistość. Tak czy owak mam wiele nowych planów związanych z telewizyjną „Dwójką”. Myślę też, że nadszedł czas, abym wyraźniej określił się na małym ekranie i zaproponował coś oryginalnego i nowego.

— Przestał pan być kierownikiem literackim Zespołu Filmowego „OKO”.

— To była kolejna, wielka przygoda. Wspaniałe doświadczenie, możliwość współpracy z Tadeuszem Chmielewskim. I choć zrezygnowałem z tej funkcji, uczyniłem to nie z utraty serca dla filmu, lecz po to, żeby mieć dość czasu na pisanie dwóch książek o filmie.

— Pieniądże zdecydował się pan zarabiać jako oficer rozrywkowy na Stefanie Batorym?

— Pieniądże niewielkie. Pensja oficera rozrywkowego wynosi 13 tysięcy złotych miesięcznie. Natomiast była to niepowtarzalna i naprawdę jedyna szansa, aby w ciągu dwóch miesięcy zwiedzić wszystkie państwa Basenu Morza Śródziemnego. Była to również okazja, żeby zetknąć się z życiem na wielkim statku pasażerskim, z owym legendarnym luksusem, wykwinem podawania do stołu, trochę starożytnym aranżowaniem życia towarzyskiego.

— Skoro mówimy o pieniądzach. Jak jest honorarium konferansjera w Sopocie?

— Powiem tylko, że w 1986 roku, gdy za zarobione w Sopocie honorarium chciałem zapłacić koszty uszycia smokingu musiałem dopłacić jeszcze 5 tysięcy złotych.

— Dlaczego zdecydował się pan na wynajęcie mieszkania w rodzinnej Warszawie, podczas gdy pokój w domu rodziców stoi pusty?

— Trzyosobowa rodzina w dwóch pokojach, to o jedną osobę za dużo. Myślę, że jeśli chcemy zachować prawo do własnego życia, własnego rytmu dnia, własnych przyzwyczajeń, to każdy członek rodziny winien dysponować swoim pokojem. Wynajęcie mieszkania jest złem koniecznym. Ten luksus okupuje dużym wysiłkiem finansowym.

— Kiedy uświadomił pan sobie, że jest dojrzałym mężczyzną, który potrafi odpowiadać sam za siebie?

— Zawsze odpowiadałem sam za siebie, nawet w szkole podstawowej. Zawsze też miałem mocne poczucie swojej odrębności. Fakt dojrzałości uzmysłowili mi jednak dopiero dwa miesiące temu, gdy skończyłem 30 lat.

— Schudł pan 16 kg. Zazdroszczę samozaparcia, tylko czy nadal starczy go na utrzymanie wspaniałej figury?

— Już nie starczyło. Znowu przybyło mi 6 kg.

— Wydaje mi się, że jest pan trochę kapryśny i zmienny?

— Tak, ale to cecha mojego znaku — Bliźniąt.

— Co czeka pana w najbliższym czasie?

— W październiku wylatuję na miesiąc do Hollywood.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Może cały problem tkwi w braku zaufania?

Studenci też piją!!!

JACEK MACIASZEK

leczyć, serek, „fromage”. Mili mnie trochę — jedzenie staje się przymusem. Wybieram się do biblioteki. Wypełniłem rewersy i z kajetem w ręku czekam... Ręce mi trochę latają, ale to przejdzie. Musi przejsz. Zaczynam wszystko od nowa i nie jest mi łatwo. Po godzinie czekania okazuje się, że rewersy były błędnie wypełnione. Zaczyna mnie boleć głowa. Pić, pić cokolwiek. Z ulgą wychodzę z biblioteki.

OSTATNIA USTAWA O WYCHOWANIU W TRZEŹWOŚCI

pochodzi z 1982 r. Ustawa powołała do życia kolegiatę na szczeblu ogólnokrajowym. Komisję do Spraw Wychowania w Trzeźwości i Przeciwdziałania Alkoholizmowi przy premierze. Zakres jej działania określa, jak się wydaje jej nazwa. Od 1989 roku działa Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy.

Do walki z alkoholizmem zobligowano — administrację, służbę zdrowia, oświatę, wymiar sprawiedliwości i rzecz jasna organa ścigania. Kościół katolicki powołał Radę do Spraw Trzeźwości przy Episcopacie. Komuniści i chrześcijanie są zgodni — alkoholizm to nasze największe zło. Alkoholizm to nasza choroba.

Dotyczy robotników budowlanych i rolników. Nieobcy w sferach artystycznych, czy dziennikarskich. Niebezpieczny dla gospodyń domowych i ludzi o nieokreślonym statusie. Alkohol — groźny szczególnie dla dzieci i młodzieży szkolnej. Od dawna zasiadali w środowisku studentów.

— Panie, jak oni piją! Bywa, że całą noc nie śpi tylko otwierają drzwi. Wchodzą i wychodzą. Kręca się całą noc. Po wódce, w późne odwieczny. Dopiero nad ranem mogą trochę oczy zmrużyć, ale i tak czasem znajdują się jakieś delikwenty, którym mało, mało... Najgorzej w piątek i sobotę, w popularne imieniny... — powiedziała portierka jednego z domów studenckich.

Ulica nazwana imieniem bojownika murzyńskiego to początek osiedla studenckiego. Kilka podupadłych kamienic manifestuje bliskie sąsiedztwo miasta. W każdej z nich można było, o każdej porze zaopatrzyć się w wódkę.

Puk! puk!
— Dzisiaj nie mam. Odejdźta stąd.

Oczywiście wódka jest tylko dla swoich. Nieznajomi mogą się zaopatrywać w nią tylko przez „łączników”, czyli autochtonów, którzy późnym wieczorem w bramach zaczynają swoje dyżury. W zależności od stopnia zażyłości naganiacz pobiera różną prowizję. Czasem jest nią dopuszczenie do wspólnej konsumpcji. Ale to się nie opłaca. Gardła mają niewąskie.

Dlaczego piją?

wiedzieć. Po prostu nie prowadzi się takiej statystyki. Można powołać się tylko na ankiety prowadzone przez samą poradnię, a wynika z niej, że na 800 przypadków zgłaszanych do leczenia, tylko 5 do 8 to przypadki par excellence alkoholizmu. Najczęściej alkoholizm (a w tym wypadku właściwsze określenie — długotrwałe picie) występuje jako jednostka towarzysząca innym dewiacjom, nerwicom, depresjom, podobnym zaburzeniom psychicznym. Domy studenckie i związany z nimi pewien styl życia (a może maniera?) tworzą doskonałe podłoże alkohologenne, a całe zjawisko rozpatruje się w kategorii — picia środowiskowego.

Najbardziej podatni na uzależnienie (nie biorąc pod uwagę naturalnych predyspozycji psychicznych) są — działacze organizacji studenckich, osoby związane ze studenckimi spółdzielniami pracy. Ci ostatni mogą poprzez fakt posiadania dużych dochodów. A także ludzie tworzący tzw. kulturę studencką, a więc skupieni wokół teatrów, radiowęzłów itp.

— Jak z tego wynika — podkreśla dr R. Krasilewicz — problem dotyczy osób najbardziej aktywnych i twórczych. Często picie jest związane ze specyfiką pracy czy prowadzonej działalnością.

Podobnie, jak w innych środowiskach, fundamentem wielu społecznych, a przede wszystkim towarzyskich układów, jest alkohol. Zjawisko jest o tyle groźne, że pewna prowizoryczność życia w akademiku nie stwarza specjalnych motywacji do powstrzymywania się, ba! nawet wręcz przeciwnie.

— Jednak — jak uważa dr R. Krasilewicz — alkoholizm nie ma szans utrzymania się na studiach. Tempo pracy ruguje tę chorobę.

Moje obserwacje nie potwierdzają tego.

Jakie studia są najbardziej „uciążliwe” dla ludzi nie wylewających za kolier? Najtrudniej jest godzić picie i naukę na politechnice i medycynie. Inna sytuacja panuje na przykład na socjologii, etnografii, czy niektórych uczelniach artystycznych. Bardziej swobodny (indywidualny) system kształcenia powoduje, że jednostka uzależniona, lecz zdolna ma duże szanse skończenia tych studiów.

NA CZYM POLEGA LECZENIE?

Przychodnia w zasadzie nie specjalizuje się w tego rodzaju schorzeniach. Nie posiada żadnych dodatkowych funduszy z Komitetu Przeciwalkoholowego i bardzo trudne jest w takiej sytuacji prowadzenie jakiegokolwiek profilaktycznej lub traktowanie osób uzależnionych jako specjalnej grupy, wymagającej szczególnego leczenia. Terapia, obok normalnych (chciałoby się powiedzieć — rutynowych) rozmów z pa-

rozmowach, kiedy sytuacja wyjaśnia się nieco, przestają się leczyć. Bywały przypadki, że prosili o „esperal”. Czy leczenie tym środkiem dawało jakikolwiek rezultaty?

I tak i nie. Niektórzy wygryzali sobie „esperal” — tak to niekiedy bywa z alkoholikami. Choć urlop w takich wypadkach nie jest wskazany (zerwanie kontaktu z procesem dydaktycznym, z grupą itd.), w niektórych wypadkach był on niestety koniecznością. Najczęściej jednak wystawia się pismo do dziekana z prośbą o przedłużenie sesji egzaminacyjnej. Chodzi o to, aby delikwent funkcjonował jak najdłużej, żeby robił... cokolwiek.

CO TERAZ I CO POTEM?

Marek skończył filologię polską i wrócił na wieś. Już tutaj nikogo prawie nie zna. Pił przez te wszystkie lata na studiach sporo. Kiedy wrócił, nie bardzo wiedział, co z sobą zrobić. Od rana praca w szkole. A co potem? Nigdy specjalnym społecznikiem nie był. Poszedł raz do gospody. Potem drugi. W końcu był już tam codziennie — atmosfera w knajpie przypominała mu akademik. Wreszcie wezwano do dyrektora i ostrzeżenie. Dyrektor też jest alkohikiem, ale co wolno wołować... Teraz raczej nie wychodzi z domu. Czasem kupi sobie butelkę i wypije. Sam.

Waldek mieszka w małym miasteczku pod Łodzią. W zasadzie teraz już nie pije. Przy najmniej tyle, ile na studiach. Czasem tylko, zdarza mu się zawlurzyć, właśnie w akademiku, z kolegami, którym nie dane było tak szybko skończyć studiów. Potem telefon do pracy — panie kierowniku, nie będę dziś w pracy, bo... — Mogłes wziąć sobie drugi fakultet, albo doktoryzować się — śmieją się koledzy.

Widomą rzeczą jest, że kultura studencka przeżywa długotrwały kryzys. Przyczyną jego można upatrywać w ogólnym zniechęceniu młodzieży, spowodowanym (jak niektórzy twierdzą) wydarzeniami Sierpnia '80, a potem Grudnia '81. Gwałtowna zmiana sytuacji społecznej, dewaluacja niektórych wartości wywołała ogromny szok w świadomości polskiej młodzieży. Pogłębiający się dyskomfort życia i niepewna sytuacja inteligencji sprawiły, że część młodego społeczeństwa nie może przystosować się do nowych warunków...

Skomplikowaną sytuację polityczno-gospodarczą nie można wytłumaczyć wszystkiego — zjawisko jest bardziej złożone. Przyczyny tkwią w naszej tradycji, w naszym narodowym paradygmacie. Zabrzmiało to jak banał, ale nieodpartie, i nie po raz pierwszy nasuwa się sformułowanie takie — generalnym problemem jest to, że Polacy w ogóle tak dużo piją!

Ankieta

- Nazwisko, imię, imię ojca?
— Ja.
- Rok urodzenia?
— Ten sam rok kiedy matka i ojciec wyznali sobie miłość.
- Pochodzenie?
— Orze, obsławam węgry pod kodrmi. Znam wszystkie pieśni.
- Zawód?
— Kocham swój kraj.
- Rodzice?
— Matka.
Tylko matka.
- Jak się nazywa?
— Mama.
- Czym się zajmujesz?
— Czeka...

Oczy masz rodzinę na granicy?
— Tak, ojca.
Pochowany w cudzej ziemi w 1945.

Nikt nie wie

Kochana moja
Oto z czym graniczy moje istnienie:

Ozono — z ostrzem światła,
oczy — z łzą,
usta — z niewypowiedzianym.

Nikt nie wie
z której strony
pojawia się śmierć.

Sprawiedliwa pochwała

U góry łapa świerku
U dołu gąsieniec jabłoni —
Dwoje rak
Wieżnie ku mnie wyciągniętych.

U góry gwiazda
U dołu chleb —
Dwoje oczu wiecznie otwartych.
Jak twoje oczy, mamo.

Elementarz

Liliuszowi Damlanowi

Kiedy byłem mały
bawilem się słowami
Zle się bawilem —
prawie wszystkie
słowa pogubiłem.
Teraz zaczynam od początku
uczyć się słów.
Och,
w moim wieku
tak ciężko się uczyć.
Nim wypowiem m a m a,
mój syn staje się dorosły,
nim wymówię o j i e c e,
siwieje moja głowa.
Brakuje mi czasu,
śpieszę zapamiętać
choćby
te najświętsze słowa.
Więc tylko z tych dwóch słów
usiłuję ułożyć pieśń.

Przełożył: E. IW.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

W miarę, jak wzrasta zainteresowanie przemianami politycznymi i kulturalnymi, zachodzącymi za naszą wschodnią granicą, warstwą także popyt na nową i najnowszą literaturę radziecką, przy czym przymiotnik „nowy” odnosi się w tym przypadku do wyjątkowo szerokiego wachlarza zjawisk literackich i paraliterackich. Różne są przyczyny tej popularności, ogromne znaczenie odgrywa tu historia oraz polityka, pisarze dokonują dziejowych obrachunków, dopowiadają do końca zdania, przerwane niedgdy lub okaleczone czerwonym ołówkiem cenzora, następuje mozolne „odlamywanie” świata i literatury, a wszystko to wzbudza podziw i entuzjazm czytelników, całkowicie zresztą zrozumiały. Jednak współczesna proza radziecka to nie tylko rewizja historii, to również „współczesna” proza społeczno-obyczajowa, bliższa np. „Drugiemu życiu” Trifonowa niż, powiedzmy, opublikowane ostatnio „Zniknięcie” tegoż autora, „Requiem” Achmatowej czy wreszcie twórczość Wojnowicza i Brodskiego. Także i w tej literaturze, mającej być „zwierciadłem swego czasu”, daje się zauważyć zwiększony margines swobody twórczej, pozwalający na odejście od utartych wątków i schematów, znanionym artystycznie poszukiwaniom w dziedzinie stylu i tematyki, zaskakujący niejednokrotnie śmiałością zastosowanych rozwiązań i oryginalnością poruszanej problematyki. Do takich właśnie „świeżych” (dosłownie i w przenośni) utworów należy, między innymi, „Zróżdłane — Rozjazz”, nowela nieznanego bliżej u nas pisarki Walentyny Sidorienko, wydana niedawno przez warszawski oddział MAW. Akcja opowieści rozgrywa się gdzieś na zapadłej prowincji — Zróżdłane — Rozjazz to prymitywne „letnisko”, do którego na okres urlopuów zjeżdżają co roku goście z pobliskiego miasteczka, goście, przypominający na polu postaci „Krak-

Trzecie zabicie psa

sy” i „Wizyty starszej pani” Dürrenmatta, na polu bohaterów Bulhakowa, Gogola, czy nawet Dostojewskiego. Konflikt, będący wynikiem postaw „miastowych” i „wsioków”, sprawnie i barwnie zarysowany przez autorkę, nie tylko technicznie ostrym, gorzkim, ironicznym realizmem, rodem z gogolowskiego „Rewizora”, staje się nie tylko przedmiotem bezkompromisowej, acz powierzchnowej krytyki, lecz również zmienia swój charakter, uzyskuje nową wymowę wraz z następującym gwałtownie rozwojem wydarzeń — lokalne, blade z pozoru i niepoważne zjawiska przekształcają się w karykaturalną ilustrację uniwersalistycznych, archetypicznych, odwiecznych tajemnic człowieka, każdym czynnem i każdym niemal gestem dokonującego, choćby nieświadomie, niepowtarzalnych i nieodwracalnych wyborów moralnych. Schemat po wielkich klasykach „archetypiczny” powieści rosyjskiej, by użyć określenia Lesia Fiedlera, nadal wydaje owoce.

Centralnym problemem książki Walentyny Sidorienko jest problem zła. Złem jest stowiórce kulminacyjny punkt opowieści symboliczne zabicie psa, złem jest ciemnota, obojętność, małoduszność, złem jest także bieda i brak wykształcenia, ale zło to przede wszystkim nieodgadniony, kos-

miczny pierwiastek ducha, mający w równym stopniu dostęp do „nich”, jak i do „nas”, ujawniający się bez względu na okoliczności i pochodzenie społeczne człowieka, ale przecież nie bez względu na jego wolę. Może dlatego ci z miasta i ci ze wsi okazują się w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobni, i może dlatego i jedni, i drudzy niczego w istocie nie pojmują. Nikt nie pozostaje bez winy, cierpi zaś jedynie romantyczny symbol niewinności, dziecko, które dotknięte nieprawdą i skażone niezrozumiałym bólem, traci powoli swą naturalną czystość. Zło bowiem reprodukuje się i rozmnaża, przy bezwiednej, beznamiętnej, okrutnej ludzkiej pomocy.

Lekki, starannie opracowany i odznaczający się niejakim wyczuciem językowym przekład piosenki Michała B. Jagielly (tłumaczenie drukowanych na tych łamach „Dzieci Arbatu” Rybakowa to również dzieło tego utalentowanego autora) sprawia, że „Zróżdłane — Rozjazz” czyta się z prawdziwą przyjemnością, jednym tchem. Miłośnicy literatury rosyjskiej znajdą tu dla siebie wiele smakowitych aluzji i filozoficznego materiału do przemyśleń. Miłośników rzetelnego, zjadliwego realizmu Sidorienko z pewnością zaintryguje ostrością i przenikliwością autorskiego spojrzenia. To książka „z rekomendacją”, choć próżno szukać w niej nazwiska Józefa Wissarionowicza.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Walentyna Sidorienko — „Zróżdłane — Rozjazz”, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987, wydanie 1 przełożył Michał B. Jagiello, nakład 10 tys. egzemplarzy.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

zaprasza mieszkańców naszego miasta na wystawę akwarel Kazimierza Wasy. Artysta ten obchodził w tym roku jubileusz 35-letnia pracy twórczej.

Otwarcie wernisażu odbędzie się 4 września br. w Salonie Sztuki Współczesnej (przy ul. Piotrkowskiej 88).

MAREK ROZTWOROWSKI, twórca głośnej wystawy „Polaków portret własny”, przygotowuje nową ekspozycję pt. „Żydz polscy”.

Na wystawie zgromadzone zostaną dostępne w krajowych muzeach i zbiorach prywatnych obrazy, grafiki, rzeźby i przedmioty kultury religijnej.

Wystawa zostanie otwarta jesienią przyszłego roku w Krakowie.

LISTY FRANZA KAFKI do jego narzeczonej, Felicy Bauer, sprzedane zostały na aukcji w Nowym Jorku za sumę 605 tys. dolarów.

Korespondencja ta liczy 1600 stron i zawiera 800 listów oraz kart pocztowych, pochodzących z lat 1912—1917 (z okresu pobytu F. Kafki w Pradze).

Jest to jedna z najbardziej interesujących korespondencji prywatnych, ujawniająca niebanalną historię związku tej pary.

PO przeszedł 24-letniej przerwie przybył do kraju Henryk Szeryng — światowej sławy skrzypek polskiego pochodzenia, mieszkający w Meksyku.

Wirtuoz uświetnił swoimi występami XII Festiwal „Muzyka w starym Krakowie”.

JURY MIĘDZYNARODOWEGO SALONU KARYKATURY w Montrealu przyznało główną nagrodę radzieckiemu grafikowi Michailowi Zlatowskiemu za rysunek „Sensu walny”. Prace na konkurs nadesłano z 60 krajów.

ZWIAZEK PISARZY ZSRR powołał komisję do spraw spuścizny literackiej Izaaka Babela. Zapowiedziano wydanie dwóch tomów jego utworów.

REDAKCJA popularnego czasopisma „Paris-Match” zobowiązana została, orzeczeniem Sądu Paryskiego, do wypłacenia odszkodowania w wysokości 100 tys. franków aktorkom Brigitte Bardot i Catherine Deneuve.

Sąd uznał, iż w wywiadzie z Rogerem Vadimem, eksmałtanckim obu artystek, zamieszczonym w jednym z numerów, naruszona została tajemnica ich życia prywatnego.

Opracował: JAK

Z półki recenzenta

KRONIKA RODZINNA

Napisałem w tytule słowo „kronika”, ale tak naprawdę należałoby zamienić je słowem „historia”. Bo czymże, jeśli nie relacją historyczną, jest opowieść obejmująca 90 lat czyjegoś życia?

Stanisław Helsztyński urodził się w 1891 r., we wsi Kosowo leżącej nad rzeką Obrą w Wielkopolsce. A książkę, o której chcę mówić, napisał mając 94 lata. Nieprzeciętny człowiek, fenomenalny talent, znakomity badacz literatury angielskiej i amerykańskiej, profesor, autor licznych dzieł krytyczno-literackich i książek poświęconych tysiącletnim dziejom państwa i narodu polskiego, poeta, powieściopisarz, tłumacz — pozostaje Stanisław Helsztyński nadal czynnym twórczo autorem, czego najlepszym dowodem jest prezentowana w tym miejscu najnowsza jego praca pt. „Kronika rodzinna”.

W notce pochodzącej od wydawcy napisano, że książka ta „stanowi dzieło o szczególnej wartości, będące uwiecznieniem życiowego i pisarskiego dorobku, a także świadectwem fenomenalnego talentu, niezwykłej żywotności umysłu i wielkiej pracowitości wybitnego twórcy”.

„Kronika rodzinna” rozpoczyna się w momencie, gdy jej autor ma zaledwie kilka lat, a więc jeszcze w XIX w. Oczami dziecka, właściwie „oczami wyobraźni” oglądamy chłopską zagrodę, pierwsze wrażenia z odkrywanego świata, przeżycia i fascynacje natury wrażliwej, chłonnej, niczego nie omijającej. Potem historia toczy się wartko. Stanisław Helsztyński bierze udział w I wojnie światowej, po odzyskaniu niepodległości zostaje mianowany oficerem wojska polskiego, następnie „bełfruje” w Warszawie, by wkrótce rozpocząć szybką i pełną sukcesów karierę naukową. I pisze. Nie tylko prace popularno-naukowe ale i dzieła oryginalne, które znajdują przychylny i krytyków i czytelników...

I tak już będzie zawsze: pasja naukowca będzie przeplatała się z natężeniem artysty. Ale o tym wszystkim czytelnik dowie się z „Kroniki rodzinnej” Stanisława Helsztyńskiego.

Stanisław Helsztyński: Kronika rodzinna. LSW 1987. Str. 400. Cena 400 zł.

REPORTAŻE Z TERAŹNIEJSZOŚCI

Pisarka bułgarska średniego pokolenia Gatia Simeonowa jest pracownikiem naukowym Instytutu Etnograficznego w Sofii. Swoje „reportaże z teraźniejszości” zatytułowała „Strata czasu”, co polski wydawca, który dokonał ich wyboru, nazwał „Ukarać cię milczeniem”.

Nie ma sensu opowiadać lub streszczać całej książki, w której pomieszczono 8 opowiadań, ale koniecznie należy parę słów poświęcić sposobowi, w jaki autorka przedstawia swoich bohaterów. Nie są to więc klasyczne opowieści, raczej zapisy zdarzeń, często niezwykle dramatycznych, choć owe dramaty rozgrywają się w świadomości osób pojawiających się na kartach książki. Podstawowym problemem, który Gatia Simeonowa usiłuje pokazać w różnych ujęciach, jest godność człowieka, godność ludzka. Człowiek to jednak w sposób szczególny, bardzo intymnie, nie narzucając czytającemu niczego ponad to, co sam z lektury jej opowiadań potrafi zrozumieć i przyswoić.

Przekład Wojciecha Gałązki.

Gatia Simeonowa: Ukarać cię milczeniem. LSW 1987. Str. 104. Cena 100 zł.

SAGA BRYGADY PODHALAŃSKIEJ

Jan Meysztowicz, uczestnik działań wojennych pod Narwikiem, pokusił się o historyczny opis tej, słynnej już w dziejach naszych Sił Zbrojnych na Zachodzie, operacji wojennej. Był wówczas — w 1940 roku — kapralem podchorążym. Pisze: „Wszak my pierwsi, od kampanii wrześniowej, mieliśmy zaświadczyc o dobrym imieniu żołnierza polskiego. Wiedzieliśmy, że wiści o poczynaniach Brygady Podhalańskiej dotrą do kraju...”. Żywot Brygady był jednak krótki: po ewakuacji do Francji, a następnie do Anglii została w tymże 1940 roku rozwiązana. Pamięć o niej jednak przetrwała zarówno u jej żołnierzy, jak i u mieszkańców Narwiku, gdzie stoi dziś pomnik upamiętniający walkę polskich marynarzy i żołnierzy poległych na ziemi norweskiej.

Jan Meysztowicz: Saga Brygady Podhalańskiej. MON 1987. Str. 168. Cena 300 zł.

BESTSELLER DLA SMAKOSZY

Ta książka ukazała się w czterdziestu lat po śmierci jej autora. U nas czekano z jej wydaniem jeszcze dłużej, bo aż 64 lata! Mówię o bestsellerze, jakim jest „Historia Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa)” Jarosława Haška. Sama partia (założona w knajpie „Pod Złotym Litrem”) przeszła do legendy jako największy dowcip spreprowowany ze śmiertelną powagą parlamentowi Austro-Węgier, a w wyborach w 1911 r. uzyskała (kandydatem był oczywiście sam Hašek) 36 głosów. Dziś o tej historii możemy dowiedzieć się szczegółów dzięki polskiemu wydawcy. I możemy się pośmiać z przegrod praskiej bohemy, bowiem opisy tu są prawdziwe i ludzie autentyczni i zdarzenia niewymyślone.

Przekład Jacka Balucha.

Jarosław Hašek: Historia Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa). Wyd. Lit. 1987. Str. 324. Cena 320 zł.

Opracował: E. IW.

Leonard: „INKARNACJA”

Rozszedł się już drugi nakład niezwykle interesującej książki Leonarda „Inkarnacja”. W przygotowaniu jest drugie wydanie „Upiora” tegoż autora. Fragmenty „Upiora” drukowaliśmy w „Odgłosach”. W pierwszej połowie 1988 roku ukaże się nakładem Wydawnictwa MON nowa książka Leonarda „Matnia”. Fragment „Matni” drukowaliśmy w „Odgłosach”. Od października 1987 roku w „Odgłosach” będziemy publikowali obszernie fragmenty „Matni” z ilustracjami Janusza Szymańskiego-Glancza.

Dla przypomnienia Czytelnikom „Odgłosów” powieści Leonarda „Inkarnacja” publikujemy fragmenty Rozdziału V części I. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Przez maszynownię przeleciał demon zniszczenia. Najbardziej dał się ważniaki maszynowni blokowi silnika okrętowego. Korbowały, tłoki, cylindry, koła zębate, poruszające wśród pakul i smarów, sprawiały wrażenie skądosiwa złomu, że ten galimatias da się znowu złożyć do kupy i uruchomić. Mizera w to nie wątpił. Nie wierzył jednak, aby nastąpiło to szybko. Czas stracił zresztą dla „Natalie” znaczenie. Wszystko straciło znaczenie. Trzeba mieć życiowego pecha, aby otrzymawszy w pierwszym rozdaniu kart czwórki asów, nadziać się na pokera.

— Długo to jeszcze potrwa? — spytał.

Dyrygujący tym kramem Birn podrapał się po brodzie.

— Na tym etapie nie jeszcze nie mogę powiedzieć. Jak dotąd dobrnęliśmy do rdzenia naszego kłopotu. Musimy teraz wypalić uszkodzoną powierzchnię wału, przyspawać ubytek, podszlifować: cholernie to żmudne, wiesz? No i poskładać wszystko do kupy. Z tym jednak nie będzie już dużo zachodu.

— Wypalić... przyspawać... podszlifować... i poskładać — mruczał ponuro Mizera. — Ale mniej więcej?

Birn spojrział na zegarek.

— Dowiesz się za... cztery godziny. Nie później.

— O, Matko Boska! — jęknął Mizera. — To będzie wieczór! Grzebiecie się w tych flakach od północy. Dwanaście godzin sterczymy w miejscu, a tobie potrzeba dalszych czterech, żebyś mógł powiedzieć, kiedy to się skończy. Do diabła z taką robotą!

— Nic na to nie poradzę — usłyszał zza siebie głos inżyniera.

Wychodząc na pokład aż przystanął ze zdumienia.

Na czas powrotu do bazy wojna zawarta z Judami z „Natalie” układ o zawieszeniu broni. W porządku, zawarta, ale strzelanina goli do drzwi w nadbudówce, skoków przez przeszkody, dzwiganie pocisków artyleryjskich — kto więcej razy i wyżej — układ ten nie przewidywał. Mizera nie dałby głowy, czy opary rozgranego oceanu, kiszące się nad działami, nie były zmieszane z alkoholem.

— Oscar! — zawołał w stronę pomostu. — Jak ci się to podoba?

Zza wiatrochronu wyjrzał błąd po nocnym picu Ransart.

— A tak, rzeczywiście. Hej, wy tam! — pogróżł marynarzom pięścią. — Czy wyście naprawdę uwierzyli, że jesteśmy bandą cywilów?

Odprowadził wzrokiem Mizera znikającego znowu w wejściu do maszynowni. Frank, jego zdaniem, zbyt mocno przeżywa fiasko swojej wyprawy. Jego szósty zmysł hazardzisty poprowadził go w kierunku wód archipelagu Gilberta. Dobrze go poprowadził, jak się okazało, a że nie wytrzymał podciężenia przeciwnika? Ten też nie przewidywał tragicznego finału, jaki na obranej trasie na niego czekał. Spół wydarzeń, odległych od siebie o tysiąc mil, a jednocześnie zbliżonych. Zdziaływa. Jak gdyby sterowany palcem bożym. I czym się tu przejmować?

Wyłożył nogi na wiatrochron, czapkę opuszczył na oczy. Z głośnika rozległy się tony hawajskich gitar. Marie-Ange przepada za tym przyjemnym brzdąkaniem.

Usłyszał nadchodzącego nawigatora.

— Tak? — podniósł czapkę znad oczu.

— Znosi nas — zameldował nawigator. — Piórtorej mili na godzinę. Zniosło nas osiemnaście mil. Prąd południoworównikowy. Jeżeli posterujemy tu bez maszyn jeszcze dobre, rzuci nas na jaką rafę; sporo tego tutaj.

— Nie będzie tak źle. — Starym zwyczajem Rensart wysunął pośliniony palec ponad wiatrochron. Chwilę przytrzymał rękę na górze. — Ani chuchnięcia — powiedział. — Taka cisza w epoce żagla to przy tym upale jak wyrok śmierci dla żałogi. Jaka jest nasza pozycja?

— Mam wyliczoną. — Nawigator otworzył notatnik — 23 stop. 14,2 szerokości południowej, 166 stop. 08,5 długości wschodniej. Wie pan, kapitanie, to dokładnie pozycja tego „Golden Creeka”; tu go przydybał...

— Ach — Ransart wzruszył ramionami — jaka różnica! — Chciał znowu zakryć oczy daskiem, gdy coś mu się przypomniało. — Kiedy zostałem ranny i marudziłem o lepsze łóżko — zaczął — powiedział mi, że w żadnym szpitalu na świecie nie ma miejsca, na którym ktoś by nie umarł. Rozumie pan, co mam na myśli? — No tak... oczywiście... Czy są jakieś rozkazy, kapitanie?

— Dziękuję, nie — odrzekł Ransart. Miał ochotę odpocząć trochę przed powrotem, podczas którego nie obejdzie się bez dalszego walkowania tematu przerwanej wyprawy.

Rzucił okiem na marynarzy walających się po pokładzie, na stojące w miejscu słonce. Okręt leżał na wodzie bezwładny jak kloce, nie pozostawiało nic innego, jak czekać na uruchomienie silników. A swoją drogą, pomyślał, gdyby teraz napotoczył się jaki przeciwnik... Wesoło by nie było!

Odrzucił te myśli. Po powrocie do Sydney weźmie zaległy urlop i jeżeli trafi się okazja, zabierze się samolotem do Nowej Kaledonii. Tak postanowił. (...)

— Jakaś większa jednostka na kursie! — Zameldował obserwator z prawej burty. — W jej pobliżu dwie... trzy... pięć mniejszych!

Ransart podniósł lornetkę do oczu.

Pięć cienkich kominów, wystających zza linii horyzontu, jeden gruby — to eskadra okrętów wojennych. Bandera jeszcze nie do rozpoznania. Ale na tych wodach należeć mogła tylko do jednego z dwóch państw świata.

— Podaj im reflektorem, że nie mamy swobody manewru — polecił sygnalistę. — A gdy podeszła bliżej, zasalutować banderą. To jednostki wojenne.

Niewyraźnie z daleka kontury większego okrętu rozrosły się szybko w najeżony lufami cięż-

ki krążownik amerykański klasy „Baltimore”, pięć małych punkcików, płynących za nim w szyku torowym niczym gęsi za panią matką, to kontrtorpedowce eskorty. Szy kursem dwieście pięćdziesiąt prawdopodobnie z Fidżi. Przy tej prędkości ekspresu zawina do Australii najpóźniej jutro pod wieczór.

„Potrzebujecie pomocy?” — pytał krążownik sygnałem świetlnym.

Szarmantki. Jednocześnie wysłał kabel w języku francuskim. Otwartym tekstem.

Ransart nie okazał się gorszy.

„No, thanks, everything okay” — kazał odkałować po angielsku szyfrem.

„Pozdrowić jakieś dziewczyny?” — spytał na pożegnanie szarmantki dowódca krążownika.

Ransart zaśmiał się ubawiony.

— „Gdzie?” — kazał przekablować dla kawalu.

I, nie do wiary, szarmant odpowiedział:

„Going Brisbane”.

Wszystko otwartym tekstem... Brawo! Pacyfik południowozachodni wojny jest od wroga.

Gdyby jednak szarmant służył w Royal Navy, byłoby to jego ostatni rejs jako dowódcy okrętu wojennego.

Zasadzka na oceanie

— To kłamstwo! Perfidna dywersja! Radio-officer Schindwein złamał zakaz przekazywania wrogich informacji bezpośrednio załodze okrętu. Zadam, by go rozstrzelano!

Wściekły głos marineoberstabsarzka Frauenheima vel obersturmbannführera SS Wolffa uderza w twarz załogi, odbija się od najodleglejszej komory okrętu i wracając do centrali trafia w Hackego, który wykazuje absolutną obojętność.

Takiego lekceważenia lekarz się nie spodziewał. Zdenerwowany wyszarpuje z kabury parabelum.

— Zadam zastrzelenia Schindweina, słyszysz mnie pan?

Herr Fregattenkapitän słyszy. Spokojnie wyklaga rekę.

— Panie doktorze, proszę oddać mi swój rewolwer.

— Zadam zastrzelenia...

Szybkim jak błyskawica uderzeniem dłoni dowódca okrętu wytrąca lekarzowi broń, rozładuje ją i kładzie na stole nawigatora.

— Panie poruczniku Wenk — zwraca się do oficera artylerii — proszę usunąć z pomieszczenia sanitarnego pistolet maszynowy, a także zbędne tam skrzynie z granatami i pancernymi.

— Nie rozumiem...

Marineoberstabsarzka Frauenheim vel obersturmbannführer SS Wolff:

— Wzywam załogę do wypowiedzenia posłuszeństwa dowódcy okrętu. Obowiązkiem każdego z was jest walczyć do upadłego, a jeżeli to niemożliwe, szukać internowania w kraju neutralnym, nigdy kapitulować. Osiągnięcie Japonii, dokąd niby zmierzamy, jest w obecnych warunkach mrzonką, dowódcę chodzi o to, byśmy się gdzieś po drodze poddali. Nie tamcie przysięgi żołnierskiej! Żądacie obrania kursu na Amerykę Południową! Tylko tam możemy być bezpieczni!

— Panie poruczniku Wenk — powtarza cicho Hacke — czy pan słyszał mój rozkaz?

— Nie słuchaj zdradcy, Wenki! Koledzy — apeluje lekarz — pomyślcie o tym, co się stanie z waszymi rodzinami w kraju...

— Poruczniku Wenk — powtarza ziany potem Hacke — wykonać rozkazy!

— Nie słuchaj go, Egon, nie jesteś tu sam!

— krzyczy Frauenheim.

Błyskawicznym ruchem Hacke wydobywa pistolet z kabury i mierz między oczy oficera artylerii. Skok przyzajętej na ofiarę pantery — tak on to robi. W pełni sił i w osłabieniu, jednakowo. Stojący za Wenkiem ludzie uskakują na boki. — Liczą do trzech — zapowiada Hacke — Jeden...

Wenk prostuje się. — Tak jest — mamrocze posłusznie.

— Nie słyszałem pana...

— Tak jest, Herr Fregattenkapitän — poprawia się Wenk.

— Dziękuję — mówi Hacke i chowa pistolet.

Bunt na okręcie! Oficer artylerii z tym przyłizanym tytkiem... Mechanik silnika waitera nie

może się opanować. — Aresztować ich — woła oburzony. — Ja bym...

— Podporuczniku Klein — przywołuje go do porządku Hacke — nie ja musztrowałem doktora, nie do mnie należy odwoływanie go. Jesteśmy wciąż wojskiem! A lekarza, jakimkolwiek byłby człowiekiem, potrzebuje każdy okręt. Proszę zająć się swoimi sprawami!

Przypatruje się wynoszonym z pomieszczenia sanitariuszy skrzyniom z granatami i pancernymi. Jest ich dużo. Wystarczyłoby do zniszczenia okrętu.

— Wszystko — melduje Wenk wykonanie rozkazu.

Ale Hacke go nie słucha. W martwej ciszy wędruje po twarzach podkomendnych. Kto jest za mną, kto przeciw? — pytała jego oczy. Wędrowkę kończy na głównym inżynierze okrętu. — Panie kapitanie Ihna — odzywa się ożywionym głosem, jakiego od dawna u niego nie słyszano — proszę o wybaczenie mi mojego niestosownego zachowania się wobec pana. Bardzo pana o to proszę.

Inżynier nie wierzy własnym uszom. Całe to zajście wydaje mu się operetkowe. Jak gdyby

Hacke przeszedł do lepiej widzącego peryskopu bojowego i jeszcze raz sprawdził powierzchnię oceanu. Aż dziw, że w tym stanie może coś spoznać, oćnić i podjąć właściwą decyzję. Podglądając go przy peryskopie w sytuacjach krytycznych, radiooficer Schindwein zawsze go podziwiał.

— Podnieść okręt na wysokość anteny radarowej!

Sekundy martwej ciszy i głos operatora radaru:

— Przestrzeń powietrzna czysta!

— Dziękuję.

Ostatnie noce przesiedział kołkiem w centrali. Horst Neuenahr czekał nadaremnie, aby go zastąpić i dać mu chwilę wytchnienia. Czwarła doba na bezustannym czuwaniu. Kiedy się zdawało, że gorzej już być nie może, Schindwein przechylił wiadomość o poszukiwaniu okrętu. Było to na czterdziestym równoleżniku szerokości południowej, gdzieś na wysokości stoicy Nowej Zelandii. To się nazywa szczęście! Być tropionym i nie o tym nie wiedzieć. Gdyby wówczas zaryzykowano atak... (...)

Jeden okręt, nadawał szyfrem, drugi otwartym tekstem. Szyfr, otwarty tekst, znowu szyfr, w którym jedna, znana Schindweinowi pięciocyfrowka oznacza „okay”, i ponownie ta przepłatkanka, zakończona znowu słowami nadanym otwartym tekstem. Całość, przeniesiona na papier, wyglądała mniej więcej tak:

„Potrzebujecie pomocy?”

„Pięciocyfrowka, pięciocyfrowka, pięciocyfrowka”

„Pozdrowić jakieś dziewczyny?”

„Pięciocyfrowka, pięciocyfrowka, pięciocyfrowka”

„Going Brisbane”.

Zbyt proste, aby się domyślić, o co tu chodzi. Pierwszy ma jakąś awarię i widząc zbliżający się okręt, zgłasza coś; na przykład to, że nie ma swobody manewru czy coś w tym rodzaju. Dalsza część rozmowy jest nietypowa jak na czas wojny; pewno to statek handlowy; okręt wojenny na coś takiego by sobie nie pozwolił. Lecz nie o to chodzi. Ambicją Schindweina było dostarczyć Hackemu, Hackemu, który luźne parabellum przystawił do ślepiów temu fałszywcowi i takim fasonem załatwił jego zausznika Strelowa... Od misiecy Schindwein wietrzył jakąś podstępna grę tej pary; dla takiego dowódcy warto ruszyć głową. Zresztą nie tylko dla niego, cała załoga jedzie na: tym samym wózku.

Wiec ta rozmowa. Nieprawdopodobne, wygląda jednak na to, że Bóg miłosierny rzucił im kładkę nad przepaścią. Jej znalezienie pozostawił jemu.

Radiostacje okrętów pracowały na falach krótkich nie ulegających ugięciu wzdłuż krzywizny powierzchni Ziemi; odległość pomiędzy tymi okrętami nie była duża, znajdowały się na pewno w polu wzajemnej widoczności. Fałale te, nazywane przyziemnymi, odbite dopiero od jonostery mają zasięg praktycznie nieograniczony. Schindwein zbyt dużo czasu spędził na poznawaniu tajników swego zawodu, aby nie umieć namierzyć — emisji radiostacji komunikujących się okrętów.

Jeden stał w miejscu, drugi był w ruchu. Gdzie znajdował się okręt unieruchomiony?

Wylczenie tego na podstawie namiaru okrętu nie było trudne. Aby wykluczyć błąd, wezwał do pomocy nawigatora.

To „going Brisbane” warte było miliony. Radiotelegrafista na zadnym okręcie wojennym świata nie pozwoliłby sobie na podobne odczytanie się, i do tego otwartym tekstem. Facet musiał być pijany, a jeśli tak, to mógł to być tylko cywil. Schindwein uwielbiał w tej chwili wszystkich cywilów świata!

Tłumiąc podniecenie wdrapał się na kiosk.

W ulupku sekundy omiótł wzrokiem widok rozpościerający się wokół okrętu. Boże, jaki ten świat cudowny! — westchnął w duchu.

Wreczyli dowódcę kartkę z wylczeniami.

— Szesćdziesiąt mil od nas na kursie północno-wschodnim znajduje się unieruchomiony statek handlowy, najprawdopodobniej bandery francuskiej — zameldował z dumą. I bez żadnego kluczenia dodał: — To chyba tam, gdzieś... pan wie, Herr Fregattenkapitän...

Spojrzał pytająco na dowódcę, lecz nie zauważył, aby ten zamierzał się do tego ustosunkować.

— I jeszcze jedno — ciągnął. — Podszłuchawem pogodę na najbliższe godziny. Wytrzymał się duży niż boczny z osrodkiem między Nowymi Hebrydami a Wyspami Lojalności.

Szybko przemierzający się na zachód; nie wykluczają sztormu, a może i huraganu.

— Huraganu... — Hacke powtórzył jak echo.

— Dobrze, dziękuję panu.

Gdy stał z kapitanem Ihna na kiosku, plan walki miał już gotowy.

— Szesćdziesiąt mil... — powiedział. — Nie wiem, czy on ma radar, ale musimy zachować się tak, jakby go miał, dlatego drugą połowę trasy przepłyniemy w zanurzeniu. Jeśli się zważy manewry przed atakiem oraz mają rezerwę czasu, to trzeba liczyć, że zajmie nam to w sumie pięć godzin. Do zachodu słońca pozostanie więc godzina. Jedna godzina na wszystko. Dwadzieścia minut dla mnie, czterdzieści dla pana. Nie jest to dużo, lecz musi wystarczyć. Co pan na to?

A po paru sekundach ciszy:

— Ten sztorm czy huragan to byłaby dobra rzecz w nocy, lepsza porę trudno sobie wymarzyć. Kiedy ocean się uspokoi, będziemy daleko stąd.

Zobaczyła uzbrojonych strażników, nieprzystępne kamienne mury, za nimi był Sasza, jej dziecko, pozbawiony tego, do czego ma prawo każda żywa istota — prawo do oddychania powietrzem wolności. Jaki los mu zgotują? Nie sypiała po nocach — na czym on śpi? Nie mogła jeść — co on je, pochylony nad wiezienną miską, on, żywa i najdroższa jej istota, jej życie, jej krew? Poduszki pachniały tak, jak pachniały jego włoski w dzieciństwie, buty pachniały suchą ziemią, po której jako mały chłopiec biegał na bosaka, stół pachniał atramentem jego szkolnych zeszytów.

Chodziła po ulicy, mając nadzieję spotkać tych, którzy śledzili Saszę przed aresztowaniem. Oni wiedzą co mu grozi, wiedzą, co mu jest potrzebne. Jeśli spotka tego niewysokiego w palcie, podejście i spyta o Saszę. Powie, że nie ma do nich żalu, taką to już ich praca. Ale teraz, kiedy zrobili co do nich należało, mogą przecież okazać litość, przecież teraz jest im już wszystko jedno. Chodziła po Arbacie, po jednej stronie ulicy, po drugiej, wstępowała do sklepów, udawała, że stoi w kolejce. Nie natrafiła jednak nigdzie ani na niewysokiego w palcie, ani na tego w czapce, ani na trzediego — wysokiego i złego.

Odrętwiała, przegwożdżona uczuciem własnej bezsilności wracała do domu, do pustego pokoju, i tam, samotna i cierpiąca, modliła się do Boga, od którego dawno odeszła, a teraz błagała Go, aby wszechmocny i wszechogarniający duch dobra i miłosierdzia zmieknął serca tych, którzy rozstrzygną los Saszy.

Rankami stuk skrzynki pocztowej podrywał ją z łóżka. Czekala na odpowiedź z prokuratury lub na list od jakiegoś tajemniczego i wpływowego dobroczyńcy, czekała na list od samego Saszy, przekazany przez człowieka, który siedział razem z nim, i został już zesłany, listy ze szkoły dochodzą. Opowiadano jej, że takie przypadki się zdarzają. Czytając gazety wpatrywała się w fotografie Stalina: skromne ubranie, dobre zmarszczki wokół oczu, mądra, spokojna twarz człowieka o czystym sumieniu. Niedawno obchodzono pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin, teraz ma pięćdziesiąt cztery, nie pięćdziesiąt trzy lata, tyle samo co Paweł Nikołajewicz, jej były mąż. Starszy syn Stalina jest pewnie w wieku Saszy, Stalin ma jeszcze drugiego syna i córkę, rozumie więc, czym są dzieci, wie co to takiego nieszczęście rodzinne — całkiem niedawno stracił żonę. Żeby tylko sprawa Saszy doszła do niego. Wszystkie nadzieje pokładała w Marku. Mark opowie Stalinowi o Saszy. Stalin zażąda akt sprawy, może nawet wezwie Saszę do siebie. A Sasza mu się spodoba. Sasza nie może się nie spodobać.

19.

(...) I znowu noc. Znowu obudził Saszę metaliczny zgrzyt zasuw. Zjawił się wczorajszy strażnik, obaj długo przemierzali niezliczone krótkie korytarze. Tak samo jak poprzednio na pasie strażnika pobrząkiwał pęk kluczy, tak samo stukał kluczem o kłamek drzwi lub o metalową poręcz schodów uprzedzając, że prowadzi więźnia. Sasza liczył piętra i utwierdził się w przekonaniu, że przyszedł na parter. Z otwartych drzwi na końcu korytarza dobiegały głosy, słychać było nawet śmiech, pachniało innym, nie wieziennym życiem. Tym razem Diakow nie świecił mu w oczy lampą, widocznie stosował ten sposób tylko przy pierwszym przesłuchaniu. Tego dnia nie miał na sobie munduru, lecz brązową marynarkę, a pod nią granatowy sweter. Skinieniem głowy kazał Saszy usiąść, po czym wrócił do pisania. Pisał, odczytywał tekst; znowu pisał, w ogóle nie zwracając uwagi na Saszę. Oddzielał ich tylko masywny kałamarz i równie masywny bibularz. Sasza pomyślał, że bardzo łatwo byłoby złapać bibularz i roztrząsać nim Diakowowi głowę. Na tym krześle siedują różni więźniowie, wśród nich może przecież znaleźć się taki, który zechce to zrobić. Wszystko tutaj zostało przewidziane, każdy krok, każdy ruch, a tego nie wzięli pod uwagę. A może są przekonani, że nikt się na to nie odważy? Może jest jakiś sekretne urządzenie alarmowe, włączające się po dotknięciu kałamarza? Oczywiście stąd się nie ucieknie, ale człowiek w przypływie rozpacz może coś takiego zrobić. A jednak Diakow się nie boi. Być może prawdziwych więźniów przesłuchują gdzie indziej.

Diakow zebrał zapisane kartki i wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Miał na sobie brązowe spodnie, wpuśczone w czesane walonki. Widząc jak ciepło ubrany jest Diakow Sasza poprzez swoje trzewiki od razu poczuł chłód cementowej podłogi.

Wszystko było inaczej, nie tak jak poprzednio. Wydawało się, że Diakow zajęty jest o wiele ważniejszą i pilniejszą sprawą, a Saszę przyprowadzono tu tylko dlatego, że wezwano go wcześniej, kiedy Diakow jeszcze nie wiedział, że będzie zajęty czymś innym. Po cywilnemu i w walmach wyglądał całkiem zwyczajnie i nie urzędowo, wychodził, zostawia Saszę samego przy biurku, na którym leżą różne papiery, nie boi się, że Sasza do nich zajrzy, nie boi się też, że Sasza zlenacka uderzy go ciężkim kałamarzem.

W korytarzu trzasnęły drzwi, dały się słyszeć głosy. Diakow z kimś rozmawiał, potem wrócił, niezgrabnie stąpając w swoich czesankach, zamknął drzwi, usiadł za biurkiem, poszperał w szufladzie, wyciągnął cieniutką teczkę — był w niej protokół z poprzedniego przesłuchania — szukał jeszcze czegoś, nie przestając grzebać w szufladzie i nie patrząc na Saszę spytał:

— No więc, Pankratow, co dziś powiecie?

Zadał to pytanie tak jakos mimochodem, spokojnie, nawet życzliwie, tak jakby nie pamiętał poprzedniej rozmowy.

— Widzicie — zaczął Sasza.

— Aha, jest! — Diakow znalazł wreszcie potrzebny papier i znowu wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, złożył papiery, wsunął je do szuflady, usiadł, otworzył teczkę Saszy.

— No więc, Pankratow... Przemysleliście sobie wszystko tak jak wam radziłem?

— Przemyslałem. Ale nie wiem o co chodzi.

— Kiepsko! — Diakow pokręcił głową. W jego głosie była nagana, ubolewanie, nawet współczucie, jakby chciał powiedzieć, że Sasza sam się pogrąża.

Zamyślił się, wskazał na teczkę z aktami sprawy.

— Chcecie to przeciągać?

— Nie wiem o jakich kontrowersyjnych rozmowach mówiliście poprzednio.

Diakow nachmurzył się.

— Nie jesteście szczerzy, Pankratow. Chcecie skierować naszą uwagę na wasze instytucyjne sprawy, a nie na to, co najważniejsze. Zresztą to co mówiliście też się nie klei. Wiele rzeczy zatailiście. Nie jesteście w porządku. To dla was charakterystyczne.

— Co zatailiście? — zdziwił się Sasza.

W tym momencie do pokoju wszedł starszy mężczyzna o twarzy Eskimosa, ubrany w ciemnogranatowy garnitur, dobrze dopasowany do jego masywnej, nawet zwalistej figury.

Diakow wstał. Mężczyzna wskazał mu krzesło, sam usiadł obok.

— Kontynuujcie!

I uważnie przyjrzał się Saszy. Sasza zrozumiał, że to przełożony Diakowa, ale w spojrzeniu nieznanego było coś więcej niż zwykłe zowodowe zainteresowanie kolejnym przesłuchiwaniem. Zaskłona nadzieja: ten człowiek może zmienić jego los.

— No więc, Pankratow — powiedział Diakow. — Na czym to stanęliśmy?

— Mówiliście, że coś zatailiście. Co zatailiście?

— Wystarczy przejrzeć protokoły z zebrania partyjnego. Ubiegaliście się nawet o protekcję

wysoko postawionych osób...

Diakow popatrzył na Saszę wyczekująco.

Tak. Wszystko jasne. Chodzi o Marka, o Budiagina, może nawet o jednego i drugiego razem. Aluzja jest przejrzysta. Celowo nie powiedział „wysoko postawieni towarzysze”, tylko

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

ko „wysoko postawione osoby”. Nazwisk nie wymieniał. No, niech wymienią! Od Saszy ich nie usłyszy.

— Kogo macie na myśli?

— Pankratow!

Diakow wykrzywił twarz w uśmiechu pełnym potępienia i wstrętu.

— Nietrudno, Pankratow! Nie bawcie się tu z nami w kotika i myszkę. Wiemy więcej niż się wam wydaje. Chcecie zmusić nas do mówienia, a my chcemy, żebyście to wy mówili, to leży w waszym interesie. Wstawiali się za wami Riazanow i Budiagin, sami to przyznaliście na zebraniu, a teraz udajecie głupiego. I znowu nie „towarzysze Riazanow i Budiagin”, tylko „Riazanow i Budiagin”.

— Nie ubiegalem się o niczyją protekcję — sprostował Sasza. — Opowiedziałem o wszystkim mojemu wujkowi Riazanowowi, ale nie prosiłem go o żadne wstawienie. On sam, bez mojej wiedzy poprosił Budiagina, żeby zadzwonił do dyrektora Instytutu, Głińskiego.

— Przypuścimy — zgodził się Diakow. — To dlaczego nie powiedzieliście o tym poprzednim razem? Dlaczego nie wymieniliście tych nazwisk? A wymieniliście masę osób — wyciągnął z teczek wąski papier, którego Sasza przedtem nie widział — Baulin, Lezgaczew, Azizjan, Kowalew, a Riazanowa i Budiagina nie wymieniliście. Dlaczego?

Sasza zastanawiał się gorączkowo. Teraz każde jego słowo może okazać się fatalne w skutkach dla Marka i dla Iwana Grigorijewicza. Chodzi o nich, to jasne. O co mogą być oskarżeni?

— Nie przywiązywałem do tego wagi. Są to czysto rodzinne związki. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego was to aż tak interesuje.

Powiedział to twardo, tak jak mówił się o sprawie, o której nie chce i nie będzie się dyskutować. Diakow wskazuje mu drogę, ale on tą drogą nie pójdzie.

Diakow popatrzył na niego, jak się Saszy wydało, uważnie, z zainteresowaniem, a nawet z niepokojem.

— Rozpatrzenie sprawy u Solca też zorganizował wasz wujek?

— Nikt niczego nie organizował. Sam tam poszedłem.

Diakow uśmiechnął się.

— Ludzie czekają miesiącami, żeby się dostać do Solca, a wy przyszedliście i gotowe: od razu przyjął, od razu rozpatrzył sprawę... Kto w to uwierzy, Pankratow?

— Kiedy właśnie tak było — powiedział Sasza. — Wszedłem do gabinetu, zobaczył mnie, spytał o co chodzi...

— Taki szczęśliwy przypadek?

— Być może... Czy nie miałem prawa zwrócić się do CKKP? Czy mój wujek nie miał prawa wstawić się za mną? Gdzie tu moja wina? Dlaczego mnie tu trzymacie? Nie wiadomo za co i po co!

Twarz Diakowa znowu wykrzywiła się w grymasie. Nie odezwał się, tylko z ukosa popatrzył na swojego naczelnika, jakby chciał, aby tamten przekonał się z kim on, Diakow,

(12)

ma do czynienia. Ale człowiek o twarzy Eskimosa nie odezwał się, wstał ciężko i wyszedł z pokoju.

Diakow zaspłił się i zupełnie innym tonem oświadczył:

— Wasza wina polega na tym, że nie jesteście szczerzy i uczciwi wobec Partii. Zatailiście jeszcze wiele innych rzeczy. Wymieniliście wszystkich swoich oskarżycieli, ale ani razu nie wspomnieliście o swoich obrońcach. A przecież w waszej sprawie przychodziło mnóstwo ludzi... Na przykład ten Kriworuczk...

Sasza poczuł niebezpieczeństwo. Wszystko może się zaważyć w całkiem nieoczekiwanym momencie. Co do Marka i Budiagina, sprawa jest jasna, nie powiedział i nie powie nic, co mogłoby im zaszkodzić, ale Kriworuczk... „Ten kucharz będzie pichcił ostre potrawy...” Kriworuczk powiedział to o Stalinie. Jeżeli Sasza o tym wspomni, to nie tylko sam się pogrąży, ale i wyda Kriworuczkę. Jeżeli przemilczy, wejdzie na drogę nieszczeroci i nieprawdy.

— Byłem u niego dwukrotnie. Za pierwszym razem podstępował mi decyzję o wydaleniu, za drugim zataił ponowne przyjęcie na uczelnię.

Diakow roześmiał się.

— To was wyrażają, to przyjmują, to do więzienia wsadzają... I co, Kriworuczk nie wam nie powiedział?

— Wydawał się przynęciony, przecież wydano go z partii.

— Was też wydano. I nie mieliście żadnego wspólnego tematu do rozmowy?

Diakow przez cały czas nie spuszczał z niego wzroku. Czy coś wie, czy się czegoś domyśla, może tylko bada grunt, a może zauważył zmieszanie Saszy?

— Czyżby w ogóle nie skomentował tego, że was wyrzucili, a potem znowu przyjęli? — naciskał Diakow. — Czyżby o nic nie pytał? Tym bardziej, że na egzekutywie go broniliście.

— Wtedy po prostu powiedziałem jak było naprawdę.

— Tak... A on po prostu przyłożył pieczęć. Nie, nie można się poddawać. Diakow chce go przycisnąć, osaczyć, odcisnąć uwagę od najważniejszego, od Marka i Budiagina, wplatać...

— Żadnej szczególnej rodnymy nie mogło być. On jest zastępcą dyrektora, a ja zwykłym studentem.

Diakow patrzył na niego przenikliwie.

— A my mamy informacje, że Kriworuczk prowadzi antypartyjne rozmowy z innymi studentami. I akurat wam, człowiekowi pokrzywdzonemu w dodatku broniącemu go nie nie powiedział. Dawne.

Kriworuczk zna Marka, przekazywał dla niego pozdrowienia. Nie, nie trzeba mówić.

— Tak właśnie było — powiedział Sasza.

Diakow nadal uporczywie wpatrywał się w Saszę, i nagle jego twarz rozciągnęła się w złośliwym uśmiechu. Uśmiechając się tak sięgnął po czysty formularz protokołu przesłuchania.

— No dobrze, my jesteśmy cierpliwi, poczekamy aż zdecydujecie się mówić prawdę, i przypomniacie sobie to, co powinniście sobie przypomnieć.

Tym razem protokół zaczynał się od słów: „W uzupełnieniu moich wcześniejszych zeznań...” i zawierał przyznanie się, że Sasza był w gabinecie Kriworuczki oraz występował w jego obronie na zebraniu egzekutywy, zaś Janson i Siwierski występowali w obronie Saszy. O Marku i Budiagina nie było żadnej wzmianki.

Wszystko zostało zaprotokółowane zgodnie z tym, co mówił Sasza, ale mimo to, tak samo jak poprzednio, protokół wzbudził w nim niejasne poczucie zagrożenia. Nie potrafił jednak umysłować sobie na czym właściwie ono polega. Żądał tylko uzupełnienia, że do Kriworuczki zachodził, żeby zataić swoje sprawy.

— Jesteście studentem, to oczywiście, że zachodziliście tam zataić sprawy.

„Czort z nim!” Sasza podpisał protokół.

— Nie otrzymuję paczek od matki, i to mnie niepokoi. Oprócz tego proszę o książki i gazety z biblioteki.

Diakow pokręcił głową.

— W śledztwie to niedozwolone. Gdybyście byli z nami szczerzy, szybko uwinęlibyśmy się ze śledztwem, i otrzymalibyście to o co prosicie. I weźcie pod uwagę, Pankratow, że następne spotkanie będzie już ostatnim — Diakow wskazał palcem sufit — mnie też rozliczają. Chciałbym zakończyć tę sprawę z pozytywnym dla was skutkiem. Skorzystajcie z tej szansy.

Albo Mark, albo Iwan Grigorijewicz, albo nawet obaj. Uczciwi, oddani Partii komunistki! Budiagina zna słabo, ale o Marku wie wszystko, rzeczy za niego, nie dopuszcza nawet myśli, że Mark... Aresztowanie Marka to takie samo nieporozumienie jak i jego aresztowanie, ba, coś więcej: on, Sasza, ma za sobą tę nieszczasną historię w Instytucie. Marka nie nie obciążają: znakomity inżynier, wybitny działacz gospodarczy, wspaniały, bezinteresowny człowiek, prawdziwy komunist, całe jego życie to praca, praca i tylko praca. I jego zamknąć? Może jest gdzieś blisko, w tym samym korytarzu, tuż obok? Mark, krótkowidz, chory na serce, tutaj, w takiej samej celi?

Nie wie o żadnej winie Marka, jest pewien jego uczciwości. Jeżeli uznają, że Sasza kryje Riazanowa, to niech sobie uznają! Jest gotów dzielić z Markiem jego los. Tak się złożyło, tak wyszło, nie się nie poradzi, trzeba wytrzymać, przyjdzie czas, że i on, i Mark udowodnią swoją niewinność.

Wszystko jasne, nie ma się co zastanawiać. Jest szczerzy wobec Partii, niczego nie ukrywa, nie zataja, o Marku nie może powiedzieć nic złego. Koniec. Kropka.

Niepokoiło tylko jedno... Kriworuczk... Jedyna kwestia, w której czuł się niepewnie. Co by nie powiedział, zataił. Może nieważne, nieistotne, ale zataił. Chce mieć czyste sumienie. Kriworuczk psuł to wrażenie czystości i jasności.

W dzień zjawił się nieznanomy strażnik z kartką papieru i ołówkiem.

— Napiszcie zamówienie do biblioteki.

Zezwolił! Sasza nie wiedział ile książek i na jak długo może wypożyczyć, nie zdradził się jednak ze swoją niewiedzą. Z doświadczonym więźniem personel liczy się bardziej, niż z niedoświadczonym.

Tolstoj — „Wojna i pokój”. Gogol — „Martwe dusze”. Balzac — „Stracone złudzenia”. Stendhal — „Pustelnia parmeńska”, najnowsze numery czasopism „Krasnaja now”, „Nowyj mir”, „Oktiabr”, „Molodaja Gwardia”, „Zwiedza”. Pisał bez zastanowienia, nie było na to czasu, strażnik czeka, więzień powinien z góry wiedzieć, czego potrzebuje, pisał więc to, co przychodziło mu do głowy, najważniejsze to dostać te książki, jak najgrubsze, żeby starczyło do następnego razu, który nie wiadomo kiedy nastąpi.

Jedną tylko pozycję wpisał z rozmysłem — „Kodeks postępowania karnego RFSRR”. Nie dostanie go, to jasne. A jednak wpisał — „Kodeks postępowania karnego RFSRR” Chciał w ten sposób wyrazić protest przeciwko swojej sytuacji.

Dlaczego Diakow zezwolił na korzystanie z biblioteki? Chce go pozyskać? W interesie Diakowa leży raczej uczynić pobyt Saszy w więzieniu na tyle nieznośnym, by zmusić go do zeznań. Bo się naruszył prawo, zezwalające na korzystanie z biblioteki? Litość? Dla oskarżonego o kontrowersyjność nie ma litości. A może to wcale nie zasługa Diakowa, może po prostu przypadek, tak jak ten przyszedł poza kolejnością. Szkoda. Wykryją omyłkę i nie przyniosą tych książek.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

CZY W 1939 ROKU PRZYGOTOWYWANO ŻYWE TORPEDY?

Sprawa „żywych torped” w Polsce budzi co jakiś czas żywą reakcję czytelników. Okazuje się, że nadal jest brak jednoznacznych i wiarygodnych źródeł na istnienie w 1939 roku broni, która skazywała człowieka na śmierć.

1. Pierwsze udane próby z „żywymi torpedami” przeprowadził Włosi w nocy z 1 na 2 listopada 1918 roku. Dokonano napadu na okręty austro-węgierskie bazujące w Puli. Do akcji użyto specjalnej łodzi „Mignatta”, będącej prototypem „żywych torped”. Używaną podczas drugiej wojny światowej. W parę minut później nastąpił wybuch miny przy burcie „Virbus Unitis”. Razem z okrętem zginął kmdr Vuković de Podkapelski oraz około 500 marynarzy.

Okazało się, że „żywe torpedy”, są bronią, która może zadawać straty nieprzyjacielowi. Do czasu wybuchu drugiej wojny światowej szczególnie Włosi i Japończycy pracowali nad nowymi konstrukcjami „drobnoustrojów”. Koniec dominacji Niemiec na Atlantyku spowodował, że konstruktorzy Kriegsmarine, poganiiani przez przegranych admirałów i generałów, wzorując się na prekursorach „żywej torpedy”, opracowali kilka typów tej broni.

Zbliżająca się klęska Japończyków w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, była powodem wprowadzenia do działań bojowych „Kaiten”. Było to w styczniu 1944 roku. „Kaiten” miały być bronią „narodowego zbawienia”. Młodzi ludzie, wierząc, że oddają życie za Japonię i cesarza, skazywali się na śmierć.

Także Anglicy widząc efekty nowej broni opracowali kilka typów „żywych torped” i małych okrętów podwodnych. Brytyjskie „liliputy” nazywane oficjalnie „X-cratt”, uszkodziły 22 września 1943 roku niemiecki superpancernik „Tirpitz”.

2. Historia „żywej torpedy” w Polsce narodziła się 6 maja 1939 roku. Krakowski dziennik „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, opublikował list trzech czytelników: Leona i Edwarda Lutostańskich oraz Władysława Bożyckiego. Tak pisał jeden z autorów listu:

„Otoż ja i moi dwaj szwagrowie używamy wszystkich tych Polaków, co chcą niezwłocznie oddać życie za Ojczyznę, jednak nie w szeregach armii razem ze wszystkimi, lecz w charakterze żywych torped z łodzi podwodnych, żywych bomb z samolotów, w charakterze żywych min przeciwpodwodnych i przeciwczołgowych. (...) Każdy okręt, czołg może kosztować i tak życie kilkunastu żołnierzy, zaś jeden człowiek może oddać tylko jedno swoje życie jako żywą pocisk. Człowiek w torpedzie zawsze znajduje ten cel, w który chce trafić i tym samym zaoszczędzi życie innym żołnierzom, zniszczy zaś wielu wrogów... Nie wątpię, że takich jak my zgłoszą się tysiące...”

Nie trzeba było długo czekać na głosy czytelników. Reakcja była spontaniczna. Zaczęli napływać listy do redakcji z pytaniami, gdzie mają się zgłaszać przyszli piloci „żywych torped”? W ciągu kilku dni napłynęło przeszło 500 zgłoszeń, a do września liczba została podwojona. Brak jednak pełnej dokumentacji uniemożliwia ustalenie ostatecznej liczby kandydatów. Sprawa „żywych torped” zainteresowała się także kierownictwo Marynarki Wojennej. Trudno zdecydowanie dzisiaj stwierdzić, czy władze wojskowe poważnie traktowały ideę samobójczej śmierci, czy była to tylko czysta formalność w zapisywaniu potencjalnych pilotów „żywych torped”. Do dzisiaj krąży pogłoski, że liczba przyszłych pilotów-samobójców miała wynosić trzy tysiące, a może i więcej.

Brak zdecydowanych kroków ze strony władz wojskowych spowodował, że we wrześniu 1939 roku, potencjalni piloci „żywych torped”, ginęli na polach walki w szeregach oddziałów wojskowych. Ci, którzy przeżyli trzaskiem pierwszych miesięcy wojny wstępowali do partyzantki i brali następnie udział w akcjach dywersyjnych.

Właściwie tylko raz powstała myśl użycia pilotów „żywych torped” do walki. Podczas odwrotu armii „Pomorze” między 4 a 5 września 1939 r., powstał w jej dowództwie pomysł zniszczenia niemieckiej przeprawy przez Wisłę. Do tego celu miało użyć drewniane płytki, w kształcie trójkątów, z ładunkami wybuchowymi, o zapalnikach iglicowych, w rogach. Do ostatecznej realizacji nie doszło. Okazało się, że nastąpiły trudności w odszukaniu żołnierzy zapisanych na listach „żywych torped”.

3. Wydaje się, że sprawa użycia „żywych torped” w kraju nie była rozpatrywana poważnie. Faktem jednak jest, że idea pilotów-samobójców była w naszym kraju znana. Okazuje się, że do dzisiaj żyją ci, którzy jako „żywe torpedy” pragnęli oddać życie za Ojczyznę. Mimo, że relacje byłych ochotników nie zawsze się pokrywają, celowym będzie przytoczyć ich głosy.

Marian Kamiński z Poznania tak wspomina: „Oficer w randze majora, wysoki blondyn w mundurze wojsk lotowych, oświadczył, że zobaczmy film, który stanowi tajemnicę państwową. Zaproponowano nam do sali kinowej. Ku mojemu zdziwieniu był to film... o torpedach. Major mówił:

— Widzicie torpedy, które są w całości konstrukcjami polskimi! W basenie portowym znajduje się już 16 takich gotowych do użycia aparatów. Dalsze są w budowie. Każda torpeda waży 480 kg i może zabierać 220 kg ładunku wybuchowego. Ich długość wynosi 3,4 m...”

Wszystko, co działało na ekranie, a film trwał około 80 minut, uprawiało mnie w osłupienie. W kabinie torpedy (na filmie), do której można było wejść na „czworakach” znajdowały się dwa drążki i na usytuowanym z lewej strony pulpitem, trzy guziki: jeden włączający silnik elektryczny, drugi z napisem „Start” i trzeci z napisem „Odpal”. Po zakończeniu projekcji major przyniósł eszty. Były tam nasze nazwiska; każdy musiał podpisać oświadczenie, że zachowa w tajemnicy to, co zobaczył!”

Analizując wspomnienia mieszkańca Poznania możemy dojść do wniosku, że kilka spraw wydaje się wręcz nieprawdopodobnych. Projekcja filmu, o której wspomina Marian Kamiński, miała miejsce w czerwcu 1939 roku w Gdyni. Brały w niej udział 83 osoby, w tym jedna kobieta. Otoż według zachowanych materiałów nigdy nie zostały wybudowane polskie „żywe torpedy”. Tym samym budzić może duże wątpliwości film przedstawiający konstrukcję podwodnej broni. I jeszcze sprawa zachowania tajemnicy państwowej. Wydaje się wręcz niesamowite, że władze Marynarki Wojennej w okresie „gorączki” przedwrześniowej bez większych ostrożności pokazały film o „żywych torpedach”. Przecież Niemcy za wszelką cenę starali się rozpoznać w potencjał militarny naszego kraju. Sprawa podwodnej broni powinna ich w takim przypadku bardzo interesować i niepokoić.

Czy naprawdę Marian Kamiński widział „żywą torpedę”? Okazuje się, że w 90 proc. osób, które zgłosiły się na „żywe torpedy” stanowili ludzie młodzi w wieku 16–23 lat. Wychowani w duchu patriotycznym gotowi oddać życie. Nie brakowało wśród nich kobiet. Oto kilka spośród wielu nazwisk: Zofia Pudłowska (Bydgoszcz), Anna Miskowa (Kleczka Góra), Barbara Prószyńska (Poznań).

4. Emitowany kilka lat temu przez telewizję program historyczny „Świadkowie”, pozwolił ustalić, że niektórzy kandydaci na „żywe torpedy” zostali wezwani przez władze wojskowe i przeszkoleni do zadań specjalnych.

Relacje innych świadków wydają się także tajemnicze. Wspomina Wacław Filipiak z Jastrowia:

„O „żywych torpedach” dowiedziałem się 1 kwietnia 1939 roku

(dopiero 6 maja 1939 roku ogłoszono list w „IKC” — przyp. aut.) Nie przywiązywałem do tego uwagi ponieważ wydawało mi się, że jest to po prostu dowcip. Kiedy jednak pod koniec tego miesiąca redakcja (czasopismo „Wielkopole” — opublikowało artykuł o „żywych torpedach” — przyp. aut.) podała kolejne nazwiska ochotników zainteresowanych sprawą; w RKU w Koninie oświadczone mi jednak, że werbunku do „żywych torped” nie prowadzi się. W tej sytuacji kandydaturę swoją zgłosiłem do „Wielkopola” i w dniu 15 maja (Wacław Filipiak pomylił się — chodzi o dzień 18 maja — przyp. aut.) zobaczyłem na łamach swoje nazwisko. Był to mój pierwszy i ostatni kontakt z tą sprawą. Nikt mnie nigdy i nigdzie nie wzywał, nie słyszałem nic o losach tych ludzi”.

Kolejne informacje podaje Jan Szumiata ze Świdnika: „Wraz z kolegą złożyliśmy podania do Marynarki Wojennej w Gdyni... Było to na przełomie maja i czerwca 1939 roku. Nasze nazwiska wymieniono w gazecie „Wielkopole”. Otrzymałem też instrukcję na temat „żywej torpedy”. Była to łódź podobna do kajaka zabudowana, z włozem z góry i szklonym prozorem. Torpeda była napędzana akumulatorami, sterowana kierownicą, sternik kładł się nago...”

Stefan Ceglarski z Wąlcza, kandydat na „żywą torpedę”, tak relacjonuje:

„O ile dobrze pamiętam, było to pod koniec czerwca 1939 roku. Pewnego dnia oficer służbowy (Stefan Ceglarski był żołnierzem 6 Batalionu Telegraficznego w Jarosławiu — przyp. aut.) wezwał mnie do dowódcy kompanii. W jego gabinecie czekało na mnie dwóch wysokich rangą oficerów Marynarki Wojennej. Zdziwiły mnie pytania, które skierowano pod moim adresem. Czy czujesz się dobrze w wodzie? Czy chciałbyś zostać przeniesiony do Marynarki Wojennej? Niezmiennie odpowiadałem: „Tak jest”.

Po dłuższym wykładzie na temat sytuacji w Europie i polityki hitlerowskich Niemiec padło pytanie najważniejsze — Czy jesteś gotów oddać życie za Ojczyznę? Tak jest — odpowiedziałem... Czy chciałbyś się upisać na listę „żywych torped” tzn. ludzi, którzy w razie wybuchu wojny zginą pierwszy... Odpowiedziałem, że tak! Wtedy obaj oficerowie opowiedzieli mi szczegółowo o nowej broni. Ich zdaniem było to coś w rodzaju wielkiego pocisku, na którym znajdowała się mała łódź z sternikiem. Pocisk i łódź tworzyły całość... Nie pamiętam już, jaki ten dziwny zestaw miał mieć napęd, wiem jednak, że po wypłynięciu z bazy torped miało się naprowadzać na cel i w niedużej odległości od niego kierować pocisk we właściwym kierunku. Znajdujący się w łodzi człowiek miał mieć szansę powrotu do bazy”.

5. Kolejna relacja i kolejne pytania. Marian Kamiński z Poznania, wspominał, że torpeda, którą zobaczył miała dwa skrzydła i wyglądała jak samolot. Jan Szumiata — jest zdania, że była to łódź podobna do kajaka. Stefan Ceglarski — że było to coś w rodzaju wielkiego pocisku, na którym znajdowała się mała łódź z pilotem.

Trzy relacje i trzy sprzeczne zdania odnośnie budowy „żywej torpedy”. Czy naprawdę przyszli piloci-samobójcy widzieli i słyszeli o podwodnej broni. Podobno 16 „żywych torped” było już spuszczanych na wodę?

Czy wydają się być wiarygodne przedstawione relacje? Wiele jeszcze pytań zostaje bez odpowiedzi. Jedno wydaje się być pewne. Od maja do końca sierpnia 1939 roku do kilku redakcji napływały zgłoszenia od osób pragnących służyć jako pilot w „żywej torpedzie”. Marynarka Wojenna była zainteresowana wykorzystaniem ludzi w podwodnej dywersji.

Różnorodność głosów, co do konstrukcji podwodnej broni budzi wiele wątpliwości.

Może Czytelnicy dopiszą kolejne losy polskiej „żywej torpedy”? Czy jest to tylko mistyfikacja czy jeszcze jedna zagadka drugiej wojny światowej?

MARIUSZ BOROWIAK

GENERALOWIE RÓWNIEŻ GINĘLI

Zaraz po zakończeniu działań wojennych w 1939 roku pojawiła się opinia — bardzo chętnie lansowana przez propagandę hitlerowską, a może nawet przez nią stworzona — o tchórzostwie i nieudolności polskich oficerów, co miało doprowadzić do przegranej wojny. Co gorsza, opinia taka została podchwytana przez pewne polskie kręgi historyków, polityków i wojskowych.

Oficerowie walczyli i ginęli na równi z żołnierzem polskim. Stałystyki wojny 1939 r. wykazują, że straty w polskim korpusie oficerskim osiągnęły najwyższy wskaźnik. Żadna armia, w żadnej kampanii II wojny światowej, nie miała wyższego wskaźnika w stratach oficerów. W czasie działań wojennych we wrześniu 1939 r. kule nie miały polskich generałów, dowódców: grup operacyjnych i dywizji. Gineł generałowie na czele swoich żołnierzy prowadząc ich do ataku na wroga. Przypominajmy ich sobie.

Gen. bryg. Józef Kustroń dowódca 21 DP Górkiej z GO „Bielisko” poległ 16 września pod Oleszczycami koło Lubaczowa — miał 47 lat.

Gen. bryg. Stanisław Grzmot-Skotnicki, dowódca GO „Czersk” poległ 18 września przy forsowaniu Bzury w rejonie Witkowie — miał 48 lat.

Gen. bryg. Franciszek Seweryn Wład, dowódca 14 DP poległ 15 września pod Witkowem nad Bzurą, w chwili gdy podjął próbę obrony Białej Góry — miał 48 lat.

Gen. bryg. Józef Olszyna-Wileński, dowódca GO „Grodno”, obrońca linii Biebrzy na odcinku Wizna — Suwałki — poległ 19 września w Sopocie — miał 49 lat.

Gen. bryg. Mikołaj Białas, dowódca GO „Wachód”, poległ 22 września pod Łomiankami, gdy na czele swych żołnierzy prowadził atak na bagnety — miał 46 lat.

Pułk. dypl. Stefan Kossacki, dowódca 18 DP z GO „Narew”, ciężko ranny pod Zambrowem, zmarł w szpitalu niemieckim w wieku 50 lat. Według niektórych źródeł pułk Kossacki został w pierwszych dniach września 1939 r. awansowany do stopnia generała brygady.

Gen. bryg. w stanie spoczynku Stanisław Działowski-Rawicz, zgłosił się na ochotnika, zmarł od ciężkich ran odniesionych w obronie Warszawy — miał wtedy 70 lat.

Dla wielu żołnierzy i oficerów polskich wojna nie zakończyła się we wrześniu 1939 r. Walczyli dalej na wszystkich frontach II wojny światowej. Walczyli i ginęli:

Gen. bryg. Stefan Pawlikowski zginął śmiercią lotnika w locie nad Francją w 1943 r. Miał wtedy 47 lat.

Gen. bryg. Stanisław Rostworowski ps. „Odra”, komendant Okręgu Krakowskiego Armii Krajowej, w sierpniu 1944 r. aresztowany i zamordowany przez Gestapo. Miał 56 lat.

Gen. dyw. Stefan Rowecki ps. „Grot”, „Grabica”, „Rakoń”, „Kalina”, komendant główny ZWZ, a następnie Armii Krajowej, aresztowany przez Gestapo, a następnie zamordowany w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen w 1944 r. Miał 49 lat.

Gen. bryg. Aleksander Waszkiewicz, Bohater Związku Radzieckiego, w Wojsku Polskim od września 1944 r. Dowódca 5 DP, zginął w kwietniu 1945 r. w bitwie pod Budziszynem — ciężko ranny, wzięty do niewoli został bestialsko zamordowany. Miał 44 lata.

Polscy generałowie, tak jak wszyscy inni oficerowie i żołnierze szli do niewoli niemieckiej:

Gen. bryg. Franciszek Alter w wojnie 1939 r. dowódca 25 DP, zmarł w Murnau. Miał 56 lat.

Gen. bryg. Franciszek Klesberg, dowódca GO „Polesie”, dowodził w ostatnim bitwie 2–3 października 1939 r. pod Kockiem. Zmarł w niewoli, miał 53 lata.

Gen. bryg. Juliusz Zulfant, dowódca 3 DP, w niewoli stał na czele obozowego ruchu oporu. Zmarł w Murnau w wieku 52 lat.

ZZDZISŁAW PIASECKI

VI DNI GÓRNEJ

23 sierpnia 1987 roku. Na estradzie przy Stawach Jana punktualnie o godz. 15.00 rozpoczynają się występy zespołów amatorskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej „Alba” z Łodzi. Imprezę rozpoczyna orkiestra dęta. Niewątpliwie ciału programu estradowego były występy goszczącej w Polsce grupy Akademickiego Zespołu Uniwersytetu w Porto z Portugalii. Zespół to stary, założony w marcu 1912 roku, a więc w tym roku obchodzący 75-lecie swojego istnienia. Od 1973 roku pod dyktando prof. Mario Mateusa odwiedził wiele krajów: Hiszpanię, Francję, gdzie zajął drugie miejsce na Festiwalu Światowym Muzyki i Folkloru w Angers. Występował we Włoszech, Grecji, USA, Brazylii, Wenezueli, Południowej Afryce, Angoli, Mozambiku, Szwajcarii i RFN, a ostatnio zawiązał również do Polski.

Dużą popularnością wśród licznie zgromadzonej publiczności cieszyły się występy młodych wiekiem i stażem zespołów wokalo-instrumentalnych: „Agat” i „Komplex” z solistkami — A. Sadurą i E. Szydłowską. Na zakończenie imprezy wystąpił również gościnnie zespół muzyczny z Lublinka. Przez trzy godziny na estradzie przy Stawach Jana łódzka publiczność nie mogła narzekać na brak atrakcji w tzw. sezonie ogórkowym. Okazuje się, że bez fanfar, szumu i rozgłosu, tak całkiem zwyczajnie, jeden zakład pracy potrafi i jest w stanie zaspokoić potrzeby ludności na całkiem odpowiednim poziomie artystycznym bez większych nakładów finansowych, nagród i wyróżnień. I za to należą się duże brawa dla pracowników ZDK „Alba” w Łodzi!

Jedynymi zawodowcami biorącymi udział w tej wspaniałej, udanej imprezie były osoby prowadzące konferansjerkę, monolog i skecze, artyści scen łódzkich — Janina Borońska i Andrzej Zagwa.

WLADYSŁAW BISZEWSKI

SOBOTA W PABIANICACH

Zwracamy się z prośbą o wyjaśnienie i sprostowanie wiadomości podanej w tygodniku nr 34 z dnia 22 sierpnia 1987 roku w artykule Marka Kwiatkowskiego pt. „Sobota w mieście przemysłowym średniej wielkości”.

Pragniemy zaprosić i umówić się z Redaktorem Markiem Kwiatkowskim w celu wyjaśnienia tej sprawy, gdyż jako Zarząd Miejski TKKF w Pabianicach czujemy się niewinni, gdyż jako współorganizator imprez z okazji „Lato w mieście” wspólnie z ZM ZSMP i Urzędem Miejskim w Pabianicach mamy opracowany szczegółowy plan organizacji tej akcji na terenie obiektów MOSIR-u i w Parku Wolności. Imprezy organizowane są przez wyznaczone Terenowe Ogniska TKKF lub Ogniska TKKF przy pabianickich zakładach pracy w wyznaczonych godzinach od 11.00 do 13.00 i od 15.00 do 17.00. Wszystkie zakłady pracy i Ogniska Terenowe otrzymują pisma z terminem wyznaczonym dla nich organizacji imprezy (pisma podpisane były przez ZM TKKF, Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury UM oraz ZM ZSMP w Pabianicach). Pisma skierowane były w dniu 1987.05.27. do dyrektorów zakładów pracy i prezesów ognisk TKKF.

Pragniemy poinformować także, że do tej pory nie mieliśmy żadnych skarg ani uwag w tej sprawie. Dlatego jesteśmy zaskoczeni tym artykułem dotyczącym pkt. 1 w sprawie organizacji imprez sportowo-rekreacyjnych z okazji „Lato w mieście”. Nie możemy się ustosunkować do innych spraw poruszanych w tym artykule, gdyż nie jesteśmy ani kompetentni ani upoważnieni.

Dlatego jeszcze raz prosimy o wyjaśnienie tej sprawy z nami lub o podanie bliższych danych, kiedy Marek Kwiatkowski wizytował obiekty MOSIR-u i Parku Wolności (dzień i godziny wizyty).

Oczekujemy wizyty lub wyczerpującej odpowiedzi w tej sprawie.

Pabianice, 1987.08.24.

Ze sportowym pozdrowieniem:

HIERONIM LEWOWSKI
JAN WAWRZYNIAK

Do wiadomości:
1. Urząd Miejski Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury w Pabianicach
2. Zarząd Miejski Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Pabianicach.

OD REDAKCJI: Treść listu przekazaliśmy redaktorowi M. Kwiatkowskiemu. Ustosunkuje się do sprawy po powrocie z urlopu.

„KRYMINAL ZA PIĘĆ DYCH”

Odpowiadając na zarzuty skierowane pod naszym adresem w publikacji Karola M. „Kryminal za pięć dych”. Odgłosy nr 33 z dn. 15.08.87, informujemy, że dla wyjaśnienia spraw związanych z jazdą bez ważnego biletu, pasażerowie nie muszą tracić czasu i zwalniać się z pracy, ale z tytułu swojego przeoczenia — braku ważnego znaczka na bilecie pracowniczym, mogą dopełnić niezbędnych formalności w każdy wtorek w godzinach od 7.00 do 18.00. Wnieślenie opłaty manipulacyjnej następuje w Dziale Reklamacji w przypadkach szczególnych i indywidualnych. Zasada jest, że w środkach komunikacji nie dopuszcza się jazdy bez ważnego biletu. Z uwagi na powyższe, opłata ta nie może być przyjęta przez kontrolera, ponieważ są to koszty manipulacyjne.

Sądzimy, że jeśli ktoś chce uniknąć w podobnych przypadkach kłopotów, winien raczej skasować bilet jednorazowy, który przecież mniej kosztuje niż koszty manipulacyjne, a także podwyższona opłata za jazdę bez ważnego biletu wynosząca 1200 zł.

Rzecznik prasowy
mgr DANUTA SALAMACHA

Do wiadomości:
1) Rzecznik Prasowy Prezydenta
2) Wydz. Gosp. Kom. i Infl. Technicznej UML.

„RADOŚĆ MŁODYCH ZGIERZAN”

Komenda Hufca ZHP im. LWP w Zgierz zwraca się z gorącą prośbą o sprostowanie i uzupełnienie podanej informacji przez autora artykułu do Mieczysława Kozaka, iż współorganizatorami Dnia Dziecka na Osiedlu 650-lecia w Zgierz był Spółdzielczy Dom Kultury „SEM” oraz TKKF „Zgierzanka” i Rada Osiedla 650-lecia, która ufundowała większość słodkich nagród konkursowych. Jest rzeczą oczywistą, iż tylko przy ścisłej współpracy z fachowcami w dziedzinie kultury i sportu całodzienna zabawa mogła przyciągnąć tak dużą i rozbudowaną formę festynu dla młodych obywateli Zgierza.

Brak w artykule współorganizatorów festynu, którzy razem z instruktorami Komendy Hufca Zgierz-Miasto na wiele dni przed zabawą przygotowywali szczegółowo całą imprezę poświęcając swój wolny czas. Nie chcąc stracić wypróbowanych przyjaciół prosimy o wydrukowanie tak ważnego dla nas sprostowania.

Z hucarskim pozdrowieniem
„CZUWAJ”

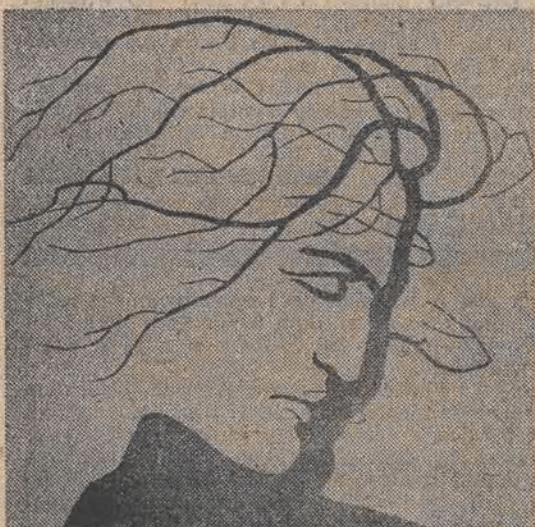
Zgierz, 1987.08.10.

hm DANUTA KŁYS

Samobójstwo przed siedzibą milicji

17 lutego 1987 r. pierwszy sekretarz Związku Pisarzy Moldawii Paweł Bocu stanął przed siedzibą milicji w Kiszyniowie, ruchem ręki wywołał kilku milicjantów, a następnie strzelił sobie w usta. Ten tragiczny czyn wstrząsnął społeczeństwem. Od razu też zaczęto snuć domysły, co było powodem, że ten, zdawałoby się „silny człowiek”, targnął się na swoje życie. Jedni więc zaczęli twierdzić, że przez dziesięć lat kierując organizacją pisarską dopuścił się nadużyć i teraz, kiedy zjawiała się „pierestrojka”, strzałem postawił kropkę na końcu własnych nieprawości. Natomiast inni lansowali pogląd, iż cała sprawa ma posmak kryminalny.

Pytałem o to pisarzy z Kiszyniowa. Ich wersja tego wstrząsającego czynu jest jeszcze inna. Paweł Bocu od lat kierował organizacją pisarską i co tu dużo mówić, musiał wykonywać polecenia przychodzące z Moskwy. Za jego kadencji zmuszono największego współczesnego prozaika i dramaturga moldawskiego Iona Druță do opuszczenia Kiszyniowa i Moldawii. Teraz, kiedy powiało odnową, Paweł Bocu zaprzęgnął „oczyszczyć się”. Pojechał do Moskwy, aby tam uzyskać potwierdzenie, że nie działał na



własną rękę, że wykonywał jedynie dyktando. Ale tam go nie przyjęli, czy też takiego „rozgrzeszenia” nie dano. Wrócił, a jako człowiek uczciwy, nie mógł żyć ze świadomością, iż był tym kim był, że współtworzył przeszłość, która nie przysporzyła chwały narodowej kulturze Moldawii, i która zaciążyła nad literatami i ich dziełami. A że zastrzelili się przed siedzibą milicji? Gdyby uczynił to gdzie indziej, ileż byłoby przesłuchań, dochodzeń, szukania domniemyanych sprawców itp.

Oczywiście, że nie jeden Paweł Bocu w Związku Pisarzy Moldawii sprawował swój urząd. Było wiadomo, że skoro się ktoś już dostał na piedestał, to zazwyczaj opuszczał go wraz ze śmiercią. Bwem w ZSRR pracownicy zarządów związku pisarzy czy to zarządu głównego, czy republikańskich, są na etatach i do tego wcale dobrze płatnych.

Nie wiem jak długo spałem. Obudziłem się w małym, wymalowanym na jasno pokoiu. Między łózkami a regalem stały moje bagaże. Z łazienki dochodził plusk wody i jakieś pomrukiwania. Drugie łóżko było rozgrzebane. Powoli wracałem do rzeczywistości.

Lot do Belgradu. Jazdy w nieznanym. Poszukiwanie Uniwersytetu i spotkanie z Zoranem.

Otworzyły się drzwi od łazienki. Mężczyzna zachwiał się, jakby miał runąć na podłogę. Nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, wykrzyknął:

— Co tu robisz, kim jesteś, jak się tu dostałeś? Nie widzisz, że pokój zajęty? Ja tu mieszkam!

Grzecznie odpowiedziałem, że przyjechałem z Polski, mam stypendium, że mnie tu zakwaterowano, i bardzo mi miło nazywam się...

Nade mną stało potężne chłopisko, wosate, zwaliste o groźne polyskujących ciemnych oczach. Jechało od niego woda. Wykrzykiwał na tych z portierni. Słuchałem w milczeniu. Narastał we mnie gniew. I kiedy awanturowały się waszacz rzucił jakąś polsko-serbską mieszanką, spokojnie, jak tylko mogłem, podniosłem się oświadczać:

— Jeszcze jedno słowo, a wywalę cię za drzwi!

Podziękował. Szybko natarłem z pytaniami.

— Skąd jesteś, po co tu przyjechałeś, jak długo tu siedzisz, ile ci jeszcze zostało?

Okazało się, że jest historykiem na stypendium.

Na portierni zapytałem, jak dojechać do rektoratu Uniwersytetu.

Poszedłem we wskazanym kierunku, znalazłem trolejbus nr 28. Bilet kupiłem u konduktora za jedynę 190 dinarów! Prawie pół dolara, przeliczyłem w pamięci, porównując cenę biletu z bankowym kursem zielonych. Jazda, trwająca około czterdziestu minut, była koszmarem. Niesamowity dźwięk, zaduch spocnych ciał, harmider i brud. Do tego dwukrotnie wsiadali kontrolerzy biletów.

ŻYCZLIWOŚĆ I... BIUROKRACJA

Nareszcie wysiadłem, a właściwie zostałem wypchnięty przez grupę młodych ludzi, hałaśliwych, cudacznie — jak na mój gust — pouberanych. Prawie wszyscy żuli gumę, robiąc nieustannie baloniki i młaskając przy tym, co najodporniejszych mogło przyprowadzić do odruchu wykrztuśny.

Budynki wokół przypominały mi fragmenty łódzkiej ulicy Narutowicza od Kilińskiego do placu Dąbrowskiego. W parku na lawkach siedzieli starsi panowie, młodzi chłopcy bez skrępowania obściskiwali i całowali dziewczyny. Hałas ruchu ulicznego i śwad spalin były niesamowite.

Z pomocą portierki, sympatycznej blondynki w średnim wieku bez trudu odnalazłem pokój towarzysza Zorana. Przywitał mnie, jak byśmy się znali od bardzo dawna. Wypytał o wszystko od momentu naszego wczorajszego rozstania. Zapytał czego chcę się napić? Poprosiłem o kawę i wodę mineralną. Zoran jednak dalej pytał: — Koniak, winiak, rakija a może wino?

— W pracy alkohol? — zapytałem zdziwiony.

Po wypiciu kawy poszliśmy do działu współpracy międzynarodowej. Na wstępie nasłuchiwałem się wielu komplementów o Polakach i Polsce, która szef tego działu znał niestety tylko z opowiadań i literatury. Wybiera się do Polski, jak tylko finanse i zdrowie pozwola.

W Moldawii, po śmierci Pawła Bocu, pisarzy, których jest 191, postanowili, że skoro jest „pierestrojka”, to u nich także musi ona być, gdyż dotychczasowa działalność stawała się nie do wytrzymania. I zwołali zebranie w trybie pilnym. Przez kilka godzin rozliczali swój zarząd, a potem w tajnych, demokratycznych wyborach — jak wyraził się jeden z pisarzy — wyrwali z foteli owych starych działaczy, którzy już na dobre zapuścili korzenie w oczekiwaniu, kiedy zaliczą ich do klasyków. Ponoć było to najbardziej burzliwe zebranie, jakie kiedykolwiek odbyło się w Domu Pisarzy MSSR. Stara gwardia poszła w „odstawkę”. Jednocześnie na stanowisko pierwszego sekretarza organizacji pisarskiej wybrano właśnie człowieka ze starej ekipy, Iona Czobanu, który cieszył się widać autentycznym mirem. Pozostali — są nowi i młodzi. Rehabilitując się przed Ionom Druță, wybrano go dożywotnio honorowym pierwszym sekretarzem Związku Pisarzy Moldawii. Jako ciekawostkę przytoczę następujący fakt: najsłynniejsza powieść Iona Druță „Biała cerkiew” po raz pierwszy wyszła w Moskwie po rosyjsku, i nie ukazała się w Moldawii po moldawsku.

Pęknięcia w domu pisarzy

31 sierpnia 1986 roku, tuż po północy, Moldawie nawiedziło trzęsienie ziemi. Trwało zaledwie 30 sekund, i jak później podano, miało siłę 9 st. w dziesięciostopniowej skali Richtera. Kiszyniów już spał, kiedy nad miasto nadciągnęły czarne, nie widziane tu przedtem chmury i spadł ulewny deszcz. Błyskawice były tak częste i jaskrawe, iż zdawało się, że płonie niebo. A potem rozległ się potworny huk, zadziłała ziemia, w mieszkaniach zaczęły spadać radia, telewizory, wazony, przewracały szafy. Wstrząsy wyrzucały ludzi z łóżek. Georgij Budianu, pracownik etatowy Związku Pisarzy, rzucił się ku drzwiom pociągając za sobą żonę i dziecko, ale drzwi zaklinowały się, ściana osiadła zupełnie nisko, z sufitu posypały się cegły. Ale framugi wytrzymały i rodzinna Budianu została uratowana.

Teraz, prawie po roku, można oglądać pęknięcia w jędrniach, chodnikach, na budynkach. Dom Pisarzy także popekał, w niektórych miejscach ściany jakby się rozsunięły. Titus Szirbu, pokazując mi je, powiada, że on zawsze twierdził, iż w literaturze moldawskiej są pęknięcia!

Moje spotkanie z władzami Związku Pisarzy było rutynowe i protokolarne. Nie zamierzam przeżyć go relacjonować. Natomiast warto parę zdań poświęcić samemu Domowi Pisarzy (dla wzbudzenia zawisłej literatury w Polsce). Otóż w Moldawii jest 191 pisarzy, 36 pisze po rosyjsku, 1 w jidisz, 3 po gagaunku (mniejszość narodowa zamieszkująca południowe rejony Moldawii), 4 po bułgarsku, reszta po moldawsku. Wracam jednak do opisu Domu Pisarzy.

W budynku, raczej w gmachu, znajduje się stołówka, ogromna sala widowiskowa, księgarnia oraz... muzeum literatury! Jest to pieczołowicie urządzona wielka sala wystawiennicza, w której zgromadzone wszystkie, co dotyczy literatury moldawskiej. Od najdawniejszych wzmianek (są też w języku polskim) po dzień dzisiejszy. Z ogromnym pietetnym wyeksponowano

klasykę: K. Stomadi, A. Donicz, K. Negruci, A. Russo, B. Aleksandrii, M. Eminescu i in. Sporo miejsca przeznaczono dla współczesnie żyjących pisarzy. Każdy z nich ma tu swój kącik: większy lub mniejszy, w zależności od dorobku twórczego. Na wielkich tablicach od sufitu do podłogi obok portretu pisarza umieszczono jego książki, a jeśli otrzymał nagrodę — jest specjalny dopisek. W tym muzeum można spędzić — nie mówię tego z ironią — parę godzin wcale się nie nudząc.

Natomiast nie wiem, jak odnieść się do klasyki literatury moldawskiej Michaja Eminescu. Moje wątpliwości rodzą się z faktu, że jest on także narodowym klasykiem rumuńskim. W dobrze napisanej książce przez George Calinescu pt. „Poeta miłości”, znajduje się uwaga, że tak naprawdę to do dziś nie wiadomo jakiej narodowości był największy poeta urodzony w Botoszaniech. W ciągu minionych lat uchodził kolejno za Turka, Persa, Albańczyka, Rosjanina, Rusina, Bułgara, Serba, Polaka, Szweda i Ormianina! Kult Michaja Eminescu w Moldawii jest naprawdę wielki. Jego popiersie stoi w Alei Klasyków w parku im. Aleksandra Puszkina, jego imieniem nazwano teatr, księgarnię, ulicę, źródło w pobliżu wsi Rechja, jego książki są wydawane w setkach tysięcy egzemplarzy, do jego wierszy napisano muzykę...

A wracając do Domu Pisarzy, myślę, że pęknięcia są jedynie na ścianach, po owym trzęsieniu ziemi.

Po pierwsze: poeta

Najpierw zobaczmy męskie stopy w skarpetkach. Resztę ciała zasłaniała ściana. W pierwszej chwili pomyślałem, że ten człowiek umarł i za chwilę wywiozą go na wózek z pokoju nr 17 na VI piętrze Republikańskiego Szpitala Klinicznego w Kiszyniowie.

Chciałbym widzieć się z Grigorem Vieru — mówię do pielęgnarki siedzącej na korytarzu.

— Sala 17 — odpowiada nie podnosząc głowy. Spieję, bez przekonania otwieram drzwi mając przed oczami ciągle te same stopy w niebieskich skarpetkach w drobne prążki.

Na łóżku leży mężczyzna o wysokim czole i czarnych włosach. Do lewej ręki ma podciągniętą kropiówkę. Prawą wyciąga na powitanie.

W taki sposób odbyło się moje pierwsze spotkanie z największym współczesnym poetą Moldawii Grigorem Vieru. Zanim przyszedłem do kliniki wiedziałem, że jest autorem ponad dwudziestu książek, że komponuje melodie do własnych wierszy, że ułożył dla pierwszoklasistów elementarny „Abecedar” wierszami ze Spiridonem Wangeli, że dla sześcioklasistów ułożył podręcznik do nauki „Albunia” (Pszczółka) z ilustracjami Liki Sainczuk, że ma 52 lata, i że pochodzi ze wsi Pieferyta w północnej części Moldawii. Teraz dowiedziałem się, że jest poważnie chory.

Rozmowa jest ogólnikowa. Nagle Vieru mówi:

— Zapraszam do siebie do domu. Powiedzmy jutro o szóstej.

— Jutro pan wychodzi?

— O, nie, poleżę tu długo. Ale na jutro wzmę przepustkę.

— Można tak?

— Jeśli nie ma się żadnych zabiegów, można iść do domu. Nikt nie powinien na dłuższą odrywać się od normalnego życia. Tym bardziej pisarz.

Nazajutrz o szóstej siedziemy w gościnnym domu Vieru. Mieszkania moldawskie noszą ślady kultury wschodniej, tureckiej, co charakteryzuje się zamilowaniem do dywanów: są na podłogach, pokrywają ściany...

Proszę Vieru, aby przeczytał mi jakiś swój wiersz po moldawsku. Chcę posłuchać melodii języka, który brzmi najpełniej właśnie w poezji. Trochę się opiera, a potem deklamuje, wszyscy obecni są zaszukanii, czuje się, iż widzą obrazy i przeżywają zdarzenia, o których opowiada cichym głosem poeta. A ja, choć nie znam treści wierszy, rozkoszuję się muzyką słów układających się w swoistą, ciepłą melodię.

— Nasza poezja i literatura — mówi Grigori Vieru — ma swoje źródło w narodzie, w jego folklorze, który mimo przeciwności losu, zachował się tak dobrze.

— Mówi pan tak, bo urodził się pan na wsł...

— Wszyscy nasi najwięksi współcześni pisarze przyszli ze wsł. Tam są nasze korzenie, mocne korzenie.

— Dobrze — mówię. — A nie boicie się, że folklor, od którego nie możecie się oderwać, może spowodować, że zostaniecie z tyłu prądów awangardowych? Przecież czytacie to, co ukazuje się na Zachodzie Europy...

— Nie boimy się. Folklor — to treści naszych utworów, a forma jest jak najbardziej modern...

Pytam, czy zna polskich poetów, i którzy z nich są mu najbliżsi.

— O, tak — usmiecha się. — Uważam, że Tadeusz Różewicz i Zbigniew Herbert są godni Nagrody Nobla.

— Polski poeta otrzymał nie tak dawno to wyróżnienie — mówię. — To Czesław Miłosz.

— Wiem, wiem, ale jego poezja nie fascynuje mnie tak jak tych dwóch.

Długo jeszcze trwa dyskusja o kulturze, o tradycjach, o przeszłości moldawskiej literatury, szczególnie teraz, kiedy zjawiała się „pierestrojka”.

Wychodzimy późną nocą. Grigori Vieru prowadząc mnie do trolejbusu mówi o trudnych latach minionych, kiedy niszczone wszystko, co stanowiło świętość narodową Moldawii: język, kultura, historia. A przez fakt wprowadzenia nowego alfabatu — cyrylicy — odcięto ich na zawsze od korzeni. Dlatego — mówi — w pewnym momencie porzucił twórczość dla dorosłych i zaczął pisać dla dzieci: podręczniki, śpiewniki. Bwem trzeba było wszystkiemu uczyć od podstaw, od początku. Dzieci dorosną, a tego, czego się nauczyły już nie zapomną.

— Jak to się stało — pytam — że mimo wszystko przetrwaliście?

— Bo żyły nasze pieśni ludowe, nasze stare tańce. U nas ludzie chętniej tańczą i śpiewają swoje pieśni niżli rock, blues itp. „Pierestrojka” powoli przychodzi do Moldawii, ale przychodzi. Zrobiliśmy rewolucję w Związku Pisarzy, teraz kolej na tv, film, ministerstwo kultury. „Pierestrojka” to nie tylko odejście jednych ludzi, a przyjsie innych, to przebudowa świadomości...

Gracym niechym piec trolejbus uwozi mnie przez duszną noc w stronę hotelu „Inturist”.

EUGENIUSZ IWANICKI

Niemiec? To od razu widać. Chyba pierwszy raz w Jugosławii i dlatego nie wie pan, że my ciągle liczymy po staremu te nasze ukołchane dinary. Zresztą nie ma co się uczyć nowego systemu, bo jeszcze trochę, a znowu liczyć będziemy na tysiące i miliony. Taka u nas inflacja.

Zostało mi około stu dinarów! Za co ja wrócę do akademika? Pytam więc kioskarkę, czy są pojedyncze bilety na tramwaje, autobusy i trolejbusy?

— Są owszem, ale po co kupować pojedyncze. Bardziej opłaca się się sześcioprzjazdowe, są o połowę tańsze. Na tramwaj i trolejbus po 270, a na autobus po 310 dinarów. Co podać?

KOMBATANCI

Udałem się do parku. Znalazłem wolne miejsce na jednej z ławek. Przysiadłem się do rozprawiających starszych jegomościów. Kilku z nich miało na sobie ubrania wojakowskiego kroju. Na piersiach niektórych błyszczały liczne miniaturki odznaki.

Rozłożyłem plan miasta. Chciałem się zorientować w terenie, jak to uczono mnie kiedyś w studium wojskowym.

— Widać, że szkolony wojskowo — powiedział jeden z kombatanów. Pozostali natychmiast zarzucili mnie pytaniami:

— Co chce znaleźć na planie? Czy wiem, jak dojechać? Skąd jestem?

Jeden przez drugiego zaczęli objaśniać i wskazywać, gdzie co się znajduje. Plan miasta wędrował z rąk do rąk.

Ciekawo faceli — pomyślałem — warto ich chyba podpytać o niektóre sprawy. Ale nim zadałem im jakieś pytanie, oni sami zaspali mnie gradem najprzeróżniejszych informacji o dzisiejszej Jugosławii i jej przeszłości, zwłaszcza tej wojennej. Nigdy nie znalazłbym tego w książkach. Swą opowieść snuli ludzie, którzy — co zaraz się okazało — sami wnieśli do historii tego kraju znaczący wkład. Cała czwórka, do której przysiadłem się, to ludzie o burzliwej przeszłości i wielkich zasługach bojowych. Każdy z nich w czasie wojny, od kwietnia 1941 r. do chwili wyzwolenia, był aktywnym uczestnikiem ruchu oporu. Wszyscy działali na ważnych stanowiskach, w samym centrum walki z hitlerowskim okupantem. Sami zaproponowali mi spotkanie, bo chcieli „od Polaka” dowiedzieć się, jak jest naprawdę w Polsce. Umówiliśmy się w pobliskiej kawiarni „U Matića” w najbliższy piątek o godzinie 16.

Wróciłem do akademika. W portierni siedzieli jacyś młodzieńcy. Jeden z nich powitał mnie z uśmiechem.

— Dobry wieczór! Da li vam nesto potrebno? Jestem tu portierem, studiuję medycynę. Po studiach pojedę do Polski na staż do kliniki pediatrycznej. Proszę zostawić paszport, jutro zaniósł go do uprząży, żeby pana zameldował. Z rana sam wejdę do urzędnika, muszę pozatłukać wszystkie formalności.

— Dziękuję za fatygę — powiedziałem. — Dobranoc.

Mój współlokator czekał z przygotowaną kolacją. Aż mnie zatkało, kiedy ogarnąłem wzrokiem biurko obficie zastawione różnymi przysmakami. Usłyszałem klaskanie korka gwałtownie wyciągniętego z szklki butelki. Złocisto-czerwony płyn lekko się spieniał. Stuknęliśmy się szklankami.

— Za szczęśliwy, miły i owocny pobyt na obczyźnie!



Zwycięstwo, które nie cieszyło

ze str. 1

kazały zachodzące zmiany w mózgu, w wyniku jego niedotlenienia, mające wpływ również na przynajmniej okresową utratę pamięci.

W roku 1984 przeprowadził na sobie ciekawy acz niebezpieczny eksperyment medyczny, podczas próby wejścia na Mount Everest. Mianowicie u podnóża góry pobrał sobie 0,5 litra krwi, którą zakonserwował i wyniósł ze sobą do górnych obozów. W tym czasie organizm nadrobił jej ubytek. Gdy przyszło do ataku szczytowego, przetoczył sobie przechowywaną krew, zwiększając tym samym ilość czerwonych ciałek w krwioobiegu. Eksperyment o mało co nie zakończył się tragicznie. Współtowarzysze z wielkim trudem wyciągnęli go ze stanu zapaści, spowodowanej zatruciem organizmu.

Marcel Rüedi jest masywnie zbudowany i bardzo prostoduszny. Z zawodu jest rzeźnikiem, prowadzi duży zakład masarski. Któregoś dnia opowiadał sobie sny. Przypadał, że śnił, iż zawiódł go komputer odmierzający grubość i długość kiełbasek. Maszyna produkowała bez wycucia długie i krótkie, grube i cienkie kiełbaski, co eliminowało jego wyroby z konkurencji.

Ten przykry sen zmobilizował do natychmiastowego wyjścia w góry kilku partnerów. Wyjście na wysokość 7000 m (gdzie od 7600 m zaczyna się „strefa śmierci”), bez należytej aklimatyzacji, skończyło się dla Osfalda Oetza obrzękiem płuc i to wyeliminowało go z dalszej działalności. Marcel Rüedi i Krzysztof Wielicki — który towarzyszył obu Szwajcarom, zeszedł do bazy bez uszczerbku na zdrowiu.

Ponad naszą bazą, na spierzchniętym morenie, rozłożyli bazę pełną Sierpów (tragarzy wysokogórskich) oraz filmowców. Ich liderem był Reinhold Messner.

NAZWANO GO BOGIEM GÓR

Dla nas — ludzi gór — Reinhold Messner dopóty był wielki, dopóki był twórcą postępu w działalności alpejskiej i himalajskiej. Był wzorem. Teraz jego wejście na Makalu i Lhotse nie były już w jego wielkim stylu. Przeto patrzyliśmy na jego działalność mocno zawiązanymi i zdeglustowanymi. Reinhold Messner zdaje się być już zmęczony i chciałby zaszyść się w swym zamczysku, górującym nad rozległą doliną, gdzie pasą się specjalnie sprowadzone z Nepalu, jakże ulubione przez niego jaki. Ale ludzie domagają się nowych sukcesów, nowych sensacji. A cóż wielkie, szokujące i odkrywcze można jeszcze zrobić w Himalajach? Odpowiedź była jednoznaczna: być pierwszym na wszystkich czterech ośmiotysięcznych szczytach świata.

Jerzy Kukuczka, który jako pierwszy wszedł na wszystkie pięć „wysokich ośmiotysięczników”, miał na koncie o jeden szczyt mniej od Reinholda Messnera. Za Jerzym Kukuczką pisało się na liście Marcel Rüedi, a dalej inny Szwajcar Loretan.

I oto podczas zejścia z przełęczy Makalu La Reinhold Messner ujrzał swego konkurenta Marcela Rüediego. Wpadł we wściekłość. Marcel Rüedi — potężne chłopisko, czyniące wrażenie flegmatyka, uspokoił go!

— Ależ ja dla ciebie nie jestem konkurentem, ja jestem rzeźnikiem.

Na to obruszony Reinhold Messner:

— Ja też jestem profesjonalcem, piszę książki i realizuję filmy.

Po zejściu Krzysztofa Wielickiego i Marcela Rüediego do bazy przedyskutowaliśmy możliwość dalszego wspinania się „drogą Kukuczki”. Ale tam groziły lawiny. Zdecydowaliśmy więc przenieść namioty dwóch obozów na dłuższą, lecz bezpieczniejszą „drogę francuską”.

Do starego obozu pierwszego wyruszyłem z kolegą po południu. Z początku enigmatyczna ścieżka prowadziła kamienistą moreną zrazu ostro wznoszącą się, to opadającą w stronę lodowca. Starannie wyszukujemy w tym olbrzymim zwałisku skalnym najbardziej bezpieczne przejścia. Ostre krawędzie skalne, świadczące o ciągłym ruchu całego gruzowiska, niszczą nasze wysokogórskie obuwie. Jesteśmy na lodowcu, który całkowicie przysypany jest wielkimi zwałami złomu skalnego.

Olbrzymie masy, lodu, spływające z wielkich pól firmowych spod Makalu, tu na progu skalnym pękają, tworząc fantastyczne formy plastyczne. Dalej lodowiec się rozplaszcza. Jego nieskazitelna biel oślepia nawet przy bardzo silnym zaciemnieniu okularach. Mało zauważalne są wtedy podłożne wklęsłości, które świadczą, że w miejscu tym jest szczelina zdradziecko przysypana nawianym śniegiem.

Wiążemy się liną asekuracyjną i z dużą czujnością podążamy w kierunku widocznych namiotów obozu pierwszego. Wysokość 6000 m, daje się we znaki. Zrucamy plecaki, zdejmujemy raki oraz zewnętrzne skorupy butów i wczłgujemy się przez rekaw wejściowy do namiotu, gdzie przyjaźnie czekają pękate śpiwory. Przede wszystkim należy zaspokoić pragnienie.

Rozpalamy „bleueta”. Trzymając w garści garnek nad palnikiem, topimy zgnięte sprężone powietrze zamarzniętego śniegu. Gdy dostateczna ilość wody jest już w naczyniu, zasypujemy ją chemiczną mieszturą, zapewniającą odpowiednią ilość węglowodanów, witamin i mikroelementów. Jeden, drugi, trzeci gar-

nek gorącego picia wyrównuje poziom płynów w organizmie. Można teraz przystąpić do jedzenia.

Zupa, kluski, puszką mięsna, razem wymieszane dadzą się jeszcze zjeść na tej wysokości. Wreszcie syci zaciągamy zamek w rodzimej produkcji puchowych śpiworach i zasypiamy śniąc o wielkiej formie i jeszcze większym szczęściu umożliwiającym wejście na najwyższe góry świata.

Ranek ponownie zaczyna się od dwóch godzin gotowania, stanowiącego najdłuższą czynność obozową. Z ubieraniem się nie ma problemu, gdyż z wyjątkiem zewnętrznych butów i rękawic, cały wieloraki strój mamy na sobie.

Rozpoczynamy likwidację obozu. Po godzinie plecaki pełne sprzętu i żywności, znajdują się na naszych grzbietach. Wyglądamy jak juczne zwierzęta, obłożeni plecakami, workami i workami, ciężar których wtłacza nas w puszysty śnieg, zalegający pole firmowe lodowca. Szczęśliwie nasza marszruta prowadzi w linii jego spadku. Do skalnego ograniczenia dochodzimy mocno zziębnięci, lecz tu oczekują na nas koledzy, ujmując nam nieco ciężaru z pleców.

W drodze do nowego obozu podchodzimy zrazu krawędzi lodowca a następnie usypującym się strumieniem kamienno-piargowym. Nie można tu złapać rytmu marszu. Co chwila ustawiona na szturze stopa obsuwa się, powodując kołatanie serca i przyspieszenie oddechu. Co kilka kroków wyczuwając stabilniejszy stopień, serwujemy sobie odpocznika. Serce uspakaja się, oddech wraca do normy. Można iść dalej. Lecz po kilku krokach znów odpocznik...

PRZED NAMI PRÓG SKALNY.

ponad którym lodowiec wypiętrza się ścianą seraków. Lawirując pomiędzy szczelinami, coraz wyżej wypiętrzających się zwalów lodu, docieramy do namiotów obozu Reinholda Messnera na wysokości 6000 m. Za obozem lodowiec gwałtownie strąca się przechodząc w szeroki, lawinisty couloir, schodzący z pół śnieżnych spod Makalu La.

Zabieramy się do ciężkiej pracy, przygotowania śnieżnolodowego podłoża pod namioty. Każdy gwałtowny ruch przy pracy, każde pochylenie to stres dla układu krążeniowo-oddechowego. Pracę więc wykonujemy jakby w zwolnionym tempie, niczym przysłówowi pracownicy platni miesięczni.

Przed nami nocleg na dużej wysokości. Jest to kolejny gwałt zadany organizmowi, który zszokowany zaczyna produkować większą ilość czerwonych ciałek krwi. Zarządzamy dwudniowy odpocznik, aby organizmy mogły się przyzwyczaić do nowych warunków.

Natomiast Marcel Rüedi i Krzysztof Wielicki, nie czekając na założenie pozostałych obozów, wyruszyli z bazy, z zamiarem zaatakowania szczytu.

Zachodnia ściana Makalu sprawia wrażenie, jakby od wielu dni patrzyła na nas, krzającą się u jej podnóża, swymi wielkimi oczodolami skalnych nisz, z dna których wsiąkają lodowcy śląd niepokojące skry.

SMIERĆ POD SZCZYTEM MAKALU

25 września 1986 r. szczególnie trupi wygląd przybrało Makalu. Wokół białe chmury. Pada śnieg. Chwilami spoza chmur pojawia się słońce.

Byliśmy akurat w obozie Ib, gdy dotarł do nas sygnał radiowy.

— Jedynka, jedynka zgłosił się... od Messnera mamy informację, że Wielicki był na szczycie wczoraj, jednak z Rüedim nie spotkali się w obozie III.

Po kilku godzinach kolejna informacja.

— Sierpowie Messnera zgubił, w wczesnych godzinach rannych, koło namiotu na wysokości około 8000 m idącą postać, prawdopodobnie Rüediego.

Wyruszyliśmy na przełęcz Makalu La, mając nadzieję, że tam będziemy mogli gratulować wejścia na szczyt naszej dwójce: Krzysztofowi Wielickiemu i Marcelowi Rüediemu. Szukanie sprzętu, pozostawionego przez poprzedzających nas zespół, na wielkim, stromym, lodowym stoku, zajęło nam kilka godzin i zabrało wiele energii. Musieliśmy wrócić do obozu, gdzie otrzymaliśmy kolejną informację radiową.

— Sierpowie widzieli Rüediego siedzącego nieruchomo poniżej namiotu obozu III.

Mobilizujemy wszystkich członków wyprawy oraz czynimy starania o wypożyczenie Sierpów od wyprawy francuskiej. Około godziny 17 otrzymaliśmy informację od Reinholda Messnera o śmierci Marcela Rüediego. Ten potężny mężczyzna pokonany został przez siły przyrody. Jeszcze raz potwierdziło się, że czas przebywania w strefie śmierci biologicznej (powyżej 7600 m), trzeba zmniejszyć do minimum. Znacznie wolniejszy od swego partnera, nie zdołał dostatecznie szybko zejść po wejściu na swój dziesiąty ośmiotysięczny szczyt.

Minęli się. Krzysztof Wielicki schodził ze szczytu, gdy Marcelowi Rüediemu pozostało jeszcze około 100 m do wierzchołka Makalu. Dzień się kończył i siły również. Wysokość 8400 m. Powietrze tak mało. Serce łomocze się w bezsilności. Marcel Rüedi sięga chyba po pastylki wzmacniające, a zarazem wyciągające z organizmu resztki energii.

Można sobie wyobrazić, że

TAK SIĘ TO ODBYŁO.

Błędnie rozgląda się dookoła. W dole morze chmur a ponad nim słońce, zachodzące za potężne szczyty himalajskie. Gwałtownie robi się zimno. Podświadomie zwraca się w kierunku śladów pozostawionych na stromym, śnieżno-lodowym stoku podszczytowym i schodzi, podpierając się kijkami narciarskimi. Himalajski wiatr, coraz bardziej przenikliwy i zimny, przewiewa jego wysokogórski ubiór. Temperatura — poniżej 30 stopni. Ruchy coraz wolniejsze. Ciało coraz bezwładniejsze. Raz po raz obsuwa się, lecz za każdym razem w jakimś nadludzkiem wysiłku wyhamowywał spadek. Kolejna pastylka, to wyzwolenie dalszej części energii.

Całą noc musiało trwać dobiegnięcie do obozu III. Całą noc musiała trwać walka ze zmęczeniem i znużeniem. Jako doświadczony himalaista wiedział, że zaśnięcie równa się śmierci. Wyróżne ślady stóp partnera wyznaczały mu drogę do życia.

Nastął dzień, który pomimo totalnego zmęczenia, zaszczerpił nowe nadzieje. Krok po kroku schodził w dół, obsuwając się, to waląc się bezwładnie w śnieg. Kierowany podświadomością, zdążył do widocznego już namiotu obozu III, gdzie czekał odpocznik, powinien być partner i opieka. Lecz widzi, że ktoś wychodzi z namiotu. Serce resztki swych sił intensywniej uderza. Głos grzęźnie w gardle i brakuje sił na szybszą reakcję fizyczną. Postać sprzed namiotu chwytając kijki i czekając — schodzi w dół. Jęcząc z rozpaczy Marcel Rüedi podrywa się, lecz po kilku krokach pada.

Po dwóch godzinach od opuszczenia przez Krzysztofa Wielickiego namiotu, Marcel Rüedi dociera do obozu. Przeraza go bezkres bieli i samotność. Nie wszedł do namiotu. Dążył do ludzi. Na przełęcz w ciągłej gotowości był ludny obóz Reinholda Messnera. Może tam będzie na niego czekał Krzysztof. Lecz sił coraz mniej. Jeden, drugi... dziesiąty krok po świeżych jeszcze śladach i pada.

Za grani wychyliło się słońce i gorącymi promieniami oblało całą jego postać. Niedotleniony umysł już nie pracuje, tylko instynkt nakazuje podążyć w kierunku przełęczy. Marcel Rüedi zawsze liczył na siebie, wierzył w wielką wydolność swego organizmu. Przecież ten potężny organizm pozwolił wyjść mu zwycięsko z niejednej opresji.

Trzeba odpocząć chwilę, minutę. Siada na śniegu, 80 metrów za namiotem. Cóż za ulga.

W BAZIE ZAPANOWAŁ PONURY NASTRÓJ.

Nie cieszył nas sukces Krzysztofa Wielickiego. Była to śmierć niepotrzebna.

Już później wielokrotnie zadawał pytanie, które być może i zada sobie Czytelnik: czy Krzysztof Wielicki mógł postąpić inaczej?

Otóż w górach — o czym Czytelnicy „Odgłosów” mogą nie wiedzieć — obowiązują inne „prawa”. Na dużych wysokościach, przy maksymalnym wysiłku i przy niskim ciśnieniu, gdy jedyną szansą przetrwania jest szybkie działanie, a każdy kilogram dodatkowego obciążenia niewspółmiernie zwiększa wysiłek, praktyczną wzajemną pomoc fizyczną jest niemożliwa. Pozostaje więc tylko świadomość, że spowolnienie ataku na szczyt winno pociągnąć za sobą przerwanie dalszej działalności.

Nie uczynił tego Marcel Rüedi i nie zszedł razem z Krzysztofem Wielickim, po jego ataku na szczyt. Wziął na siebie całe ryzyko i odpowiedzialność.

Późniejsze wyjście Krzysztofa Wielickiego z obozu III było konieczne ze względu na zagrożenie, jakie wnosili dłuższe przebywanie w „strefie śmierci”. Zszedł więc do obozu Reinholda Messnera na Makalu La, organizując tam pomoc.

Jak wielki wysiłek Krzysztof Wielicki włożył w zwycięskie wejście na Makalu, niech świadczy fakt, że po tym nastąpiło punktowe odklejenie się siatkówki na dzień galek ocznych. Co stwierdził w bazie nasz lekarz.

Ala na stokach Makalu życie toczyło się nadal. Sierpowie nosisili ładunki. Rozbijano obozy, których pierścienie coraz wyżej zacinał się wokół gardzieli szczytowej Makalu.

Następnego dnia Reinhold Messner korzystając ze śladów pozostawianych przez dwójkę: Krzysztofa Wielickiego i Marcela Rüediego wszedł na swój trzydziesty ośmiotysięcznik. Do zwycięstwa w tym szaleńczym wysiłku, pozostało mu wejście na Lhotse, które planował dokonać bezpośrednio po zejściu z Makalu. Trzy razy Reinhold próbował wejść na szczyt Makalu. Tym razem złapał szczęście w ostatniej chwili, gdyż następnego dnia zalała się pogoda.

Do naszej bazy dotarli, z kilkudniowym opóźnieniem, Austriacy. Niezwykle przynębiła ich wiadomość o śmierci ich przyjaciela, pogłębiając bolesnymi wieściami spod K-2, gdzie zginęło 12 osób, w tym trzech Austriaków i trójka Polaków. Ostatecznie Austriacy nie podjęli walki o wejście na Makalu. Wrócili do kraju. Musieliśmy przejąć cały ciężar wyprawy na swoje barki. Brakowało nam wyposażenia obozu II na Makalu La. Mobilizujemy wszystkie siły i 5 października 1986 r. objuczeni plecakami, ruszyliśmy w górę.

Za skalno-lodowym progiem skręcamy w lewo i stromym zleblem, wypełnionym głębokim śniegiem, przystając co kilka kroków dla wyrównania oddechu i uspokojenia rozkołatanego serca, wychodzimy na siodło przełęczy o twardym przewianym śniegu. Przywitał nas tu potężny wichur, dosłownie zwalający z nóg i wysysający z ust resztkę powietrza, dławiąc i dusząc. Czuję jak dąło staje się bezsilne. Szczęśliwie na chwilę wichur zezłżał, a po chwilowym stresie, serce i oddech wróciło do normy. Zza tumanu, gnanego wichrem śniegu i drobni lodu, podrywanych gdzieś z grani, dostrzegłem cień namiotu, pozostawianego tu przez Reinholda Messnera.

Po chwili odpoczynku doświadczyliśmy trudów rozstawiania wysokogórskich namiotów przy pełnym wietrze. Cóż za ulga, gdy można było wreszcie wczłgać się do jego wnętrza i wsunąć się do śpiwora.

Niestety, nastąpiło załamanie pogody — trzeba było zejść do bazy. Chmury przyniosły śnieg. Zasypano przetarte trasy oraz obozowe i bazowe namioty, niektóre z nich, łamiąc i niszcząc swym ciężarem.

ODWRÓT

Koncepcja wejścia na Makalu przez wszystkich uczestników wyprawy, nie wytrzymała próby czasu. Precyzyjny plan, wielokrotnie konsultowany i korygowany, został rozłożony przez karysy pogody. Po ostatnim jej załamaniu, gdy spadły metrowe śniegi, nastąpił okres niesiływania wietrzny. Pomimo wielokrotnych prób, nie udało się nam wyjść powyżej Makalu La. Obóz III został zniszczony przez wichry i w tych warunkach nie było możliwości jego odbudowania. Przyczajeni w niższych obozach, czekaliśmy aż do końca terminu „zezwoleń” na działalność górską. Niestety, kilometrowe pioruny podeszły pod nasze obuwie, unosząc się nad Makalu, Lhotse i Mount Everestem, uświadomiły nam całą gorzką prawdę. Kolejnego ataku szczytowego nie będzie. Nie będzie więcej wejść na szczyt uczestników naszej grupy. Czas likwidować obozy, czas likwidować bazę. Niestety, nie spełniło się również nasze pragnienie, aby dojść do obozu III i pochować Marcela Rüediego zgodnie ze zwyczajem himalajskim, wrzucając ciało do szczeliny lodowej i zapalając tradycyjną świeczkę.

WŁODZIMIERZ KORPECKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafił — podnieś
sluchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

3 września — ANDRZEJ MAKOWIECKI —

godz. 10—16

10 września — ANDRZEJ KAROLCZAK —

godz. 10—16

Przed wojną czerwony, pepeeski magistrat miasta Łodzi za-
 inicjował i w dużej mierze sfinansował budowę osiedla mieszkani-
 owego, znanego dziś pod nazwą Osiedla Montwiłła-Mireckiego.
 Jest to, rzadki w budownictwie przedwojennym, a niemal nie-
 spotykany po wojnie przykład realizowanej koncepcji urbanis-
 tycznej, nie tylko architektonicznej, pomyślnej, jako skończona
 całość Osiedla o charakterystycznej, interesującej architekturze,
 dbałość o detal, wykończenie i pewien wyraz artystyczny, stanowi
 jakby wydzielone miasteczko.

Osiedle, owszem, stoi. Jeszcze stoi. Ale też spotkał go los ha-
 niebny, choć nader częsty w naszych czasach. Następuje śmierć
 techniczna osiedla. Nie remontowane od 40 lat, sypią się balkony,
 murzeja tynki, dachy i drewniane wykończenia. Administracja,
 jak zwykle, nie chce, nie potrafi, nie umie, po co, skoro i tak
 na pierwszego swoją pensję dostanie. A frasobliwy profesor
 architektury, prowadzący tu swoich studentów, pokazując im czym
 jest i mogłaby być architektura i urbanistyka. Jak można bu-
 dować z myślą nie o wygodzie firm budowlanych i nie o „wyro-
 bieniu planu przerobu”, ale z myślą o wygodzie ludzi i ich naj-
 istotniejszych potrzebach ciała i duszy. Mieszkańcy osiedla domaga-
 ją się remontu instalacji wodnych i kanalizacyjnych, oczyszcze-
 nia strychów z wieloletnich warstw gołębiich odchodów, padłych
 ptaków i wszelkiego świństwa, z którego pewnego dnia wylegnie
 się nieszczęście. Mieszkańcy są bezsilni. Nikogo to nie obchodzi.

Apelujemy do Wydziału Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicy
 Łódź-Górna, szczególnie zaś do obywatelki Szewczyk i jej prze-
 łożonego, szefa Wydziału Spraw Lokalowych pana Kalembacha,
 by zechcieli dotrzymać ustawowych terminów odpowiadania
 petentom na ich pisma. Jedną z naszych czytelniczek wielokroć
 już skarżyła się nam, iż jej sprawa (zamiana mieszkania kwate-
 runkowego małego, na większe) utyka od lat beznadziejnie po-
 coraz to innych biurkach, doprosi się nie może o terminowe
 rozpatrzenie swych podań, co więcej, skargi składane na opie-
 szących urzędników dziwnym trafem z różnych instancji trafiają
 wciąż na te same biurka osób, na które skargi są składane.

Związek Kynologiczny, jak sama nazwa wskazuje służy do
 kompensowania różnych kompleksów istotom dwunożnym, a nie
 czworonożnym, jak się głupio i całkiem niepotrzebnie wydaje
 wielu osobom. Toteż nie jest jego celem dbanie o rasę, klasę
 i medale dla zwierzątek, ani tym bardziej zabieganie o to, by
 instruktor-trener kursu obronnego dla pincherów wciąż był trzeź-
 wy, nie on bowiem ma się na ringach popisywać kwalifikacjami
 obronnymi.

Czytelniczka zadzwoniła z pytaniem, co można zrobić Suwał-
 skiej Fabryce Mebli oraz sklepowi meblowemu w Ujeździe koło
 Tomaszowa Mazowieckiego, które sprzedają meble bez koniecz-
 nych do montażu wkrętów, śrub i innych detali. Odpowiadamy,
 Nic nie można zrobić. Fabryka ma wykonywać plan, a nie han-
 dyczyć się z klientem, który nie potrafi wbić paru gwóźdź
 w mebel za 179 tysięcy złotych.

Beznadziejnie poszukiwany jest porcelitowy dzwon do spluczki
 WC, typu niestety nie produkowanego już od dawna, lub jaki-
 kolwiek inny dzwon. Może być na trwogo. W tej sprawie czekamy
 pod numerem 36-77-70.

Jeśli ktokolwiek twierdził będzie, że brakuje roznosieli mleka,
 bo ludziom się nie chce pracować i zarabiać, odpowiadamy. Lu-
 dziom się chce. Nie chce się za to kierownikom sklepów z arty-
 kułami nabiałowymi. Bo to i kłopot z papierkami, i trzeba się do
 czegoś zobowiązywać i w ogóle coś robić. A po co. W razie po-
 trzeby dysponujemy smakowitymi przykładami na poparcie na-
 szej tezy.

MPK od 1 sierpnia pilnie baczny by motorniczowie i kierowcy
 codziennie mieli na sobie czystą koszulę mundurową. I służnie
 baczny, generał Bończak ściga brudasów. Tyle, że personel otrzy-
 muje deputat dwu sztuk wzmiarkowanych kosztów na dwa lata.
 I ani sztuki więcej. Ale za to, za brak czystej koszuli (paru face-
 tów trzeba było zatrudnić do przeprowadzania tych kontroli)
 delikwent od ręki płaci 300 złotych za dzień. Rozporządzenie
 pana dyrektora łódzkiego MPK popieramy jak najbardziej. Nie
 o to chodzi, żeby jeździły tramwaje, autobusy, w dodatku sprawne,
 czyste i punktualne. Chodzi o zasadę, że bliższa ciału koszula
 niż tramwaj.

JOLANTA WRÓNSKA



Wydawałoby się, że jest o
 placówkę stanowiącą element
 łódzkiego krajobrazu
 handlowego „od zawsze” —
 każdy z nas, łódzian, odwiedza
 ją co najmniej raz w tygodniu
 a wszyscy, którzy na krótko
 choćby zawitali do naszego
 miasta, również nie wyobrażają
 sobie, że w swoich służbowych
 czy prywatnych wędrowkach
 po Łodzi mogliby ją ominąć.
 Chodzi oczywiście o Central
 — „społemowski” dom
 handlowy, który w całym
 kraju zyskał sobie niepospolitą,
 acz zasłużoną sławę.
 Tymczasem — od chwili jego
 otwarcia minęło zaledwie 15
 lat. Dokładnie 29 sierpnia
 nastąpiło oficjalne otwarcie, a
 dzień później, 30 sierpnia
 1972 r. pierwsi klienci dokonali
 zakupów.

Od tej pory każdego dnia —
 dosłownie każdego, oprócz
 niedziel i świąt, bez żadnych
 przerw w pracy stoiska czy co
 gorsze całego sklepu,
 spowodowanych remontami,
 remanentami, urlopami i
 dziesiątkami innych przyczyn,

powodujących okresowe
 przerwy w pracy wszystkich
 innych sklepów — dziesiątki
 tysięcy klientów pozostawiają
 w kasach Centralu miliony
 złotych i wynoszą tony
 zakupionych towarów. I to
 towary atrakcyjnych, jakich
 ze świecą szukać by gdzie
 indziej, nawet w stolicy czy
 na zaopatrywany
 preferencyjnie Śląsku.

Szef Centralu — od początku
 ten sam Lech Sosnowski wraz
 z pozostałymi członkami
 kierownictwa jeszcze przed
 otwarciem placówki
 postanowili: ma to być dom
 towarowy wyróżniający się na
 tle innych wielkich i małych
 sklepów. Jak to zrobić? Nie
 było to bynajmniej łatwe, bo
 i sytuacja rynkowa była
 wówczas jakby nieco lepsza i
 w odległości niespełna
 kilometra poważna konkurencja
 — Dom Towarowy Uniwersal,
 największa wówczas placówka
 handlowa Łodzi o
 ugruntowanej już od pięciu lat,
 dobrej pozycji.

Aby załóżony cel osiągnąć
 — przyjęto trzy główne
 założenia: po pierwsze Central
 musi być lepiej zaopatrzony, w
 atrakcyjne towary, w
 asortymencie nieco innym niż
 w pozostałych placówkach, po
 drugie — trzeba wprowadzić
 tu inne metody organizacji
 pracy, po trzecie wreszcie —
 inaczej musi wyglądać
 współpraca z producentami i
 kontakty z klientami.
 Od początku — co w owych

Pożar na E-16

24 sierpnia na trasie E-16 niedaleko Piotrkowa za-
 paliło się zboże na jednej z przyczep ciągnika. W
 krótkim czasie utworzył się na drodze szybkiego ruchu
 gigantyczny obustronny korek. Straty duże. Kierowcy
 ciągników — dbajcie o sprzęt!



Foto: Grzegorz Gałusiński

czasach było jeszcze rzadkością — istniała i działała w
 Centralu komórka marketingu.
 Podjęto rozmaite działania,
 przybliżające przemysł do
 handlu, m.in. „centralowi”
 specjaliści bezpośrednio w
 zakładach pomagali wybrać
 modele, które ich zdaniem,
 najbardziej spodobały się
 klientom, błyskawicznie
 przekazywali producentom
 wiadomości, jak sprzedają się
 ich nowe produkty,
 ewentualnie proponowali
 drobne zmiany. Efekt — to w
 krótkim czasie po otwarciu
 specjalne serie odzieży dla pań
 i panów produkowane na
 wyłączność Centralu, tylko tu
 trafiające wydłużenia serii
 eksportowych, firmowe stoiska,
 dni sprzedaży czołowych
 krajowych producentów — a
 więc oferta nieco inna, niż w
 pozostałych sklepach podobnych
 branż.

Zaczęto również rozwijać
 wymianę bezdebową z
 zagranicznymi domami
 towarowymi, wzbogacając
 dzięki temu asortyment w
 towary importowane. Obecnie
 wymiana taka prowadzona jest
 stale z domami
 towarowymi z Węgier i
 Bułgarii, z placówką
 czeskosłowacką i z NRD, a
 także z firmami
 reprezentującymi rynki
 zachodnie, przede wszystkim z
 Austrii, Holandii, Belgii, RFN,
 a także z Kubą, Mongolią i
 Wietnamem.

Dzięki temu na półki
 Centralu trafiało wiele
 atrakcyjnej konfekcji, obuwi,
 dzwigni, zabawek, artykułów
 gospodarstwa
 domowego i delikatesów
 spożywczych, łącznie z dobrymi
 trunkami.

Co piąta złotówka — łącznie
 2 mld zł — jaką w ubiegłym
 roku pozostawili klienci w
 kasach Centralu przeznaczona
 była właśnie na towary
 pochodzące z wymian.

Od początku swego istnienia
 Central przekraczał wszystkie
 zakładane wskaźniki: np. w
 pierwszym roku pracy, zamiast
 zakładanego w planie obrotu
 0,5 mld wykonano ponad 748
 mln w roku ubiegłym było to
 już 12 mld, w bieżącym —
 obroty przekroczyły 13 mld.

Tzw. przepustowość,
 zakładana na 10 tys. ludzi
 dziennie, przekraczana jest od
 początku w sposób

nieprawdopodobny — obecnie
 każdego dnia przewija się
 przez Central od 100 do 150 tys.
 ludzi i zawiera się od 40 do 80
 tys. transakcji (obliczonych na
 podstawie ilości wystawionych
 paragonów). Rampa
 wydładowa, przygotowana na
 przyjęcie 12 samochodów
 dziennie, każdego dnia
 rozładowuje — 40 — a bywa że
 i więcej — zestawów
 ciężarowych.

Dziwić się należy, że przy
 takim tłoku nadal nie wala
 się stropy, działają ruchome
 schody a ekspedientki nie
 uciekają z krzykiem. A jednak
 nie uciekają — i co dziwniejsze
 — zakupy w Centralu nie są
 udręką, mimo iż niekiedy, po
 dostawie bezkartkowej
 czekolady lub węgierskich
 kosmetyków, ustawiają się
 przed stoiskami tajemniczo
 kolejkami.

Załoga Centralu mimo coraz
 większych obrotów i stale
 rosnącej liczby klientów od
 początku liczy tyle samo osób
 — 1170, w tym zaledwie 43
 osoby zatrudnione są w
 administracji.

W czasie tych 15 lat Central
 rozrósł się nieco — dożył
 bowiem 2 placówki w
 Pabianicach i sklep Duet przy
 ul. Piotrkowskiej 102. Dorobił
 się także znacznie większej
 powierzchni magazynowej
 oraz... własnego, liczącego
 około 200 osób kółka emerytów.
 Wśród pracujących obecnie
 załogi — 73 osób związanych
 jest z Centralem od początku
 jego istnienia, około 230 ma
 za sobą 10 i więcej lat pracy.

Zamierzenia na najbliższe
 lata — to budowa (na
 przeciwnym rogu al.
 Mickiewicza) Centralu — II,
 który rozpocznie działalność
 handlową w I kwartale 89 r.
 i wtedy dopiero zamykanie do
 kapitalnego remontu kolejno
 pozostałych pięter starego
 obiektu.

A na najbliższe dni — dziś
 właśnie, tj. 2 września o godz.
 13.00 na placu przed Centralem
 występy Wesołego Autobusu i
 specjalny, jubileuszowy
 kiermasz, a także, z tej samej
 okazji premiowana sprzedaż dla
 klientów. Każdy paragon o
 wartości powyżej 5 tys. zł brać
 będzie udział w losowaniu
 cennych nagród.

AGATA

ZAKŁADY USZCZELNIENI I WYROBÓW AZBESTOWYCH

„Polonit”

90-213 Łódź, ul. Rewolucji 1905 roku nr 52

Telefony:

Centrala 32-50-14

Dział Zbytu 33-13-39

Dział Techniczno-Produkcyjny 33-51-82

Telex 866773 azbe pl

Mechanicy i Zaopatrzeniowcy z przemysłu
 włókienniczego!

oferujemy:

- materiały cierne typu „Ferrodo” mające
 zastosowanie m. in. jako okładziny tarcz
 sprzęgła i hamulca;
- bezazbestowe, termoizolacyjne i niepal-
 ne włókna szklane typu „WSP” i
 „WSP-T” stosowane w temperaturze do
 450 st. C, grubość od 1,3 do 3,3 mm;
 szerokość 100 cm, zastępujące tradycy-
 jne tkaniny i włókna azbestowe oraz
 tekturę azbestową;
- uszczelki formowane ze szczeliw plecio-
 nych, stosowane w temperaturze do 400
 st. C i ciśnieniu do 4 MPa m. in. do u-
 szczelniania dławic pomp i zaworów re-
 gulacyjnych w różnych środowiskach.

Informacji o warunkach techniczno-handlo-
 wych udzielają Dział Zbytu i Dział Technicz-
 no-Produkcyjny.

1770-k

Przypominamy!

**Konkurs na całe lato trwa
 do 30 września 1987 roku**



NA KONKURS NA CAŁE LATO można przysłać nie więcej
 niż 10 zdjęć. Powinny być zrobione na wakacjach poza Łodzią.
 Powinny to być zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym
 niż 13 na 18 cm. Zdjęcia wraz z kuponem z „Odgłosów” przy-
 szlami do 30 września 1987 roku pod adresem:

„ODGŁOSY”
 ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
 90-113 ŁÓDŹ
 A oto kupon:

KUPON-KONKURSU NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko
 Dokładny adres
 Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw ... zdjęć.

Uwaga Czytelnicy!

Termin prenumeraty „Odgłosów” upływa dopiero 10
 listopada. Ale po co czekać do ostatniej chwili. Najlepiej
 już teraz, niezwłocznie zagwarantować sobie terminowe
 i niezawodne otrzymywanie każdego numeru pisma.

Czytelnikom, którzy nie mają zwyczaju prenumero-
 wać prasy, radzimy założyć specjalną teczkę w kiosku
 „Ruchu”. Jest to bardzo atrakcyjna forma kolportażu.

W nadchodzących miesiącach i przyszłym roku zamie-
 rzamy publikować — oprócz ciekawych artykułów i re-
 portaży — nową powieść Leonarda pt. „Matnia” oraz
 książkę Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex”. War-
 to więc zbierać wszystkie numery naszego tygodnika.

I.

Życie może być bardzo nudne i bardzo ciekawe. Najczęściej jednak zaczyna się nudnie. Najpierw trzeba długo chodzić do szkoły, później studiować, później zdobywać pozycję, dorabiać się i gdy już powstają materialne możliwości, aby poużywać życia, to zdrowie nie to, nie te ocy i nie te chęci. Ciekawiej mają ci, którym trafia się okazja, aby jeszcze w młodości życia poużywać. Taka okazja trafiła się Jackowi Pastusińskiemu, młodemu człowiekowi, który pochodzi ze wsi Majdan Królewski i który został trójkoszczkiem.

Utalentowany był wprawdzie do wszystkiego. „Wzwyż — opowiedział Aleksandrowi Bilikowi, a ten to opisał w „Sportowcu” — prawie bez treningu, skakałem dwa metry”. Mógł więc skakać wzwyż i pobić Jacka Wszolę. „Jako licealista doskakiwałem głową do kosza”, ale stało się inaczej, gdyż nauczyciel w w. renowanej szkole bardzo kochał trójkoskę i zmusił Jacka P. do trenowania trójkoski. Powiedział, że „jeśli nie podejmę treningu, wyrzucą mnie ze szkoły”. I stało się. Jack P. został trójkoszczkiem.

Życie miało łatwe. Był niewątpliwie utalentowanym młodzieńcem i mógł odnosić sukcesy w kilku dziedzinach sportu. Marzyło mu się wprawdzie malarstwo, ale został „skazany na sport”. Nie miał do tego nadzwyczajnej chęci. „Wybrałem drogę pośrednią — wierza się. — Trenowałem na pół gwizdka, a jednocześnie korzystałem z życia, jak umiałem”. Taka była jego filozofia.

Sport

Byle tylko nie zagłaskać!

Lubił dobre papierosy, trochę narkotyzował się, ale bez przesady, uwielbiał whisky i gin, noce spędzał w dyskotekach i tonie tylko krajowych, gdzie spotykał „wspaniałe, pełne temperamentu dziewczyny”. Często aktorki, fotomodelki”. Wracającego ze Stuttgartu celniczy przypalali na przemycie. „Zacząłem krążyć plotki, iż jestem biseksualistą” — zwierzał się dalej. W każdym razie dziewczyna, którą kochał — zerwała z nim. Były powody. To z powodu pięknych dziewczyn przyznaje, iż „bywało, że przed zawodami nie spałem prawie wcale...”. A mimo to ciągle był do bry. „Na maksymalnym kacu, po trzech godzinach snu, wygrałem zawody skacząc 17,05. Takich przypadków było więcej”.

Jack Pastusiński szybko znalazł się w życiu. Miał już wszystko, co młody chłopiec, przed 23 rokiem życia, mieć może, a nawet dużo więcej. Nie ukończył szkoły, nie rozpoczął studiów, nie miał przyszłości. Uciekł więc od takiego życia, ale trafił do wojska, do kompanii sportowej. I wszystko zaczęło się od początku. Wreszcie przyjął pomoc trenera, którego do tej pory lekceważył i zaczął solidnie pracować. Ciągłe się jednak zastanawia, czy rzeczywiście ma nadal być człowiekiem skazanym na sport. „Spokój mać mi jednak świadomość — wyznał — że aby marzyć o sukcesach, muszę zdecydować się na dobrego lekarza i dobry „koks”. Czy warto?”.

Ano, właśnie! Spowiedź Jacka P. wywołała burzę. Nie wątpię, że takie życie, jakie zaprezentował, prowadzi wielu sportowców, tylko oni... nie przyznają się do tego. Ludzie to widzą, ludzie wiedzą, ale wielu przymyka oczy. Tak zresztą, jak „wychowawcy” i „opiekunowie” Jacka P. robili to przez cały czas. Bo, gdyby tego nie robili, nie byłoby chyba tej spowiedzi. Ale całe oburzenie spadło na Jacka P., który po prostu miał odwagę przyznać się do tego, co robił. Nie przyczyniło oburzenia niektórych „pięknoduchów”, ale skutki, ich ujawnienie.

Warto przecież byłoby raczej zastanowić się, czy tak musi być? Czy sukcesy ciała muszą równać się degradacji ducha? Czy zamiast „świętego oburzenia” nie byłoby lepsze głębokie zastanowienie? Myślenie — mawiano niegdyś — ma kolosalną przyszłość. Ciągłe i nieustannie, stale i niezmiennie!

2.

Był kiedyś popularny dowcip na temat gadulstwa jednego z przywódców. — Kowalski — pyta dyrektor — czemuż to przyszedł do pracy w niewyprasowanych spodniach? — A bo bałem się włożyć żelazko. — Czemu to bał się? — Bo co nie włączyć: radio, telewizor, to słyszę naszego ukochanego wodza, jak przemawia. Może i z żelazką zacznę mówić.

Przypomniał mi się ten dowcip, gdy przeczytałam w „Trybunie Ludu” wypowiedź Leszka Jezierskiego.

— „Sam już mam siebie dość. Co włączyć: telewizor, radio, czytam gazetę, to mówię przed meczem, w trakcie, po nim. Nie wiem już kiedy znajduję czas na normalną pracę”.

Leszek Jezierskiego nazywają „Napoleonem”, „cudotwórcą”. Wystarczy sięgnąć do prasy sportowej i zobaczycie tytuły: „Panowie z LKS! Co wy wyprawiacie?” — to „Przegląd Sportowy”. „LODZ: Derby z papryką” — to katowicki „Sport”. W tej samej gazecie: „Wiad w zagłaski Leszka Jezierskiego”. I wreszcie przyszedł moment, że „nie udźwignęli ciężaru” i ponieśli pierwszą porażkę, przegrywając jedną bramką z nie najlepiej spisującym się Widzewem.

Chciałoby się w tym miejscu zakrzyknąć: „Panowie dziennikarze! Co wy wyprawiacie!!! Pamiętajcie, że to nie początek a koniec wielkiej drogi”. Dobrze, gdy początek jest dobry, ale lepiej, gdy taki sam jest i koniec. Przypomnijmy, że przed kilkoma laty o LKS pisano jako o „Rycczach wiomy”, a potem przyszło 7 kolejnych porażek.

— „Nie chcę wnikać w ich przyczyny — powiedział Leszek Jezierski w wywiadzie dla „Sztandaru Młodych” — ale należałoby ich szukać daleko poza boiskiem”.

Cieszymy się więc z sukcesów, ale pamiętajmy o... przeszłości. W trosce o przyszłość. Zresztą Leszek Jezierski jest realistą. W tymże wywiadzie dla „Sztandaru Młodych” powiedział:

— „Cud się zdarza raz, ja pracuję jako trener dwadzieścia lat i ciągle mam niezłe wyniki. Nie wierzę w cuda. Wierzę w pracę. Myślę, że mam jak trafić do ludzi, jak ich natchnąć, by zechcieli wyłać trochę potu. Ot i cała filozofia”.

Mają tego. Leszek Jezierski wie, że gra się dopiero rozpoczęła, konkurencji depczą po piętach, a kibicom mogą nadmiernie wystrząść się apetyty. Dlatego Leszek Jezierski mówi jak realista: — „Może nie tyle obawiam się, co życzę sobie, aby kibice, działacze nagle nie zaczęli stawiać zbyt dużych wymagań”.

Na co zatem możemy liczyć? — „...stać nas na zajęcie miejsca premiowanego udziałem w europejskich pucharach”.

I to mi się podoba. Wprawdzie Leszkowi Jezierskiemu daleko do dyplomacji Kazimierza Górskiego, ale realizmu mu nie brakuje. A porażka zdarzy się każdemu i to nie jeden raz.

Więc panowie! Byle tylko nie zagłaskać!

BOGDA MADEJ

NR 36 (1536); 5 WRZEŚNIA 1987 R.

1

Nagle zastępstwo

Rodzinny festiwal

Festiwalowy sezon — chwala Najwyższemu! — skończył się, jak sądzi. Trwają natomiast pofestiwalowe dyskusje. Ostatnio o Jarocinie. Nie wiem, nie byłem, impreza zresztą jest chyba dla nieco młodszych niż ja. Wypowiadać się też o niej nie będę. Natomiast ubawiły mnie mocno nazwy rockowych zespołów, cytowane z wyrażeniami zgorzeleniem tu i ówdzie.

I w tej sprawie piszę właśnie. Otóż, jeśli młodzieżowa grupa wymyśla sobie nazwę zupełnie zwariowaną, a nawet głupkowatą, to to jest w największym porządku — ba, dziwne byłoby, gdyby było inaczej. Święte i przez nikogo nie kwestionowane jest prawo młodych ludzi do zgrywy, wygłupu i draki. Wiadomo, muszą się wyszumieć. Niepokoi natomiast pojawianie się w „nazwownictwie” rockowym elementów, które nazwać można — trochę na wyrost — kryminalnymi lub „ideologicznymi”. Przy czym chodzi o elementy ideologii o najgorszej proweniencji — faszyzmu na przykład...

Przed laty wyszły jakieś zażalenie o nazwę zespołu, który koniecznie chciał się nazywać „Papa Doc”. Jakos im to wyperswadowano i bardzo dobrze. Nie wiem nawet, czy ta grupa miała coś wspólnego z bardzo dziś popularną grupą „Papa Dance”. Nieważne, nawet jeśli tak było. A swoją drogą, czemu wyobraźni widzę festiwal rockowy, na którym zgromadzą się wszystkich chętnych do używania takich prowokacyjnych nazw jak np. „Hitler's Singers”, „Franco y sous Maricanos”, „Goering Band” czy „Pinochet boys”. Można takie towarzystwo zebrać, tylko dla równowagi bilety wstępu rozprzecznić wyłącznie w VI Pomorskiej Desantowej...

Dajmy spokój ponurym fantom. Oto w Sopocie skończył się nasz najukochańszy, najwspanialszy, najbardziej snobistyczny festiwal międzynarodowy. Nie oglądałem, widocznie moje kierownictwo zapominało mnie akredytować przy telewizorze, za co składam kierownictwu serdeczne dzięki i wyrazy uznania, żeby nie powiedzieć szerszego uwielbienia. Nie mogła mnie jednak nijak ominąć cała propagandowa wrzawa, jaką wokół tej imprezy robią koledzy z RTV i niektórych gazet. Oto dowiaduję się, kilkanaście razy przynajmniej, że cokolwiek przechodzona gwiazda piosenki, artysta, niejaki Feliciano Jose (czort wi gdzie nazwisko, gdzie imię?), kocha ogromnie Polskę, bowiem wydała ona Chopina. Stawiam dolać przeciwko orzechom, że artysta Feliciano w czasie pobytu w Norwegii uwielbia Griega, w Hiszpanii De Fallę, w Austrii Mozarta, a w Namibii miejscowego wirutosa tam-tamów, niejakiego Bwana-Kubwę.

Ponadto jako niesłychana rewelację koledzy z RTV podali, że żona muzycznego Jose jest na pół Polką! Dziwi mnie to niesłychanie. Posiadanie żony Polki, przynajmniej w Polsce, żadną rzadkością nie jest i nie rozumiem, co tak ludzi elektrykuje? Ja — żeby wziąć pierwszy z brzegu przykład — miałem dwie żony Polki (stu procentowej) i nikt z tego powodu nie wyrzucił zachwytów...

Drugi artysta, także nieco przechodzony, gwiazdor country music Johnny Cash zachował w tym względzie większą przyzwyczajenie. Mówił oczywiście, że mu się Polka podoba (wyspa-

cy przyjeździ tak mówią, a co mają mówić?), ale przynajmniej nie przyznawał się do rodziny polskiej. A mógł się przyznać choćby do Marka Kasza!

Skądinąd artysta Cash, występujący w efektywnych kostiumach wypożyczonych z operetki gdzie niedawno wystawiano „Kwiat Prerii”, rodzinę ma bardzo liczną i w całości przywiózł ją, żeby pokazać żadnej sensacji publiczności. Rodzina składała się głównie z grupy pań o urodzie, która nie rzuca na kolana i takież muzykalności. Cechą charakterystyczną rodzinki Cash-Carter nie jest wprawdzie muzykalność nadmierna, jest nią za to wyróżniająca chlubnie pobożność. Podejrzewam, że do honorarium licznej rodzinki musiała coś dołożyć Rada Eklezjastyczna.

Tyle o rodzinie. A o samym Cashu z tego słowa nie dam powiedzieć. Słucham go od lat, jest moim ulubionym piosenkarzem do podśpiewywania przy gołębieniu. Może dlatego, że z panem Jankiem Gótkwą (tak można tłumaczyć na nasze jego nazwisko) mamy do- kładnie tę samą skalę głosu...

ANDRZEJ KAROL

2

Lewym okiem

Mont Blanc i śliwki

Jest środa, 12 sierpnia posłuchałem sobie właśnie dziennika nadawanego z Paryża. Pośród innych wiadomości podano i tę, że małżeństwo Kowalczykowie, obywatela francuscy pochodzenia polskiego, postanowili wejść na szczyt Mont Blanc ze swoim dwuletnim synkiem. W momencie nadawania dziennika państwo Kowalczykowie są w drodze, spiker zapowiada, że po ich dojeździe do najbliższego schroniska dziecko zostanie im odebrane a potem oni sami, postawieni przed sądem za złe traktowanie nieletnich. W Sna- nach Zjednoczonych parę dni wcześniej ośmioletni chłopiec przeleciał samolotem nad Atlantyk nad Pacyfik, czy może odwrotnie.

Ja nie wiem, czy i dawniej tak bywało, tylko myśmy o tym nie wiedzieli, czy naprawdę świat stał na głowie. Jak tak dalej pójdzie, na Mont Blanc czy nawet na sam Mount Everest wdrapie się dama w dwuletnim miesiącu ciąży po to, żeby na samym szczycie urodzić dziecko, które potem naręcznie triumfalnie zostanie wpisane do Księgi Guinnessa jako rekordzista najmłodszy

zdobycyca najwyższego szczytu. Zdobycyca w wieku zerowym.

Czym to wszystko sobie tłumaczyć? Czy tylko nieokreślona żądza rozgłosu opartego na dokonaniu czegoś, czego nikt przedtem nie dokonał? Sławetna Księga Guinnessa stała się od pewnego czasu niezwykle modną, przynajmniej u nas, nie wiem, jak jest w całej reszcie świata.

„Chciałbym mieć margines Guinnessa...”. — śpiewa w bzdurnej piosence jeden z naszych estradowych artystów. Organ Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego „Tygodnik Polski” drukuje księgę w odcinku; jest o niej mnóstwo wzmianek w czasopiśmie, w radiu i w telewizji.

Oglądałem niedawno faceta lykającego w zawrotnym tempie śliwkę. Pakował je sobie naraz dwiema garściami, do ust, lykał prawie w całości, no i został rekordzistą. Dalszego ciągu nie pokazano. Pokazano natomiast fanfary grające na cześć faceta. Dobrze, jest dorosły niech lyka nawet piłki tenisowe, niech wlaź na rękach na wieżę Eiffila, siedzi tydzień bez spodni na największym w świecie mrowisku i gra w szachy, z gorylem na dnie Wewzusa. Będzie z tego przynajmniej trochę śmiechu i sporo politowania, ale niech nie wlewa w te swoje ponure zabawy dzieciaków, jak tamci, co dwuletniego malucha ciągnęli na szczyt Mont Blanc. Niech nikt nie robi z dzieci narzędzi do realizowania swoich awarlowanych ambicji, co, jakże często zdarza się niezbyt mądrym rodzicom.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Pod prąd

Naprawdę jaki jestem

Nie trudniejszego jak być sobą, tylko sobą i nikim więcej.

— No, wiesz — powiedział mój szwagier — przesadzasz, że akurat każdy głupi potrafi. — Głupi może tak — odrzekłem — ale mądry... Wyobraź sobie, że mnie prawie nigdy się to jakoś nie udawało.

Na przykład w dzieciństwie, pamiętam, zamiast być mądrym Złutkiem, synkiem, bez-troskim i swawolnym chłopcem o błękitnych oczkach, przez dłuższy czas musiałem być cudownym dzieckiem, młodym geniuszem, przyszytym drugim wcieleniem Faderewskiego. To znaczy, tak się adawało moim rodzicom, którzy posadzili pięciolatka przy fortepianie, opłacili nauczyciela i kazali ćwiczyć po parę godzin dziennie mimo, że absolutnie mnie to nie bawiło, zaś słuch miałem od urodzenia tak jakby mi słoń nadeptał na ucho, co na szczęście — dla mnie, bo dla ojca i matki na nieszczęście — wyszło w końcu na jaw. I choć ja od samego początku wiedziałem,

czy też raczej czulem instynktownie, iż wirtuozem klawiatury nigdy nie zostanę, chcąc nie chcąc podporządkowywałem się woli rodziny, chcąc dla mnie jak najlepiej. Wiadomo: dzieci i ryby głosu nie mają.

W latach szkolnych było podobnie — tyle, że tym razem za sprawą kolegów z klasy i podwórka. Ubzdurali oni sobie mianowicie, że skoro nie potrafię kopać piłki ani też wspinać się na drzewa, to nie już ze mnie nie będzie i tak mi z tego powodu dokuczali, że całymi popołudniami wolałem siedzieć zamknięty w swoim pokoju, czytając z nudów książki dla dorosłych, z których niewiele jeszcze rozumiałem, aniżeli bawić się z rówieśnikami piłki obojętnej, chociaż tego właśnie pragnąłem wtedy najbardziej. Honor i duma nie pozwalały mi jednak zdradzić się z tym przed kimkolwiek i tak oto wbrew własnej woli tudzież charakterowi z wolna zostałem typowym mołem ksiązkowym, marzycielem oraz samotnikiem, który więcej, nieśteży, wiedział o starożytności niż o otaczającym go świecie.

Gwałtownie i boleśnie wyrwał mnie z tego letargu wybuch wojny. Ale że podczas okupacji bycie sobą w ogóle nie wchodziło w rachubę, gdyż było surowo zakazane, przeto i w tym smutnym okresie nie udało mi się pokazać mego prawdziwego oblicza.

Po wyzwoleniu najpierw trochę się poprawiło, a potem znów pogorszyło. Odczułem to bardzo, bo kończyłem akurat studia i bacznie już przysglądałem się rzeczywistości, która — znów nie pytając mnie o zdanie — wymagała dla odmiany, abym zdecydowanie odciął się od rodzinnych tradycji, potępiał reklamę, jazz, stryjaka, a także — jeżdżił wspólnie z kolegami z ZMP rozkułaczac wieś. Oczywiście wewnętrznie buntowałem się przeciwko tym i podobnym praktykom, jednakże oficjalnie, chcąc otrzymać upragniony dyplom, musiałem posłusznie grać rolę, jaką mi powierzono.

A w małżeństwie inaczej? Też można by opowiadać o tym godzinami. Bo ileż to razy przychodziło mi udawać przed żoną, że — powiedzmy — inne kobiety zupełnie mnie nie interesują, nie pociągają, nie fascynują intelektualnie i seksualnie, że nie mówię z nimi żadnych kontaktów i że tylko z nią jedną jedyną mogę być szczególnie, czego, nawiasem mówiąc, coraz mniej byłbym pewien. No, ale skoro wszyscy chcieli we mnie widzieć wzorowego męża i ojca... Bywały momenty, kiedy niewiele brakowało, abym sam uwierzył, że takim właśnie jestem.

Dziś naturalnie nie ma to już większego znaczenia, zostaliśmy z żoną dobrymi przyjaciółmi, między którymi znalazło się również miejsce na odrobinę nawet gorzkiej nierzeczy. Cóż, jest ona dziś niczym w porównaniu z tyloletnim przyzwyczajeniem. Na co dzień jednak i przed obcymi w dalszym ciągu muszę często udawać kogoś całkiem innego niż jestem naprawdę: w pociągu do Budapesztu — handlarza, w kolejce po mięso — bezwzględnie brutalną, w urzędzie — ważnego redaktora z szerokimi plecami, u lekarza — natręta w stanie głębokiej depresji psychicznej, na imienninach — opoja, na wczasach — skapca, w felietonach zaś zgorzkniałego cynika.

Inaczej po prostu trudno byłoby żyć.

JÓZEF RETMAN

ODGŁOSY

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

Zona przybiegła do domu z wypiekami na twarzy.

— Żebyś więcej nie przynosił mleka z bazaru! Widziałam tam trędowatego! Sprzedawał kawy!

Poszedłem sprawdzić. Stary Tadzyc rzeczywiście miał zewnętrzne objawy tej strasznej choroby. Charakterystyczna lwa czaszka, zapadnięta kość nosowa, białe grudki między palcami rąk...

Lepra często nawiedzała tę polną kuli ziemskiej. U podnóża gór wznosił się kompleks budynków, które tubylcy panicznie omijali z daleka. Były to leprozoria, izolowano w nich trędowatych, nieraz całe rodziny. Mieli zapewnioną troskliwą opiekę, a dzieci, przychodzące tam na świat, przewożono do innych miejsc i poddawano je długotrwałej kwarantannie.

Nie pamiętam epilogu naszego odkrycia. Czy to był autentyczny trędowaty, który uciekł z zamknięcia, czy raczej wydawało się nieprawdopodobne, czy może ukrywał się on dotąd za swą chorobą w domowym zaciszu, a może gruźlica skóry, róża, czy inna przypadłość tak zniekształcała mu twarz?

— Trąd azjatycki nie jest zaraźliwy dla Europejczyków — oświadczył autorytatywnie ktoś z naszych.

Bzdura, no bo skąd w takim razie wzięła się ta choroba w Polsce w XV wieku, zbierając obficie żniwo? Przed laty, gdy nie znano jeszcze preparatów sulfonowych, trędowaci bardzo się męczili. Lepra powodowała rozległe zniekształcenia ciała, zmiany neurologiczne, zaburzenia czucia. Znały się przypadki, gdy trędowaci niechcąc kładli rękę na rozżarzonej płycie kuchennej i cofali ją, gdy poculi swąd przypalonego mięsa. Porażeni leprą umierali w męczarniach, dzisiaj dzięki owym preparatom i innym zdobyciom medycyny choroba ta ma o wiele lżejszy przebieg.

Dopiero pod wpływem przeżytego szoku uświadomiłem sobie w jak antyhumanitarnych warunkach odbywała się na bazarze sprzedaż mleka, zwłaszcza smakowitego karku.

Apa odmierzala swoją szklanką napój, po czym do opróżnionej wkładała palec, wylizywała skrupulatnie resztki, aby z tej samej szklanki naleć karku kolejnemu reflektantowi.

— Clucka, tfu! — zgromiłem ją. — Jak tak można? Bezobrazie!

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Czemu twoja krzycz? Eto mój kark, mój stakan!

Sasiadka naszej gospodyni hodowała okazałą krasulę, chętnie zgodziła się dostarczać nam codziennie mleko prosto od krowy. A z karku definitywnie zrezygnowałem. Za moim przykładem poszli inni.

Mimo uciążliwych warunków, w jakich żyliśmy, Helena rozwijała się prawidłowo, nie chorowała, co było niewątpliwą zasługą jej matki, czuwającej nad dzieckiem w dzień i w nocy. Nasza córka stała się pupilką polskiej kolonii. Pierwsze dziecko wśród uchodźców, urodzone w zapadłej osadzie egzotycznego Tadżykistanu!

Jako pracujący nauczyciel dostawałem więcej chleba na kartki. I chociaż mógłbym zjeść nawet podwójne porcje, część przydzielonego pieczywa wymieniałem na winogrona. Dziecko chętnie piło soczek, a Tadzyc, z którymi dokonywałem tych transakcji, pukali się w czoło.

— Krugom durak, kto słyszał, żeby chleb oddawać za winogrona, które same rosną?

Ludmilla napisała do znajomych w oswobodzonej Odessie, pytając o swego brata. Straciła z nim kontakt w wojennej zawierusze. Radosna nowina nadeszła szybko: Janek zdrow i cały mieszka w Ułjanowsku na takiej, a takiej ulicy. Korespondencja nabierała rozmachu. Któregoś dnia listonosz przyniósł oczekiwaną przesyłkę. Szwagier serdecznie zapraszał naszą trójkę do siebie. „Będzie wam tu bardzo dobrze, na razie zamieszkamy razem w pokoju sublokatorskim, a potem wyszukamy coś odpowiedniejszego”.

Nie chciałem nawet słyszeć o przenosinach. Albo mi tu źle? Wyjechać, gdy wreszcie znalazłem spokojną, satysfakcjonującą pracę? Ze słonecznego kraju nad Wołgą, gdzie „szalejące wiatry urywają głowę, a mrozy zima paraliżują życie”. W tak daleką drogę z rocznym dzieckiem? I to w wojennych warunkach, bez prymitywnych wygód? To przecież tak, jak polować się ze zdrową głową do chorego łóżka!

Ale w miarę upływu czasu mój upór topniał. Wpływały na to wieści z frontów walk. Już całe terytorium Związku Radzieckiego zostało wyzwolone spod okupacji niemieckiej, a w czerwcu 1944 oswobodzony został pierwszy skrawek Polski na jej wschodnich rubieżach.

I gdy nadszedł list od Kazimierza Witaszewskiego, który wyrażając radość z mego ocalenia napisał: „Niech pan się postara jak najszybciej dotrzeć do nas, potrzebujemy takich ludzi jak pan” — podjąłem decyzję.

— Napisz do Janka, niech przysyła papiery. Jedziemy!

Gdybym przewidział, co mnie spotka w Ułjanowsku, w tej chwili obiecałby, za skarby świata nie ruszyłbym się z miejsca...

Są wydarzenia w moim życiu, nawet z najbliższej przeszłości, które mogę opisać z wszelkimi szczegółami. Inne, nie mniej ważne, rozplynęły się w pamięci. Jak na przykład nasza wyprawa do Ułjanowska. Zabijcie mnie, ale w żaden sposób nie potrafię uprzytomnić sobie tej długiej podróży z małym dzieckiem na ręku. Nawet trasę musiałem zrekonstruować przy pomocy mapy. Trzy lata temu, przeprawiłem się do Azji morzem, drogą powrotną wiodła lądem: Taszkent, Kyzyl-Orda, Aralsk, Saratow, Kujbyszew...

Racja, jedno wydarzenie pamiętam. Gdy przejeżdżaliśmy koło Jeziora Aralskiego, za namową maszynisty naszego pociągu kupilem na bazarze po słonej cenie worek soli.

— Sól zawsze brakuje w czasie wojny — powiedział. — Zobaczysz, jak ci się przyda!

Wyszedłem na tej soli jak Zabłocki na mydle. Nasiąkną wilgocią, musiałem ją dźwigać na plecach, suszyć po przyjeździe w piekarniku, by nazajutrz stwierdzić, że czegoś jak czegoś, ale soli w Ułjanowsku nie brakuje: bierze skądś ugodno i to po państwowej cenie.

I jeszcze jeden szczegół przypomniałem sobie. Janka nie było na przystani, spóźnił się. Na drugi brzeg Wołgi przeprawiliśmy się przy huraganowym wietrze wciągniętą łódką.

Gospodyni szwagra była sympatyczna, wzięła Helenkę na kolana, bawiła się z nią, a po tygodniu poprosiła Janka do siebie i oświadczyła:

— Nie mogę spać po nocach, dziecko płacze, nie wytrzymuję nerwowo. Bardzo mi przykro, ale niech pan wyszuka dla swojej rodziny inne mieszkanie. Na dniach przyjeżdża do mnie starszy krewny, dalszy pobyt z dzieckiem jest niemożliwy...

Wyprowadzić się? Dokąd? Wynajęcie jakiegokolwiek pokoju, nawet zamieszkanie u kogoś kątem, mimo przysłówowej gościnności Rosjan, było marzeniem ściętej głowy. Do Ułjanowska, jak do innych miast leżących z dala od działań wojennych, napłynęła fala uchodźców z terenów, które pierwsze padły ofiarą inwazji hitlerowskiej.

I po to opuściliśmy Chanaka, gościnny dom w pełnym tego słowa znaczeniu, bo „chanaka” to po tadżycku: dom noclegowy dla pielgrzymów, by teraz nie mieć gdzie ułożyć skołatanych głów?

Brat żony pracował w wojskowej instytucji na nowostrojkę w Zawoju, przedmieściu Ułjanowska. Stał tam domek zajęty na magazyn toporów, pił, hebl. Szef Janka przejął się naszym losem i wyraził zgodę na przeniesienie magazynu do innego pomieszczenia, a my za jego przyzwoleniem wprowadziliśmy się do opróżnionego budynku.

Sięgnę do moich wspomnień z „Reportera przed konfesyjonałem”, by opisać tę naszą nową przystań życiową.

Była to jakby z upiornej baśni braci Grimm chatka na kurzych nóżkach. Podłogę zastępowało klepisko z ubitej gliny. Ściany z dykty,

podwójne, między nimi trociny, mające zabezpieczyć przed chłodem. Idelbka nie miała nawet dwóch metrów wysokości. Na świat wyglądały dwa maćkupkie okienka, służące przedtem do wydawania robotnikom narzędzi pracy. Do izby przylegał przedsionek z wielogłównym suknikiem, skrzynią. Wyposażenie kitki stanowiły: zbite deski ułożone na kozłach, zastępowały nam łóżko, kilka półek, dwa taborety, radioteczka na ścianie i jakieś skrzynki. Z jednej znajdowałem posłanie dla dziecka.

Prawdziwym dobrodziejstwem naszego „mieszkania” była kuchnia z szamotowymi cegiel, z przewodem kominowym. Żeby nie zamarać na kość, a mróz już chwytał po nocach, musieliśmy palić pod kuchnią okrągłą dobe. Tylko czym? Nawet nie wiem czy na Zawoju był jakiś skład opału.

Poradziliśmy sobie z tym problemem. Przed domkiem ciągnął się długi rząd drewnianych szaletów. Deska po desce ogłaziłem nocą tylną ścianę tych przybytków i na zmianę z żoną podtrzymywaliśmy ogień.

Wódę czerpalismy z kolołoda, studni. Wiadro stało w przedpokoju. Nad ranem pokrywała je skorupa lodu. Przygotowane na zimę ziemniaki stwardniały na kamień w suntu, gdy tylko uderzył mrozy.

Lokatorzy nowostrojki sarkali na uprątną przeze mnie dewastację ich świątyni dumania, jednakże zobaczywszy w jakich warunkach żyjemy z małym dzieckiem, machnęli ręką. Od czasu do czasu ten i ów jeszcze podrzucił trochę szczerpek.

Z upływem tygodni tylna ściana szaletów przestała istnieć. Zachodzących tam użytkowników odróżniało nie tyle z twarzy, ile z czegoś wręcz przeciwnego i niżej.

Jakimś luksusem w porównaniu z tym kozmarnym domkiem był barak w rybińskim obozie pracy! Niemal hotelem pod pięcioma gwiazdkami. Bo i coś z tego, że cieszyłem się teraz wolnością? Tam byłem sam, tylko o siebie musiałem się troszczyć, tutaj mała dziewczynka i żona w nie najlepszej kondycji fizycznej.

Co gorsza, głód zaglądał nam w oczy. Zdesperowany zakradłem się do sąsiedniej obory. W pojemnikach na karmę leżały makuchy, wyfioletki z zżeraniem słonecznika. Porwałem jeden i łapczywie pocałem gryź. Wszystkie krowy mają tęskne, marzące spojrzenie, ta co patrzyła na mnie, przysiągłbym, współczuła mi do końca.

Poznałem Alojzego. Był aplikantem adwokackim we Lwowie. Pracował razem z moim szwagrem na nowostrojkę jako zaopatrzeniowiec. Przyglęliśmy się sobie. Często zachodził do naszej chatki. Kilka razy dał nam kartki na chleb.

Zatrudniamy kilkaset ludzi. To ktoś zachoruje i pójdzie do szpitala, inny wyjedzie, zostają mi na zbyciu wolne kartki. Kupcie sobie chleba, za dużo go nie macie...

— Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic. Ja też byłem chalućcem w organizacji syjonistycznej...

Niepokój wdarł się do mego serca. Opowiedziałem żonie o tej rozmowie. O co mu szło? Nigdy nie należałem do żadnego ugrupowania politycznego. Syjonizm był mi zawsze obcy.

Po kilku dniach wyzbyłem się podejrzenia. Zygmunta nie powracał do tego tematu, był jak zwykle serdeczny, o nic nie pytał. No cóż, coś mu się pokręciło, strzelił nie pod tym adresem i widząc pomyłkę wycofał się.

— Pójde na bazar — powiedziałem żonie — zamienię butelkę przydzielowego oleju na cukier dla dziecka.

Bazaru ułjanowskiego nie odwiedzałem, tak często jak tego w Chanaka. Nie miał on owego niepowtarzalnego kolorytu. Stroje sprzedawców szare, bezbarwne. Poza Rosjanami trochę skołatanych Tatarów, Czuwasze, Mordwini, Udmurci.

Zaciekał mnie pocziwy diadka, kręcący się po placu. W wyciągniętej dłoni trzymał dwie połówki od tytoniu kostki cukru i zachwalał swój towar:

— Sachar prodaju, sachar prodaju...

Nie na taki cukier reflektowałem, zresztą diadka wcale nie miał zamiaru go sprzedać. Gdy ktoś pytał o cenę, nie odpowiadał, szedł dalej i monotonnym głosem obwieszczał wszem wobec: „Sachar, sachar prodaju”.

„Pyszny facet — pomyślałem. — Żyje atmosfera targu, przychodzi tu tylko po to, żeby wtopić się w masę ludzką i przeżywać emocje posiadania pokupnego artykułu”.

— Posiedzieliście so mnoj... — usłyszałem za plecami. Młody cywil mignął mi jakimś znaczącym i delikatnie ujął za ramię.

Poszedłem posłusznie. „Natrą mu uszu za niedozwolony handel — pomyślałem. — Dowód rzeczowy na rękach, ale chyba nie będą robić ceregieli z tak blagiego powodu...”

Cywil wprowadził mnie do gabinetu naczelnika milicji i zameldował o doprowadzeniu takiego a takiego.

— Czy w drodze nie spotkał on kogoś? Nie porozumiewał się z kimś?

— Niet, towariszcz naczelnik!

Naczelnik podszedł do kasy ogniowatwej, wyjął pokaszną grubości teczkę papierową. Ujrzałem wypisane na okładce wołowski literami moje i Alojzego nazwiska! Oho, to coś poważniejszego niż ten olej. Ale co mają przeciwko nam?

Twarz naczelnika była skupiona, głos urzędowy.

— Imię, nazwisko?... Czy wiecie dlaczego się tu znaleźliście?

— To przez ten olej. Chciałem go zamienić na cukier...

— Nie walajcie duraka! Chodzi o waszą działalność na terenie Związku Radzieckiego!

— Jaka działalność? Pracuję w Związku Patriotów Polskich, możecie sprawdzić. Polityką się nie zajmuję. Czemu mnie zatrzymujecie? W domu czeka żona i dziecko...

Wy swojej żony i dziecka już nie zobaczycie!

I wtedy rozplakałem się, ale moje spazmy nie wywoływały żadnego odruchu współczucia na twarzy naczelnika.

— Trzeba było wcześniej pomyśleć o rodzinie. Teraz za późno, poniesiecie konsekwencje swojej występnej działalności.

Coraz natarczywiej stawała mi przed oczyma postać Zygmunta. „Ja też byłem chalućcem w organizacji syjonistycznej. Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic...” Boże a więc — prowokator!

W areszcie przesiedziałem do późnego wieczora. Przyszło dwóch konwojentów.

— Poszli! Tylko pedupredaju! szag w lewo, szag w prawo... — przypomniał mi się strilek z Rybińska, ale gdy tamten słowa przestrogi wypowiadał beznamiętnym głosem, w ustach tego brzmiały one złowroźnie.

Szliśmy skutą lodem Wołgą. Z przodu żołnierz z wydobytym pistoletem, z tyłu ten drugi, operujący karabinem z nasadzoną bagnietą o moje plecy.

— Uwaga! — poprosił — mogę się pośliznąć, a wy pomyślcie, że to próba ucieczki...

— Wtedy bę wahania przebieg cię jak jadowitą żmiję! — pocieszył mnie.

Weszliśmy do budynku więziennego, przylegającego do domu, w którym jako sublokator mieszkał Zygmunt. Co za zbieg okoliczności! Miałem na sobie kożuch ze skór dzikich zwierząt. Nakładalem go fantazyjnie, włosem na wierzchu. Na mój widok dyżurny ponatrzyl niezdecydowany.

— Kto tu kogo przyprowadził? — zapytał.

— Jak chcecie, to ja tych dwóch grażdan — powiedziałem w przypływie wisielczego humoru.

Teraz i moi konwojenci roześmiali się. Strażnik przywołał koleżkę, ten poprowadził mnie ponurym korytarzem, otworzył drzwi celi.

— Zachod! Twoja krowa! wołcie okoska.

Po omacku dobrałem do wskazanego legowiska. Oswobodzony z ciemności wzrok wyłonił sylwetki ludzkie na pryczach. Więźniowie spali kamiennym snem, a może udawali? Ległem na moim łóżku madejowym i pogrążyłem się w smutnych rozmyśleniach...

Ułjanowsk dawny Symbirsk, nazwa ta w języku tatarskim oznacza siedem wiatrów. Wieje, bo wieje tych siedem wiatrów w dorzeczu matuszki Wołgi, a mnie przywiał tu straszniejszy niż wszystkie tornado, tajfuny, sirocca — osmy wiatr...

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli” z nobyli autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

— Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic. Ja też byłem chalućcem w organizacji syjonistycznej...

Niepokój wdarł się do mego serca. Opowiedziałem żonie o tej rozmowie. O co mu szło? Nigdy nie należałem do żadnego ugrupowania politycznego. Syjonizm był mi zawsze obcy.

Po kilku dniach wyzbyłem się podejrzenia. Zygmunta nie powracał do tego tematu, był jak zwykle serdeczny, o nic nie pytał. No cóż, coś mu się pokręciło, strzelił nie pod tym adresem i widząc pomyłkę wycofał się.

— Pójde na bazar — powiedziałem żonie — zamienię butelkę przydzielowego oleju na cukier dla dziecka.

Bazaru ułjanowskiego nie odwiedzałem, tak często jak tego w Chanaka. Nie miał on owego niepowtarzalnego kolorytu. Stroje sprzedawców szare, bezbarwne. Poza Rosjanami trochę skołatanych Tatarów, Czuwasze, Mordwini, Udmurci.

Zaciekał mnie pocziwy diadka, kręcący się po placu. W wyciągniętej dłoni trzymał dwie połówki od tytoniu kostki cukru i zachwalał swój towar:

— Sachar prodaju, sachar prodaju...

Nie na taki cukier reflektowałem, zresztą diadka wcale nie miał zamiaru go sprzedać. Gdy ktoś pytał o cenę, nie odpowiadał, szedł dalej i monotonnym głosem obwieszczał wszem wobec: „Sachar, sachar prodaju”.

„Pyszny facet — pomyślałem. — Żyje atmosfera targu, przychodzi tu tylko po to, żeby wtopić się w masę ludzką i przeżywać emocje posiadania pokupnego artykułu”.

— Posiedzieliście so mnoj... — usłyszałem za plecami. Młody cywil mignął mi jakimś znaczącym i delikatnie ujął za ramię.

Poszedłem posłusznie. „Natrą mu uszu za niedozwolony handel — pomyślałem. — Dowód rzeczowy na rękach, ale chyba nie będą robić ceregieli z tak blagiego powodu...”

Cywil wprowadził mnie do gabinetu naczelnika milicji i zameldował o doprowadzeniu takiego a takiego.

— Czy w drodze nie spotkał on kogoś? Nie porozumiewał się z kimś?

— Niet, towariszcz naczelnik!

Naczelnik podszedł do kasy ogniowatwej, wyjął pokaszną grubości teczkę papierową. Ujrzałem wypisane na okładce wołowski literami moje i Alojzego nazwiska! Oho, to coś poważniejszego niż ten olej. Ale co mają przeciwko nam?

Twarz naczelnika była skupiona, głos urzędowy.

— Imię, nazwisko?... Czy wiecie dlaczego się tu znaleźliście?

— To przez ten olej. Chciałem go zamienić na cukier...

— Nie walajcie duraka! Chodzi o waszą działalność na terenie Związku Radzieckiego!

— Jaka działalność? Pracuję w Związku Patriotów Polskich, możecie sprawdzić. Polityką się nie zajmuję. Czemu mnie zatrzymujecie? W domu czeka żona i dziecko...

Wy swojej żony i dziecka już nie zobaczycie!

I wtedy rozplakałem się, ale moje spazmy nie wywoływały żadnego odruchu współczucia na twarzy naczelnika.

— Trzeba było wcześniej pomyśleć o rodzinie. Teraz za późno, poniesiecie konsekwencje swojej występnej działalności.

Coraz natarczywiej stawała mi przed oczyma postać Zygmunta. „Ja też byłem chalućcem w organizacji syjonistycznej. Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic...” Boże a więc — prowokator!

W areszcie przesiedziałem do późnego wieczora. Przyszło dwóch konwojentów.

— Poszli! Tylko pedupredaju! szag w lewo, szag w prawo... — przypomniał mi się strilek z Rybińska, ale gdy tamten słowa przestrogi wypowiadał beznamiętnym głosem, w ustach tego brzmiały one złowroźnie.

Szliśmy skutą lodem Wołgą. Z przodu żołnierz z wydobytym pistoletem, z tyłu ten drugi, operujący karabinem z nasadzoną bagnietą o moje plecy.

— Uwaga! — poprosił — mogę się pośliznąć, a wy pomyślcie, że to próba ucieczki...

— Wtedy bę wahania przebieg cię jak jadowitą żmiję! — pocieszył mnie.

Weszliśmy do budynku więziennego, przylegającego do domu, w którym jako sublokator mieszkał Zygmunt. Co za zbieg okoliczności! Miałem na sobie kożuch ze skór dzikich zwierząt. Nakładalem go fantazyjnie, włosem na wierzchu. Na mój widok dyżurny ponatrzyl niezdecydowany.

— Kto tu kogo przyprowadził? — zapytał.

— Jak chcecie, to ja tych dwóch grażdan — powiedziałem w przypływie wisielczego humoru.

Teraz i moi konwojenci roześmiali się. Strażnik przywołał koleżkę, ten poprowadził mnie ponurym korytarzem, otworzył drzwi celi.

— Zachod! Twoja krowa! wołcie okoska.

Po omacku dobrałem do wskazanego legowiska. Oswobodzony z ciemności wzrok wyłonił sylwetki ludzkie na pryczach. Więźniowie spali kamiennym snem, a może udawali? Ległem na moim łóżku madejowym i pogrążyłem się w smutnych rozmyśleniach...

Ułjanowsk dawny Symbirsk, nazwa ta w języku tatarskim oznacza siedem wiatrów. Wieje, bo wieje tych siedem wiatrów w dorzeczu matuszki Wołgi, a mnie przywiał tu straszniejszy niż wszystkie tornado, tajfuny, sirocca — osmy wiatr...

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli” z nobyli autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

Przed sędzią śledczym